

**TIROWCY POTRZEBNI
BARDZIEJ NIŻ PROGRAMIŚCI**

**DAJCIE ŻYĆ
WILKOM**

**SZKOŁA CIERPLIWOŚCI
NA WIELKI POST**

Kraków 26 lutego 2023 nr 9 (3842) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Będzie wolny świat

**UKRAINA, POLSKA I EUROPA
PO ROKU OD INWAZJI**





fot.: Anna Janowska

FUNDACJA WSPÓLNOTA NADZIEI

Więckowice, ul. Ogrodowa 17

32-082 Bolechowice

www.farma.org.pl

**Wesprzyj
osoby
z autyzmem**



KRS 0000 11 58 68

KS. ADAM

Boniecki: Rok nie do pomyślenia

TO WCIĄŻ WYDAJE MI SIĘ WRĘCZ NIEPRAWDOPODOBNE: od roku trwa wojna tuż za naszą granicą. Unia Europejska i NATO gwarantują nam, że nie zostaniemy sami, ale cóż, moje pokolenie ma z gwarancjami międzynarodowymi nie najlepsze doświadczenia, choć obecne wydają się dużo bardziej serio niż te dawne. NATO robi różnicę.

Ukraina... Wspomnienia mojej generacji też nie są tu najlepsze. Ale reakcja współczesnych Polaków okazała się tak nadzwyczajna, zaangażowanie tak ogromne. Wspomnienia okazały się bezsilne wobec faktów, wobec tego, co się dzieje. Ukraińcy żyją wśród nas, dzielimy z nimi naszą codzienność. Pewnie nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele to zmienia w fundamentach naszych wzajemnych relacji.

Determinacja Ukraińców zdumiała świat. Ich pewność wygranej, potwierdzana dotychczasowym przebiegiem działań wojennych, obudziła międzynarodową solidarność. Dzieje się coś, co nie ma precedensu. Zapisują się nowe karty dziejów powszechnych. Polacy, choć w wielu sprawach może nie okazują szczególnej mądrości i instynktu samozachowawczego, tu okazali się wielkim i mądrym narodem. Dla wielu z nas to jest najważniejszy sprawdzian w życiu, jego najważniejsze i formujące doświadczenie.

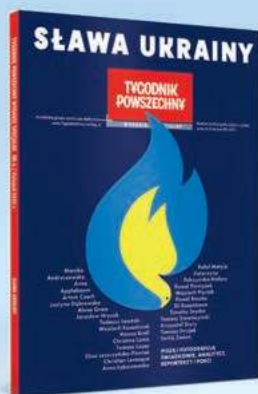
O toczonej tuż obok wojnie możemy czytać w każdym numerze „Tygodnika”. Świetna książka Pawła Pieniążka „Opór. Ukraińcy wobec rosyjskiej inwazji” jest tego znakomitą przykładową. Choć nie jest to zbiór przysyłanych przez naszego korespondenta tekstów, to znakomicie oddaje sposób naszego myślenia o tej strasznej wojnie. Pokazuje koszmar, który przeżywają Ukraińcy, rozpisany na miejsca i zmie-



niające się wciąż sytuacje. Ale nie chodzi tylko o koszmar. Osobliwość książki Pieniążka polega na tym, że opisuje poszczególnych ludzi, mozaikę ich niepowtarzalnych losów. Wielu z nich zachowało spokój, często wręcz pogodę ducha. Wylania się stąd obraz społeczeństwa niezwykle solidarnego. Nie, to nie wojna je takim stworzyła, ono takie okrzepło co najmniej od czasu Majdanu. Ostateczny kształt nadała mu wojna, która – pamiętajmy – zaczęła się od inwazji na Krym w 2014 r.

To, co robią rosyjskie wojska, jest zbrodnią. Nie chcę się nad tym rozwodzić, pomnażać obrazów koszmaru. Pytam tylko: czy za to kiedykolwiek odpowiedzą? Tyle się mówi o dokumentowaniu ich zbrodni. Ale na razie nie dajemy sobie nawet rady z myśleniem o przyszłości konfliktu. Zaangażowani w pomoc humanitarną i militarną dla Ukrainy, wcale nie jesteśmy pewni ciągów dalszych tej historii i jej finału. Wygrać wojnę to jedno. Ale jak wygrać zwycięstwo? Uczynić pokój trwałym, wyleczyć Rosję z imperialnego popędu, uczynić Unię zdolną do przyjęcia Ukrainy, a NATO – do NATO... Bo jak inaczej? Czekać, aż Rosja wyleże rany i znów rzuci na stos dowolną ilość ludzkich istnień?

Zaangażowanie zachodniego świata w sprawę Ukrainy jest dla mnie fenomenem niezwykle, zwłaszcza że jest to zjawisko całkiem nowe. Bardziej mnie ono zdumiewa niż wahania w sprawie dostaw takiego czy innego sprzętu. Przecież widać, jak szybko solidarność przesuwła te granice, co było wczoraj nie do pomyślenia, dziś już jest. Bo Rosja przygotowuje kolejne, coraz silniejsze uderzenia. Chce wykrwawić Ukrainę, unicestwić jej cywilizację, uczynić życie nieznośnym – wszystko po to, by złamać jej ducha. Nie złamię. ©P



„O tym, jak trudno się jej bronić, i o tym, jak skutecznie to robi. Determinacja Ukrainy, która ani myśli o rezygnacji wobec szaleństwa Rosji. Duch oporu jest faktycznym bohaterem każdej zamieszczonej na naszych łamach korespondencji”

ks. Adam Boniecki

Wydania specjalnego „Tygodnika Powszechnego” SŁAWA UKRAINY – szukaj w najlepszych miejscach z prasą.

E-wydanie dostępne pod adresem powszech.net/slawaukrainy

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WSPÓŁWYDANIE:



DOFINANSOWANIE:

Wydanie sfinansowano z Funduszu Stabilizacyjnego dla Kultury i Edukacji 2022 Federalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Niemiec i Goethe-Institut www.goethe.de.



UKRAINA, POLSKA I EUROPA
PO ROKU OD INWAZJI**32 Konflikt
przełomu epok
WOJCIECH
KONOŃCZUK**

*Ta wojna zmieni
na zawsze naszą
rzeczywistość.*

**33 Najdłuższa
bitwa**

**PAWEŁ PIENIAŻEK
Z BACHMUTU**
*Mieszkańcy
miasta walczą
o przetrwanie.*

**36 Rosja rok
później**
**ANNA
ŁABUSZEWSKA**
*Rosyjski kosmos
złożony jest
z milionów małych
kosmosów. Przed
rokiem nastąpiła
w nim katastrofa.*

**39 Jak długo
potrwa
ta wojna?**
**ROZMOWA
Z PETEREM
CADDICKIEM-
-ADAMSEM,
ANALITYKIEM:**
*Putin liczy na to, że
Ukraińcom skończy
się amunicja.*

**42 Ten rok zmienił
nasz świat**
**ROZMOWA
Z MARKIEM
LEONARDEM,
POLITOLOGIEM:**
*Polska może
być jednym
z najważniejszych
państw przyszłej
Europy.*

**21 Co widać
z budy**

MAREK RABIJ
*Bez nich puste
byłyby sklepy,
niemożliwe
e-zakupy, może
nawet Putin
pokonałby
Ukrainę. Polska
właśnie szuka
dwustu tysięcy
kierowców
ciężarówek.*

**50 Wstrząsy wtórne
KRZYSZTOF
STRACHOTA**

*Czy trzęsienie ziemi
okaże się „czarnym
łabędziem” tureckiej
polityki? Wiosną
kraj czekają wybory
parlamentarne
i prezydenckie.*

**58 Sztuka
cierpliwości**

PIOTR SIKORA
*Okres Wielkiego
Postu może
nas nauczyć,
jak reagować
na trudną
rzeczywistość.*

**94 Zawód: podróżnik**

ROZMOWA Z MATEUSZEM WALIGÓRĄ, PODRÓŻNIKIEM:
*Regularnie płacę na wyprawach. Bo emocje związane
z samotnością działają najsilniej. To one uzależniają mnie
od bycia w drodze.*

6 Bój na wykrwawienie WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

21 Co widać z budy MAREK RABIJ

24 Pusto w karcie PIOTR WÓJCIK:

*Nigdzie indziej w gospodarce
nie jest tak źle, jak w gastronomii*

26 Nożyce superbohatera

MATEUSZ POJNAR: *Ten polski
piłkarz właśnie pokonał Kyliana
Mbappého*

■ ■ DODATEK

32 Konflikt przełomu epok WOJCIECH KONOŃCZUK

33 Najdłuższa bitwa

PAWEŁ PIENIAŻEK Z BACHMUTU

36 Rosja rok później

ANNA ŁABUSZEWSKA

39 Jak długo potrwa ta wojna?

ROZMOWA Z PETEREM
CADDICKIEM-ADAMSEM

42 Ten rok zmienił nasz świat

ROZMOWA Z MARKIEM
LEONARDEM

■ ■ ŚWIAT

50 Wstrząsy wtórne

KRZYSZTOF STRACHOTA

53 Francuski wyjątek

SZYMON ŁUCYK Z BEAUVAIS
o protestach przeciw Macronowi

56 Do czego strzelali Amerykanie

MICHAŁ GIKOWSKI *o tym,
do czego służą balony*

TEMAT TYGODNIKA



ZENON WOJTAŚ

12 Nasze wilki

ADAM ROBIŃSKI

Choć w Polsce są pod ochroną,
nie ma dnia bez doniesienia
o zwierzęciu zastrzelonym
lub potrąconym przez samochód.
Czy wilkom grozi wpisanie
na listę gatunków łownych?

■ DODATEK ■

31 UKRAIŃSKA WOJNA O ISTNIENIE – ROK PIERWSZY

■ FELIETONY ■

30 TOMASZ STAWISZYŃSKI

57 JACEK PODSIADŁO

69 WOJCIECH BONOWICZ

92 OLGA DRENDĄ 93 PAWEŁ BRAVO

98 STANISŁAW MANCEWICZ

98 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: WOŁODYMYR ZEŁENSKI
UKRAINIAN PRESIDENTIAL PRESS SERVICE
/ ZUMA PRESS / FORUM

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

■ ■ WIARA

58 Sztuka cierpliwości

PIOTR SIKORA

62 Rozpusta i fałszywa pobożność

MAGDALENA ŁANUSZKA *o walce
karnawału z postem*

66 Szpiczaste czapki braci

MACIEJ MÜLLER: *Czy chrześcijaństwo
prowadziło do antysemityzmu?*

■ ■ HISTORIA

70 Wieczne pióra

EWELINA KARPIŃSKA-MOREK
o niezwykłym poszukiwaniu bliskich

■ ■ NAUKA

74 Stwory z Wyspy Wężowej

MARTA PANAS-GOWORSKA
I ANDRZEJ GOWORSKI: *Co warto
wiedzieć o zaskrońcach?*

76 Kiedy zaczęła się epoka kamienia

ŁUKASZ KWIATEK *o narzędziach
starszych niż człowiek*

■ ■ KULTURA

78 Co jest we krwi

ROZMOWA Z DAMIANEM KOCUREM,
REŻYSEREM FILMOWYM:
*Zapuszczam się w miejsca,
w których wcześniej nie byłem*

82 Tryb życia

PIOTR KOSIEWSKI *o obrazach
Małgorzaty Mirgi-Tas*

85 Gry w marnym świecie

JAKUB MAJMUREK *o wielkim powrocie
seriali szpiegowskich*

88 Z batutą i szaleństwem

ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Tár”
Todd’a Fielda*

89 Maranizm jako klucz

LEKTOR *o książce Piotra Sadzika
„Regiony pojedynczych herezji”*

■ ■ ZMYŚŁY

94 Zawód: podróżnik

ROZMOWA Z MATEUSZEM WALIGÓRĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Tak brzmi dziś Bachmut [Podkast Powszechny]

Skrzypiący pod stopami śnieg, zmęczone silniki samochodów terenowych,
głosy ludzi i przede wszystkim nieustający huk artylerii z obu stron
– na dźwiękową opowieść zaprasza **PAWEŁ PIENIAŻEK** | powszech.net/podkast

➔ Rosja wysła kiboli na wojnę [Rosyjska ruletka]

Zostali wyćwiczeni przez najlepszych instruktorów,
którzy na co dzień szkolą komandosów – pisze **ANNA
ŁABUSZEWSKA** | tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Serwisy specjalne: patrz szerzej

OCHRONA ZDROWIA W POLSCE

Czy system da się wyleczyć?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/OCHRONA-ZDROWIA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube/TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

BÓJ NA WYKRWAWIENIE

Dni poprzedzające rocznicę rosyjskiej inwazji przyniosły pozytywne sygnały dla Ukrainy i Zachodu. Oraz jeden bardzo groźny.

WOJCIECH PIĘCIAK

CZASEM SZCZEGÓŁ MÓWI WIĘCEJ NIŻ ANALIZA. Nie pogięte hełmy, nie splamione legitymacje ani nie szczątki rakiet Iskander, która tutaj, w wojskowej bazie gdzieś pod Kijowem, wiosną 2022 r. zabiła 132 śpiących ludzi (odtąd armia ukraińska bezwzględnie rozprasza oddziały na kwatery). Wśród rosyjskich „śmiaci wojny”, zebranych z pobojowisk i zrzuconych w tym miejscu na stos, największe wrażenie na oglądającym robią policyjne pałki, tarcze i kaski.

Tak jest – wysyłając zmechanizowane grupy taktyczne, które w lutym 2022 r. miały zająć Kijów, rosyjscy generałowie kazali żołnierzom zabrać sprzęt do tłumienia ulicznych

protestów. Byli przekonani, iż będzie to wojna błyskawiczna; że armia ukraińska rozpadnie się, a problemy, jakie staną przed okupantami (wedle ówczesnej wykładni Kremla: wyzwolicielami bratniego narodu, ciemniejszego przez nazistów), będą natury policyjnej, bo nie wszyscy Ukraińcy zaakceptują to wyzwolenie.

Minął rok. Ukraina walczy. Ze świadomością, że to bój o wszystko, o istnienie. Nawet jeśli cena jest tym wyższa, im dłużej on trwa. A trwać będzie – ten, który mógłby to skończyć w jeden dzień, nastawia swój kraj na długi konflikt, a jego propaganda wmawia poddanym, że to wojna obronna, bo Rosja broni się przed agresją Zachodu, który walczy z nią rękoma

*Joe Biden
i Wołodymyr
Zelenski
pod ścianą pamięci
ze zdjęciami
poległych.
Kijów,
20 lutego 2023 r.*

Ukraińców. Najwyraźniej Putin – po tym, gdy załamał się jego Blitzkrieg i gdy podczas ostatniego roku wypróbowywał kolejne sposoby, by złamać Ukraińców i zastraszyć Zachód – uznał, że metodą ostateczną będzie „bój na wykrwawienie”, materiałowe i ludzkie. W tej logice Rosja jest w lepszej pozycji. Cóż z tego, że w Bachmucie czy Wuhłedarze ginie kilkuset Rosjan dziennie. Neototalitarne państwo Putina ma wysoko zawieszony próg bólu, poddani się nie buntują (jeśli ktoś nie rozumie, jak Niemcy mogli iść za Hitlerem aż na zatracenie, ma tu pogładowy przykład).

Rosja ma też rezerwy. Nawet jeśli to sprzęt starty, ma go dość, aby bój na wykrwawienie ciągnąć kolejny rok. Lub dłużej. Wśród błędów, jakie przed 24 lutego popełnili liczni zachodni politycy, była nadzieja, iż Putin może i nie jest „kryształowym demokratą” (jakim widział go pewien kanclerz), lecz koniec końców podziela pogląd, że pokój i życie są wartością. Ale Rosja Putina nie zna słowa „pokój”, a śmierć i cierpienie to dla niej narzędzia osiągania celów. Wiele wolało tego nie widzieć – trzeba było dopiero Buczy i Mariupola.

Zachodni przywódcy zebrani w miniony weekend w Monachium na konferencji o globalnym bezpieczeństwie (pierwszy raz w jej 59-letniej historii nie zaproszono Kremla) zgodnie powtarzali, że będą wspierać Ukrainę do końca, a o tym, jaki to ma być koniec, zdecydują sami Ukraińcy. Chwilami można było odnieść wrażenie licytacji na solidarność (koniec końców pozytywny). Gdy szefowa Komisji Europejskiej apeluje o produkcję amunicji 155 mm, niemiecki minister obrony pogania kraje, które nie chcą oddać swoich czołgów Leopard, a były doradca Angeli Merkel ogłasza, że Rosja będzie zagrożeniem, dopóki nie zostanie poddana deputinizacji – można mieć poczucie dyskretnej satysfakcji.

Najmocniejszym zaś gestem wsparcia dla Ukrainy w ostatnich dniach była nieoczekiwana wizyta prezydenta Joeego Bidena w Kijowie, poprzedzająca jego podróż do Polski (wizytę tę, rozpoczętą po zamknięciu numeru, komentujemy na naszej stronie internetowej). Wsparcia i materialnego (finansowego, militarnego, sankcyjnego), i psychicznego („Będziemy z wami tak długo, jak to konieczne”).

Jednak logika „wojny na wykrwawienie” jest bezwzględna. Nawet jeśli Ukraińcom nie skończy się czołgi – bo zachodnie dostawy wreszcie będą wystarczające – mogą zacząć kończyć się ludzie. Kijów nie rzucał dotąd na front tych, którzy nie chcieli ryzykować. Wielu z tych, którzy przeżyli miniony rok, a ryzykują tak dzień w dzień, jest na granicy wytrzymałości.

Aby pomóc Ukrainie – teraz, natychmiast – trzeba nie tylko wysłać szybko leopardy. Trzeba też zrobić przegląd możliwości: jakie sankcje Zachód może jeszcze wprowadzić, by przetrącić kręgosłup neototalitarnego projektu Putina. ©

KE: najpierw kompromis, potem skarga

TOMASZ BIELECKI Z BRUKSELI



SKARGA KOMISJI EUROPEJSKIEJ DO TRYBUNAŁU Sprawiedliwości UE z powodu Trybunału Konstytucyjnego, a jednocześnie gotowość do ugody z Warszawą co do Krajowego Planu Odbudowy (przyblokowanej teraz przez prezydenta Andrzeja Dudy) pokazują, jak skomplikowane dla Brukseli są zabiegi w sprawie polskiej praworządności.

W grudniu Komisja doszła do – na razie nieformalnego – porozumienia z wysłannikami Mateusza Morawieckiego co do kształtu nowej ustawy sądowej mającej spełnić wymogi KPO dotyczące praworządności, a zatem odblokować wypłaty. Jednak uzgodnione z Warszawą „kamienie milowe” nie obejmują wszystkich tematów, np. nie wymagają systemowego zajęcia się upolitycznieniem Krajowej Rady Sądownictwa i TK. Kompromis rozczarował wielu obrońców praworządności (i opozycję). Tak mocno obawiają się „kapitulacji” Brukseli, że długo wypierali lub nawet zaprzeczali doniesieniom o wstępnej ugodzie w sprawie KPO.

Komisja uparcie podkreśla, że KPO nie jest ani jedynym, ani głównym narzędziem do strzeżenia praworządności. Dlatego już bez dalszej zwłoki podjęła decyzję o skardze do TSUE (to rezul-

tat trwającego od ponad roku tzw. postępowania przeciwnaruszeniowego). Pokazała, że mimo gotowości do kompromisu w sprawie KPO nie szykuje się do zamknięcia tematu niezależności sądownictwa w Polsce. Przeciwnie – skarga za podważanie pierwszeństwa prawa wspólnotowego nad krajowym oraz za wadliwy skład TK to krok bez precedensu. TSUE nigdy dotąd nie zajmował się sądem konstytucyjnym żadnego państwa członkowskiego.

Gdy prezydent Duda odsyłał ustawę sądową do TK, decyzja o skardze do TSUE była niemal sfinalizowana, więc zbieżność w czasie jest niezamierzona. Komisja tkwi jednak w sytuacji paradoksalnej – zamierza obnażyć braki TK przed TSUE, a zarazem czeka na decyzję tegoż TK co do ustawy sądowej. A gdyby ta ustawa zdołała jakoś prześliznąć się przez trybunał Julii Przyłębskiej i weszłaby w życie, to – wstępna ugoda pozostaje aktualna – pomogłaby odblokować KPO. Wbrew zarzutom ludzi władzy, że Bruksela cynicznie gra praworządnością, by odsunąć PiS od władzy. I wbrew pochopnym rachubom jego przeciwników, że przed wyborami nie ma szans na nawet najmniejszą odwilż z Brukselą (i na fundusze). ©

Kredyty frankowe: prawo i plotka

TUŻ PO PUBLIKACJI opinii rzecznika TSUE w sprawie tzw. opłat za korzystanie z kapitału w przypadku unieważnienia umowy kredytu (takie prawo rzecznik przyznał jedynie klientom banków) po polskich redakcjach i po giełdzie krążyć zaczęła informacja o ustawie, która nakładałaby na wszystkie banki obowiązek zaoferowania klientom przewalutowania kredytu frankowego na złotówkowy – na umiarkowane opłacalnych warunkach. Gdyby klient nie skorzystał z ugody i sprawa trafiła jednak do sądu, w przypadku wygranej musiałby zapłacić 100 proc. podatku od odzyskanych odsetek.

Ten oczywisty absurd zasługuje na uwagę jedynie dlatego, że oddaje skalę desperacji sektora bankowego, który odrzuca przyjęcie odpowiedzialności za działanie na niekorzyść klientów. Opinia rzecznika TSUE, która zwykle oddaje kierunek, w jakim zmierza Trybunał, pod tym względem pozbawia banki resztek złudzeń. Nikt nie może czerpać zysków z łamania prawa.

Wrzutka z podatkiem miała zbulwersować dlatego, że państwo, które przez lata nie kiwnęło palcem dla rozwiązania frankowego klinczu, miałyby teraz uwłaszczyć się na odsetkach, które przez lata spłacali klienci. W jaki sposób takie rozwiązanie miałyby pomóc stabilności polskiego sektora bankowego? To pytanie do anonimowych autorów tej pogłoski.

© MAREK RABIJ

Drony nad granicą

MARCIN ŻYŁA



WIEAMY JUŻ O TRZYDZIESTU SIEDMIU osobach zmarłych w pobliżu granicy z Białorusią, odkąd latem 2021 r., po wykorzystaniu przez reżim w Mińsku migrantów z Błiskiego Wschodu, bezduszne procedury – m.in. wywożenie ludzi z powrotem do lasu – zaczęły stosować polskie służby.

W miniony czwartek niedaleko wsi Czerlonka (pow. hajnowski) znaleziono fragmenty szkieletu i ubrań oraz fotografie mężczyzny w wieku 20–30 lat, wyglądającego na urodzonego poza Europą. Stało się to podczas poszukiwań innego człowieka – zaginionego od stycznia 37-letniego Jemeńczyka (stan zwłok wskazuje jednak na to, że śmierć nastąpiła wcześniej) – prowadzonych przez wolontariuszy Podlaskiego Ochotniczego Pogotowia Humanitarnego, strażaków z Michałowa, policję i naukowców PAN z Białowieży. Tego samego dnia w rzece Świsłocz niedaleko Krynek odkryto ciała kobiety i mężczyzny. Również w poprzednim tygodniu prokuratura uznała wychłodzenie za prawdopodobną przyczynę śmierci 28-letniej Etiopki, której ciało znaleziono wcześniej w lesie niedaleko Hajnowki. Według aktywistów zaginionych jest przynajmniej kilkadziesiąt osób.

Ostatnie poszukiwania zbiegły się w czasie z informacją o uruchomieniu wzdłuż granicy kolejnego, 54-kilometrowego odcinka tzw. bariery elektronicznej (w sumie liczy ona już 181 km). Wspomagane przez drony kamery nocne i termowizyjne oraz kable sensoryczne mają sprawić, że każda próba nielegalnego przekroczenia granicy zostanie „zobaczona” przez Straż Graniczną. W innych częściach świata (m.in. na Morzu Śródziemnym) taka elektronizacja granicy prowadziła zwykle do zmniejszenia obecności funkcjonariuszy w terenie. Drony i obiektywy nie potrafią jednak ratować, mogą być tylko niemymi świadkami. Byłoby dobrze, gdyby uruchamianiu monitoringu towarzyszyło ogłoszenie jasnych procedur postępowania w przypadku wykrycia „na ekranie” osób wymagających pomocy. W interesie wszystkich – po pierwsze, może to zwiększyć szanse tych ludzi; po drugie, bez takich procedur nadzarpnięcie na pograniczu zaufania do służb państwowych tylko się pogłębi. ©©

KRAJ W SKRÓCIE

FRONT IDEOWY

PiS stworzył nowy front kampanii wyborczej. „Przed nami kolejna walka, potężna walka między cywilizacjami” – powiedziała marszałek Sejmu Elżbieta Witek. W nawiązaniu do rekomendacji zaprezentowanych przed laty w raporcie C40 Cities (stowarzyszenia zrzeszającego prezydentów wielu miast, m.in. Warszawy), który w trosce o przeciwdziałanie kryzysowi klimatycznemu proponuje m.in. ograniczenie spożycia mięsa i nabiału – politycy Zjednoczonej Prawicy fotografują się ze stekami i schabowymi oraz straszą Platformą, która ma rzekomo zmuszać Polaków do jedzenia robaków.



TWITTER

FRONT ATMOSFERYCZNY

Tymczasem klimat pozostaje obojętny na polityczne happeningi: ponad 3 tys. interwencji strażaków i 100 tys. odbiorców pozbawionych prądu to efekt wichur, które przeszły nad Polską przez weekend. Na Śnieżce wiatr wiał z prędkością 198 km/h.

FRONT JEDNOŚCI

Niezależnie od różnic ideologicznych, w jednej kwestii Polacy są w zasadzie zgodni: 80,4 proc. ankietowanych przez portal wp.pl wysoko ocenia działania rządu PiS na arenie międzynarodowej w sprawie wsparcia dla Ukrainy i pomocy jej w osiągnięciu wygranej w wojnie z Rosją.

Telefon, który może uratować dziecko

OSIEMSET OSIEMDZIESIĄT PIĘĆ interwencji chroniących życie i zdrowie dzieci zainicjowali w 2022 r. konsultanci prowadzonego przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę telefonu zaufania 116 111. Chodzi o sytuacje, w których młodzi ludzie podjęli już bądź deklarowali zamiar podjęcia próby samobójczej. Interwencje ponad trzy razy częściej dotyczyły dziewcząt niż chłopców.

Fundacja, prowadząca telefon od niemal półtorej dekady, dokonała statystycznego podsumowania. W 2018 r. interwencji ratujących życie było 346, rok później 519, w 2020 r. ponad siedemset, a w kolejnym już ponad osiemset. Podobna jest dynamika wzrostu liczby rozmów, w których pojawia się wątek myśli, zamiarów lub prób samobójczych. O ile w 2018 r. motyw ten pojawił się w ponad 4,5 tys. rozmów, w 2022 r. sięgnął już niemal 7 tysięcy.

Te dane pokrywają się niestety z ogólnopolskimi statystykami dotyczącymi prób samobójczych osób nieletnich. Do 2020 r. ich liczba nie przekraczała tysiąca rocznie, w 2021 r. zbliżyła się niemal do półtora tysiąca, by w kolejnych dwunastu miesiącach przekroczyć dwa tysiące. ©© PW

Szkocja: wstrząsy polityczne

NICOLA STURGEON, od ponad ośmiu lat stojąca na czele szkockiego rządu, pierwsza kobieta na tym stanowisku, podała się do dymisji. Jej decyzja zaskoczyła wszystkich – kilka tygodni wcześniej w wywiadzie dla BBC zapewniała, że ma dość energii (to w nawiązaniu do rezygnacji premier Nowej Zelandii, uzasadnionej wyczerpaniem). Ogłaszając dymisję, Sturgeon stwierdziła, że „instynktownie trzeba wiedzieć, kiedy ustąpić komuś miejsca”. Zaprzeczyła, by jej krok był wywołany ostatnimi napięciami.

Tych było jednak sporo, zwłaszcza po przyjęciu przez parlament wzbudzającego kontrowersję projektu ustawy o uznaniu płci. Do tego problemy w systemie ochrony zdrowia i edukacji, strajki itp. To obciążało jej konto – w końcu na czele rządu stała od 2014 r.

Głównym celem Sturgeon od chwili, gdy mając 16 lat wstąpiła do Szkockiej Partii Narodowej (SNP), była niepodległa Szkocja. Odchodzi w chwili, gdy ruch niepodległościowy osiadł na mieliźnie: poparcie dla suwerenności nie rośnie, Londyn nie zgadza się na kolejne referendum. SNP potrzebuje nowej energii i strategii. Ktokolwiek zastąpi Sturgeon, będzie musiał poradzić sobie także z tym wyzwaniem.

Sturgeon zostanie na stanowisku do wyłonienia następcy bądź następczyni, co odbędzie się pod koniec marca. ©© PATRYCJA BUKALSKA



OLIVER BERG / DPA / AFP / EAST NEWS

POSTACIE Z BAJEK, piraci, księżniczki, kłowni, zwierzęta: tak wyglądały najpopularniejsze kostiumy w Niemczech w 2019 r., podczas ostatniego karnawału przed pandemią. W kolejnych dwóch latach nie organizowano imprez masowych, a rok temu miały jeszcze ograniczenia. Teraz nadrabiano zaległości: „piątą porę roku”, jak Niemcy nazywają czas karnawału, świętowano hucznie, a najhuczniej jak zwykle w Nadrenii. Apogeum miało miejsce tradycyjnie w Różany Poniedziałek (*Rosenmontag*) przed Środą Popielcową, gdy w całym kraju miliony przebranych ludzi wzięły udział w ulicznych pochodach. Na zdjęciu: przed katedrą w Kolonii, 16 lutego 2023 r. ©P WP

„Team Jorge”: izraelska fabryka chaosu

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU



NIEPOZORNA FIRMA OD LAT MIAŁA WPLYWAĆ na wyniki wyborów i prowadzić kampanie dezinformacyjne na całym świecie – to wynik dziennikarskiego śledztwa, prowadzonego przez redakcję z Izraela, Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii. W publikacjach, które ukazały się w zeszłym tygodniu na łamach zaangażowanych w to śledztwo mediów, czytamy o izraelskiej firmie prowadzonej przez Tala Hanana (ps. „Jorge”), biznesmena z powiązaniami w izraelskim środowisku wywiadowczym (jego współpracownicy to m.in. byli pracownicy kontrwywiadu Szin Bet), która na życzenie klientów posługiwała się hakowaniem, fałszerstwami i innymi metodami dezinformacji, stosując nowoczesne technologie na niespotykaną dotąd skalę.

Dziennikarze działali pod przykrywką: troje z nich – z „Haaretz”, „The Marker” i „Radio France” – latem 2022 r. skontaktowało się z „Jorge’em”, podając się za klienta zainteresowanego zdestabilizowaniem jednego z państw Afryki. W opublikowanych nagraniach z sesji spotkań Hanan twierdzi, że wpływał na wyniki 27 wyborów w różnych krajach zgod-

nie z oczekiwaniem klientów. Chwali się też technologią dezinformacyjną AIMS, dzięki której używa mediów społecznościowych jako broni: AIMS jest w stanie wykreować kilkadziesiąt tysięcy sztucznych kont (botów) w różnych mediach społecznościowych, które mają siał niepokój i dezinformację. Dziennikarze dotarli do dziesiątków przykładów skutecznych kampanii prowadzonych przez „Team Jorge”, jak nazywa on swoją ekipę.

Publikacje wywołały burzę na całym świecie, także w Izraelu, który jest w szczególnym momencie: nowy rząd Beniamina Netanjahu podejmuje kolejne kroki na drodze do reformy sądownictwa, a opozycja zarzuca mu antydemokratyczne zapędy i obawia się, że sięgnie on po nieczyste metody. Afera „Team Jorge” to nie pierwszy raz, gdy izraelska wiedza zostaje wykorzystana w złym celu – nie milkną echa po Pegasusie, oprogramowaniu szpiegującym firmy NSO Group. Izrael wkłada gigantyczne pieniądze w nowoczesne technologie dla armii i wywiadu. Perspektywa, co może się stać, gdy ta wiedza trafi w niepowołane ręce, budzi uzasadniony niepokój. ©P

Mołdawia w cieniu Rosji

DONIESIENIA o planowanym przez Kreml przewrocie politycznym, rosyjski pocisk nad przestrzenią powietrzną i zmiana szefa rządu: te wydarzenia wstrząsnęły w ubiegłym tygodniu Mołdawią, a ich zbieżność w czasie spowodowała szereg nadinterpretacji w zachodnich mediach.

Najpierw to Wołodimir Zełenski, przebywając 10 lutego w Brukseli, oznajmił, że ukraiński wywiad dotarł do rosyjskich planów dokonania przewrotu w Mołdawii. Kilka dni później informację tę potwierdziła prezydent tego kraju Maia Sandu, precyzując, że grupy przebywających w jej kraju Rosjan, Białorusinów, Czarnogórców i Serbów miały dokonać ataku na budynki rządowe, by umożliwić następnie przejęcie kontroli nad nimi przez lokalne siły prorosyjskie. W związku z tym do Mołdawii nie wpuszczono grupy serbskich kibiców i czarnogórskiej drużyny bokserskiej.

W międzyczasie, w poniedziałek 13 lutego rano, rosyjskie pociski znów naruszyły mołdawską przestrzeń powietrzną. Informacja ta pojawiła się w momencie, gdy trwała narada rządzącej Partii Aktywności i Solidarności (PAS) i prezydent Mai Sandu. Po jej zakończeniu premier Natalia Gavriluță podała się do dymisji. Już 16 lutego parlament zatwierdził nowy rząd, na którego czele stanął Dorin Recean, do niedawna doradca Sandu ds. bezpieczeństwa. O zmianie na stanowisku premiera mówiło się od jesieni. PAS liczy, że nowy premier zatrzyma negatywny trend w sondażach. Jego zadaniem jest przyspieszenie reformy wymiaru sprawiedliwości, doprowadzenie do wymiernych sukcesów w rozliczaniu afer i poprawa komunikacji.

Nie bez znaczenia jest fakt, że ekonomistkę zastąpił były szef MSW. Zmiana premiera ma umocnić dotychczasowy prozachodni i antykorupcyjny kurs. Oznacza to też, że rosyjskie zagrożenie destabilizacją jest wciąż aktualne.

© PIOTR OLEKSY

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DO KOŃCA

„Na razie nie ma tego w moim programie” – odpowiedział papież, pytany podczas niedawnej wizyty w Demokratycznej Republice Konga przez jezuitów o ewentualną rezygnację. Franciszek uważa, że postuga papieża jest dożywotnia.

BEATYFIKACJA

Do Markowej na Podkarpaciu 10 września 2023 r. przyjedzie prefekt Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych kard. Marcello Semeraro, by w imieniu papieża beatyfikować Józefa i Wiktorię Ulmów oraz ich siedmioro dzieci, zamordowanych przez hitlerowców w 1944 r. za ukrywanie Żydów.

WYRÓŻNIONA

Żałobniczka pierwszego hospicjum na Litwie, polska zakonniczka Michaela Rak, została odznaczona przez prezydenta Litwy Krzyżem Kawalerskim Orderu Wielkiego Księcia Litewskiego Giedymina.

WSTRZĄSY

„Podczas nabożeństwa proszę o odniesienie się w kazaniu do tragedii bestialskiej rosyjskiej napaści na Ukrainę” – napisał w liście wzywającym do modlitwy o pokój prawosławny arcybiskup przemyski i gorlicki Paisjusz. W kontekście niedawnego „wiernopoddanego” listu zwierzchnika polskiego prawosławia abp. Sawy do patriarchy moskiewskiego Cyryla portal Ekumenizm.pl pyta: czy w polskim prawosławiu trwają ruchy tektoniczne.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Niewiara w Greków

AMERYKAŃSKI JEZUITA Thomes Reese opublikował artykuł, w którym zastanawia się nad gwałtownym spadkiem uczestnictwa katolików w mszach. Zauważa, że nie chodzi tu tylko o problem frekwencji na liturgii, ale w ogóle kryzys wiary w Eucharystię. Stawia tezę, że dominująca także w katechezie teologia jest dziś zupełnie niezrozumiała. Sam wyznaje swoją wiarę w realną obecność Chrystusa w Eucharystii, ale odrzuca doktrynę o przeistoczeniu – ponieważ, przyznaje, że nie wierzy w arystotelesowską metafizykę, na której owa doktryna jest zbudowana.

Reese porusza niezwykle ważny problem: powiązania wyrazu wiary z konkretnymi systemami myślowymi, które dominowały w jakimś czasie, ale współcześnie są zarówno nieprzekonujące dla specjalistów, jak i niezrozumiałe dla ogółu. Jeśli wiara ma być katolicka – tzn. powszechna – trzeba wyrażać ją wciąż na nowo.

© PIOTR SIKORA

Złote przeboje średniowiecznych ambon

NAJSŁYNIEJSZE KAZANIA głoszone w ciągu 800 lat istnienia zakonu przypomną w okresie Wielkiego Postu dominanie z Wiednia. Wśród wybranych autorów znaleźli się następcy św. Dominika bł. Jordan z Saksonii, wielki mistyk Johannes Tauler (którego za mistrza duchowego uważał Marcin Luter) czy wsławiony konfliktem z niemoralnym papieżem Aleksandrem VI Girolamo Savonarola, którego napomnienia wysyłane do Rzymu doprowadziły do ekskomunikacji, a w końcu na szubienicę.

W średniowieczu przyjazd do miasta sławnego kaznodziei był wydarzeniem, o którym opowiadano długo wcześniej i długo potem. Kazania, trwające po kilka godzin, wygłaszano poza liturgią mszy, na ogół do ludzi zgromadzonych na rynkach miast – np. św. Jana Kapistrana w Krakowie w 1453 r. słuchało kilkanaście tys. osób [zob. więcej o tym kaznodziei w dziale Wiara]. Savonarolę, znanego w kulturze popularnej głównie z potępienia radości życia, współcześni porównywali do proroka Amosa ze względu na często powtarzane groźby potępienia za grzechy. Dominikanin zawsze podkreślał jednak, że miłosierdzie Boga głodzi najgorsze przewinienia pokutujących. Wiedeńscy bracia przypomną też kazania Cyrilla Rigi z XVIII w., Henri Lacordaire’a z XIX w. i zmarłego w 1980 r. Diego Goetza. Wszystkie teksty zostaną skrócone do ok. 20 minut. © MACIEJ MÜLLER

Portugalia: ukazał się raport o pedofilii w Kościele



ARTUR SPORNIK

NIEZALEŻNA KOMISJA BADAJĄCA PRZYPADKI wykorzystania seksualnego dzieci w portugalskim Kościele opublikowała po roku badań prawie 500-stronicowy raport. Kwerenda objęła lata 1950-2022. Potwierdzono świadectwa 512 ofiar, które doprowadziły komisję na trop co najmniej kolejnych 4300 ofiar. Autorzy raportu są świadomi, że to jedynie wierzchołek góry lodowej. Do Prokuratury Generalnej w Lizbonie trafiło 25 doniesień o przestępstwie – liczba jest niewielka, przyczyną członkowie komisji, gdyż większość przypadków uległa przedawnieniu lub brakowało w nich dowodów.

Choć celem komisji było oddanie głosu ofiarom („Dać głos ciszy” – to tytuł raportu), a w mniejszym stopniu badanie profilu sprawców czy instytucjonalnego kontekstu przestępstw, raport potwierdził, że w wielu przypadkach nadużycia miały charakter systemowy. „Postawa klerykalna, ignorowanie praw dziecka, odwracanie wzroku, wszystko to sprzyjało utrwaleniu nadużyć i wzmacniało milczenie ofiar”.

Portugalia to kolejny europejski kraj – m.in. po Francji i Niemczech – w którym biskupi zdecydowali się powołać niezależną komisję. Jej powołanie zlecił episkopat portugalski pod koniec 2021 r. psychiatrze dziecięcemu Pedro Strechtowi, zaangażowanemu w ochronę dzieci. Dane zbierano za pomocą numeru telefonicznego przeznaczonego dla ofiar, ankiety online oraz wywiadów. Przeanalizowano także doniesienia medialne. Ale przede wszystkim za zgodą Watykanu dokonano kwerendy archiwów kościelnych. Roczna praca komisji kosztowała Kościół ok. 200 tys. euro. Bp José Ornelas Carvalho, przewodniczący portugalskiego episkopatu, przeprosił ofiary i zapowiedział, że biskupi będą analizować raport 3 marca na nadzwyczajnym zebraniu w Fatimie.

Powołanie niezależnej komisji specjalistów z dostępem do archiwów kościelnych daje najgłębszy wgląd w zjawisko pedofilii w Kościele. Bez tej wiedzy Kościół skazuje się na działania powierzchniowe. Kiedy świadomość ta dotrze do biskupów polskich? ©

KULTURA W SKRÓCIE

OPERA O WARSZAWIE

Ruszył konkurs na operę o odbudowie stolicy z librettem opartym na reporterskiej książce Grzegorza Piątka „Najlepsze miasto świata”. Do udziału w artystycznych zmaganiach zaproszono siódmą kompozytorkę i kompozytorów. Nad projektem czuwa Sinfonia Varsovia we współpracy z Międzynarodowym Festiwalem Muzyki Współczesnej Warszawska Jesień, Teatrem Wielkim – Operą Narodową oraz Muzeum Warszawy. Premiera zapowiadana jest na 2025 rok.

ORGANISTA W PARYŻU

Polski organista Karol Mossakowski zostanie pierwszym obcokrajowcem na prestiżowym stanowisku tytularnego organisty kościoła Saint-Sulpice w Paryżu. Zastąpi na nim Daniela Rotha, który piastował je przez blisko cztery dekady. W tym roku Mossakowski otrzymał International Classical Music Award.

OWACJE W KATOWICACH

Reżyserka teatralna Maja Kleczewska została laureatką trzeciej edycji Nagrody im. Kazimierza Kutza przyznawanej osobom, które łączą działalność artystyczną ze społecznym zaangażowaniem. Kleczewska jest autorką głośnej inscenizacji „Dziadów” w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie.



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY
„TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasy w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM



JACEK TARAN

WYSPIAŃSKI, DRUGA ODSŁONA. W Muzeum Stanisława Wyspiańskiego (oddział Muzeum Narodowego w Krakowie) zaprezentowano nową ekspozycję prac artysty. Wystawa oparta na wątkach i tematach z życia Wyspiańskiego przedstawia tak znane prace jak np. „Autoportret z żoną”, „Helenka z wazonem” czy „Śpiący Miecio”. Zobaczyć też można obraz „Plenty w świetle” (na zdjęciu), o który – jak mówią pracownicy muzeum – często dopytywali zwiedzający poprzednią ekspozycję. Wystawę uzupełniają ołówkowe szkice w notesach, studia kredką i węglem. W muzeum nadal można też oglądać wielkoformatowe projekty witraży „Bóg Ojciec” czy „Apollo-Chrystus”. ©© JT

Nastolatek z demencją

CHOROBA ALZHEIMERA kojarzona jest z przypadłością osób w podeszłym wieku. Tylko w 1 na 20 przypadków objawy, takie jak zaburzenia uwagi i trudności z zapamiętywaniem nowych informacji, występują przed 65. rokiem życia, a zachorowanie przed 30. to prawdziwa rzadkość. Demencja o tak wczesnych objawach to zwykle postać dziedziczna, związana z mutacją konkretnych genów.

W czasopiśmie „Journal of Alzheimer’s Disease” grupa chińskich badaczy opisała przypadek najmłodszego pacjenta z tą chorobą. Obraz mózgu w rezonansie magnetycznym zaledwie 19-latką przedstawiał typowy dla zaawansowanej choroby zanik hipokampu, struktury odpowiedzialnej za zapamiętywanie. Pierwsze oznaki demencji pojawiły się dwa lata wcześniej, a postęp choroby uniemożliwił nastolatkowi ukończenie szkoły średniej.

Poprzedni najmłodszy pacjent w chwili diagnozy miał 21 lat i wykryto u niego jedną ze znanych mutacji. W przypadku z Chin nie znaleziono żadnej z nich. © BARTOSZ KABAŁA

Sztuczna inteligencja rozumie, że jesteśmy ludźmi?

„TEORIA UMYŚŁU” to zdolność do przypisywania innym osobom niewidocznych gołym okiem stanów umysłowych, takich jak cele, zamiary czy przekonania, umożliwiającą nam przewidywanie i wyjaśnianie ich zachowań. Termin ten pojawił się w psychologii pół wieku temu i do dziś jest źródłem licznych kontrowersji. Kolejną wywołał właśnie psycholog Michał Kosiński, twierdząc, że teoria umysłu może powstawać spontanicznie w modelach języka opartych na sztucznej inteligencji.

Z jego badania wynika, że ChatGPT w styczniu 2022 r. radził sobie z tzw. testem fałszywych przekonań na poziomie 7-letniego dziecka, zaś uaktualniona wersja w listopadzie – już na poziomie 9-latka. Kosiński sprawdzał, czy program potrafi przewidzieć, iż wymieniona w konwersacji osoba będzie mieć fałszywą wiedzę o świecie – inną niż program.

Choć wyniki badania nie zostały jeszcze opublikowane w czasopiśmie naukowym, wywołały burzę. Część komentatorów twierdzi, że „teoria umysłu” to tylko pewien rodzaj rozumowania opartego na prawidłowościach języka. Jednak takie ujęcie nie wyjaśnia, dlaczego niektóre zwierzęta radzą sobie dobrze z niewerbalnymi wersjami testu fałszywych przekonań. Podobnie jak pamięć, teoria umysłu raczej nie jest jednorodną funkcją poznawczą, ale składa się z wielu prostszych zdolności, które nie muszą być unikalnie ludzkie. © MATEUSZ HOHOL



NASZE WILKI

Choć w Polsce są pod ochroną, nie ma dnia bez doniesienia o zwierzęciu zastrzelonym lub potrąconym przez samochód.

ADAM ROBIŃSKI

CIAŁO LEŻAŁO NA OPADŁYCH DĘBOWYCH liściach, pod koroną jodły, kilka metrów od drogi. Na wzniesieniu – może dlatego musiało minąć kilka dni, zanim je znaleziono. Dopiero wtedy pracująca w znajdującej się 100 metrów dalej agroturystyce Ukrainka uświadomiła sobie, że parę dni wcześniej słyszała wystrzał. Był 27 grudnia, więc pomyślała, że ktoś przygotowuje się do sylwestra. Przecież w zapowiedniku – w ukraińskim systemie prawnym to najwyższa forma ochrony przyrody – na terenie parku narodowego, polować się nie powinno.

Huta Polańska to południowy skraj Magurskiego Parku Narodowego w Beskidzie Niskim. We wsi kończy się asfalt, dalej jest już tylko żółty szlak turystyczny, 45 minut do granicy ze Słowacją. Nie dość więc, że wilk to gatunek chroniony, to na dodatek znajdował się na obszarze objętym ochroną.

Przeprowadzona kilka dni później w Wojewódzkim Inspektoracie Weterynarii w Krośnie sekcja potwierdziła to, co dla parkowego biologa było oczywiste na pierwszy rzut oka: przyczyną śmierci samicy wilka był krwotok wewnętrzny powstały w wyniku strzału z broni śrutowej. Wskazywały na to cztery rany postrzałowe, m.in. w szyi. Wilczyca miała też obrażenia mechaniczne, być może powstałe w wyniku kolizji z autem, jednak były one stare i nie miały wpływu na jej

śmierć. Zwierzę było młode, ważyło 35 kilogramów.

Zenon Wojtas z zespołu ds. ochrony przyrody Magurskiego PN rozpoznał w nim urodzoną siedem miesięcy wcześniej córkę samca przewodzącego głównej grupie rodzinnej zamieszkującej park (lub jej siostrę; w miocie z 2022 r. urodziły się dwie bardzo podobne samice). Fotografował ją w minionym roku parokrotnie, ostatni raz na kilka tygodni przed śmiercią. Z uwagi na charakterystyczne umaszczenie futra nazwał ją „złotą wilczycą”.

Park na łowy

Grażyna Krzyżanowska, prokurator rejonowa w Jasle, w rozmowie z TVP Rzeszów podkreślała, że grudniowy przypadek kłusownictwa to na podległym jej terenie sytuacja bez precedensu. To jednak nieprawda – w marcu 2021 r. policja w Nowym Żmigrodzie otrzymała wezwanie do innej zabitej wilczycy. Zwierzę znaleziono w rzece we wsi Toki, niecałe osiem kilometrów w linii prostej od granicy parku narodowego. Pochodziło z rodziny korzystającej z jego centralnych leśnictw oraz terenów po słowackiej stronie granicy. Jak przyznaje komisarz Piotr Wojtunik z jasielskiej policji, również w tym przypadku biegli po sekcji zwłok uznali, że wilczyca została najprawdopodobniej zastrzelona. Dodatkowo jej ciało pośmiertnie zbezczeszczono: zdjęto z niego futro, ucięto głowę oraz łapy. Z czasem śledztwo umorzono, sprawcy nie znaleziono. Według Wojtunika także w sprawie wilczycy

z ubiegłego roku policja nie ma na razie podejrzanych.

W bezpośrednim sąsiedztwie Magurskiego Parku Narodowego znajduje się kilka obwodów łowieckich. Z rejonem Huty Polańskiej sąsiaduje obwód nr 197, dzierzawiony przez koło łowieckie „Zacisze” z Krosna. W obwodzie nr 198 – to wsie Wyszowatka, Ozenna i Grab – polują myśliwi z koła „Ryś” w Krempnej. W obwodzie nr 179 – okolice Nowego Żmigrodu – z krośnieńskiej „Ponowy”. Jak wynika z planu polowań zbiorowych, 23 grudnia podczas polowania oznaczonego jako wigilijne, myśliwi z „Zacisza” zabijali m.in. jelenie, sarny, dziki i lisy w lasach przylegających do wsi Chyrowa oraz Myscowa przy wschodniej granicy parku. To wspomniany już obwód nr 197, a więc ten, w sąsiedztwie którego zabito złotą wilczycę (publikowane harmonogramy nie uwzględniają polowań indywidualnych).

Ważna ostoja zwierząt w południowej Polsce – matecznik wilka i rysia, sporadycznie również niedźwiedzia, a także dom jednej z największych populacji karpackiego jelenia, jest ze wszystkich stron otoczona łowieckimi ambonami. Niepokój budzi również fakt, na który kilka lat temu zwracał uwagę w wywiadzie z „Tygodnikiem” Marian Stój, były dyrektor Magurskiego PN – na około 90 pracowników parku, 18 osób to myśliwi. Niektórzy z nich należą do wspomnianych już kół łowieckich. To uderzające zestawienie – w parku narodowym dział ochrony przyrody liczy cztery osoby, a prawie 20

Wilczyca w karpackim lesie. Zdjęcie zrobiono w listopadzie 2022 r. Kilka tygodni później ona (lub jej bardzo podobna siostra) została zastrzelona przez człowieka.

ZASIĘG WYSTĘPOWANIA WILKÓW W POLSCE

1975 r. 1998 r. 2018 r.

Dębno, Zachodnio-pomorskie

W grudniu 2002 r. leśniczy z leśnictwa Namyślin znalazł na swoim terenie dwa zakopane ciała wilków. Jeden z młodych samców miał ślady po kuli. Sprawą zajęła się prokuratura.

Kampinoski Park Narodowy

Potrąconego w 2017 r. przez samochód wilka Kampinosa po leczeniu wyposażono w obrożę telemetryczną. Odczyty pokazały, że podczas migracji w poszukiwaniu nowego domu dwukrotnie przekroczył autostradę w miejscach przejść dla zwierząt.

Roztocze

Objęty programem badawczym wilk Kosy został we wrześniu 2019 r. zastrzelony przy ambonie łowieckiej w sąsiedztwie parku narodowego. Sprawcę, lokalnego myśliwego, udało się wytropić dzięki znalezionej na miejscu kuli. To jeden z niewielu takich przypadków.

→ pracowników po godzinach uprawia łowiectwo.

Trzy rodziny

Magurski PN to szósty co do wielkości park narodowy w Polsce. Z prawie 200 kilometrów kwadratowych powierzchni korzystają tu trzy rodziny wilcze. Główna, której areał to 60 proc. powierzchni parku, żyje w jego środkowej części. W realiach karpacczych areał rodziny to nawet 25 tys. hektarów, w tym przypadku sięga aż słowackiego Svidnika. Wilczyca zabita w 2021 r. była najprawdopodobniej samicą alfa z tej właśnie grupy. Po jej śmierci w rodzinie pozostało jedynie pięć zwierząt. W kolejnym roku urodziło się siedem młodych, z których jedno zostało właśnie zastrzelone.

Areal drugiej grupy to kompleks najwyższego w parku pasma Magury Wątkowskiej oraz nadleśnictwa znajdujące się na północ od jego granic. Trzecia jedynie zahacza o tysiąc, może tysiąc pięćset hektarów wschodniej części parku, przede wszystkim funkcjonując poza jego granicami.

Świeże wilcze tropy, które razem z Wojtasem oglądaliśmy w miejscu znalezienia ciała złotej wilczycy w drugiej połowie stycznia, należą prawdopodobnie do zwierząt właśnie z trzeciej rodziny. W Hucie Polańskiej krzyżują się bowiem areale dwóch grup. Biolog zwraca uwagę na pasące się nieopodal krowy i fakt, że wilki nijak nie są nimi zainteresowane. Populacja drapieżników utrzymuje się na stałym poziomie, podobnie jak populacja jeleni, ich najważniejszych ofiar, których żyje w parku ponad pół tysiąca.

Chcemy spędzić kilka dni na tropieniu głównej magurskiej rodziny, żeby zaobserwować, jak zmieni się jej zachowanie po stracie. W jednej z dolin w środku parku odnajdujemy nad potokiem tropy z minionej nocy i starą ofiarę – czaszkę byka z pokaźnym porożem. Przez kilka kilometrów wędrujemy za rodziną, obserwowani przez orla przedniego, który zdaje się sprawować pieczę nad całą okolicą. Tropy przechodzą przez potok i znikają w kolejnej dolinie. Jedziemy tam przed wieczorem, licząc na to, że uda nam się przeciąć szlak migrującej rodziny. Brniemy w śniegu wzdłuż leśnej stokówki, napotykać tropy rysia i całej masy jeleniowatych. O zmroku przekonujemy się, że również wilki były tam przed nami.

Karkonoski Park Narodowy

Jednym z miejsc, gdzie w ostatnich latach powróciły wilki, są Karkonosze. Nie było ich tu od I połowy XIX w. Wiosną 2017 r. trzy osobniki zarejestrowała parkowa fotopułapka. Jak się potem okazało, zostały na stałe.

Magurski Park Narodowy

Między marcem 2021 a grudniem 2022 r. kłusownicy zastrzelili dwie wilczyce z tej samej rodziny. Po zabiciu samicy alfa grupa znalazła się na skraju rozpadu. Z parku korzystają jeszcze dwie inne wilcze rodziny.

Nadleśnictwo Brzozów

W 2021 r. trzy wilki zachowywały się agresywnie wobec pilarzy. GDOŚ wydała zgodę na odstrzał – zabito dwie samice (nie jest pewne, czy te same, z którymi mieli do czynienia pilarze). Wilki mogły być przyzwyczajone do ludzi, bo ktoś je dokarmił.

LECH MAZURCZYK

– Jesienią młode były jeszcze niedoświadczone i mało mobilne, więc większość czasu spędzały w centralnej części areálu. Pod koniec listopada i w grudniu razem z dorosłymi zaczęły stale zmieniać miejsce swojego funkcjonowania i teraz regularnie przemieszczają się po swoim terytorium – tłumaczy Wojtas. – Zawsze w dużej grupie. Kłusownik, który w Hucie Polańskiej zastrzelił młodą, mógł złapać ją w ogonie całej rodziny przebiegającej przez drogę. Jej rodzeństwo, o ile będzie miało więcej szczęścia niż ona, jeszcze przez rok pobędzie u boku rodziców. Potem nastąpi tzw. dyspersja, czyli opuszczenie rodziny w celu znalezienia sobie nowego miejsca do życia oraz partnera lub partnerki.

Jak giną wilki

Według danych Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Polsce żyje dziś ok. 1900 wilków (dane z 2018 r.). Jako kraj mamy obowiązek co sześć lat przekazywać Komisji Europejskiej dane dotyczące liczebności gatunków o znaczeniu europejskim, a takim jest właśnie wilk. Druga połowa XX w. to najpierw drastyczny spadek populacji (od 1975 r. wilk był w Polsce gatunkiem łownym), a następnie jej stopniowy wzrost i stabilizacja (od 1998 r. znajduje się pod ścisłą ochroną).

Ale są jeszcze inne dane, z równie ważnego źródła. Jak wynika z badań przeprowadzonych przez naukowców ze Stowarzyszenia dla Natury „Wilk”, Roztoczańskiego Parku Narodowego, Uniwersytetu Warszawskiego i Instytutu Biologii Ssaków PAN, opublikowanych w „Biological Conservation” w 2021 r., mimo reżimu ochronnego aż 147 wilków ginie w Polsce rocznie od strzału z rąk kłusowników.

Aby poznać tę liczbę, naukowcy poddali analizie dane z obrotu telemetrycznych umożliwiających śledzenie konkretnych osobników. Spośród szesnastu badanych tą metodą wilków aż sześć zostało zastrzelonych: pięć w Polsce, jeden na Słowacji, 10 km od polskiej granicy (poza sezonem polowań, kiedy te były jeszcze tam dopuszczane). Pozyskane dane posłużyły do ustalenia rozkładu prawdopodobieństwa przeżywalności zaobrożowanych wilków, a następnie przełożenia go na całą populację. Dodatkowo w latach 2002-20 badacze odnaleźli 54 nielegalnie zastrzelone wilki – dwie trzecie

Mimo reżimu
ochronnego,
z rąk kłusowników
ginie w Polsce
ok. 150 wilków rocznie.

z tej liczby w ostatnich latach. W tym samym czasie 37 wilków zmarło we wnykach.

Naukowcom udało się ustalić jeszcze jedną ponurą prawdę. Aż 26 spośród 39 śledztw dotyczących zastrzelenia wilka zostało umorzonych z powodu niewykrycia sprawcy lub tzw. niskiej szkodliwości społecznej czynu. W sześciu na siedem spraw, które zakończyły się skazaniem, winnymi okazali się myśliwi zrzeszeni w Polskim Związku Łowieckim lub zagraniczni, którzy wykupili w Polsce komercyjne polowania na gatunki łowne (pozostałe ujęte statystyką dotyczyły się w momencie zamknięcia badania). Tylko w jednym przypadku sprawcą okazał się kłusownik bez zezwolenia na broń palną. Zasądzone kary? Więzienie w zawieszeniu oraz grzywny w wysokości paru tysięcy złotych.

– Wszystko zwykle rozbija się o kulę. Jeśli uda się ją znaleźć w ciele zwierzęcia, wtedy wzrasta szansa na wykrycie sprawcy, bo da się po niej dotrzeć do konkretnej sztuki broni palnej – mówi Eliza Gehrke ze Stowarzyszenia „Z Szarym Za Płotem”, które w sprawie złotej wilczycy z Beskidu Niskiego otrzymało status pokrzywdzonego. – Niestety w przypadku wilka zwykle kula przechodzi na wylot. Przypadki, w których udaje się ją potem odszukać na miejscu zdarzenia, są rzadkie.

Jedną z głośniejszych spraw, w których udało się ustalić sprawcę, był przypadek wilka Kosego z Roztocza. Zaobrożowanego samca zastrzelono w sąsiedztwie ambony, w bezpośrednim sąsiedztwie Roztoczańskiego PN, na terenie obwodu łowieckiego dzierżawionego przez Koło Łowieckie nr 59 „Słonka”. Kulę znaleziono na miejscu zabójstwa. Oskarżony był członkiem wspomnianego koła.

Ale wilki giną również przypadkiem. Andżelika Haidt z Instytutu Badawczego Leśnictwa oraz Stowarzyszenia „Z Szarym Za Płotem” zebrała od Regionalnych Dyrekcji Ochrony Środowiska dane dotyczące wypadków drogowych i kolizji z udziałem wilków. Na 16 dyrekcji na zapytanie odpowiedziało ich 11, dane są więc cząstkowe. Mówią o 161 wilkach potrąconych przez samochody.

– To jednak dość nierówny zbiór – przekonuje Haidt. – W niektórych regionach zdarzeń jest więcej niż gdzie indziej, np. 42 w rejonie Bydgoszczy, nie dlatego, że wilki są tam „od zawsze”, ale między innymi z uwagi na duży lokalny aktywizm, który owocuje wieloma zgłoszeniami od leśników i przypadkowych świadków. Do tego dochodzą duże kompleksy leśne w postaci Puszczy Bydgoskiej i części Borów Tucholskich.

Najwięcej przypadków dotyczy okresu jesienno-zimowego.

– Niestety nie wiemy, od kiedy RDOŚ zbierają wspomniane dane – zauważa Haidt. – Musimy też pamiętać, że zapewne większość kolizji nie jest w ogóle zgłaszana, bo ciężko zidentyfikować zwłoki, wilk brany jest za dużego psa, oszołomione zwierzę ucieka z miejsca zdarzenia lub po prostu brak jest osoby, która wzięłaby na siebie zgłoszenie do odpowiednich organów.

– Ostatnio mam wrażenie, że nie ma dnia bez zgłoszenia o wilku zabitym na drodze lub zastrzelonym – konkluduje Gehrke.

Pies czy wilk

Kolejnego dnia razem z Wojtasem prze mierzamy dolinę będącą jeszcze jednym pograniczem arealów dwóch rodzin. Mamy nadzieję natknąć się tu na krewnych złotej wilczycy – kilka dni wcześniej znajomy Wojtasa był świadkiem, jak zwierzęta dopadły w potoku dorosłego jelenia. Jednak tropy, jakie tam zastajemy, pochodzą sprzed paru dni. To znak, że nasze wilki jeszcze tam nie doszły podczas obecnego obchodu areálu. Decydujemy się wrócić do poprzedniej doliny.

Kiedy skręcamy w odpowiednią drogę, dzwoni telefon. Ktoś widział trzy wilki przy wsi na zachodnim krańcu parku. Wojtasowi coś się w tych doniesieniach nie zgadza: zwierząt jest za mało, są nie tam, gdzie się ich spodziewał, na dodatek na zarejestrowanym filmie nie zapadają →



MATERIAŁY PRASOWE GDDKIA

Przeście dla zwierząt nad autostradą A2

Jak wilki skorzystały na autostradach

POLSKA POPULACJA wilka szarego zmniejszyła się drastycznie po II wojnie światowej. Z ówczesnych danych rządowych wynika, że w kraju żyło ok. 800 wilków. Były tępione jako szkodniki, a państwo płaciło za ich zabijanie. Krytyczne minimum to rok 1972, kiedy w granicach Polski żyło ich już tylko 60. Były to pojedyncze rodziny na Podlasiu, Lubelszczyźnie oraz w Karpatach: Bieszczadach i Beskidzie Niskim. Rok 1975 to wpisanie wilków na listę zwierząt łownych, co oznaczało wprowadzenie (z wyłączeniem trzech województw) kilkumiesięcznego okresu ochronnego. Mimo polowań, w latach 80. wilków zaczęło przybywać (oficjalnie zabijano 100-200 osobników rocznie). W 1992 r. objęto je ochroną na terenie trzech województw na zachodzie Polski, w 1995 r. dołączyła do nich reszta kraju z wyłączeniem ówczesnych województw: krośnieńskiego, przemyskiego i suwalskiego. W 1998 r. wilk był już

chroniony w całym kraju. Wyjątkiem od ścisłej ochrony są decyzje Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska, która każdego roku zezwala na zabicie pojedynczych zwierząt. Chodzi o wilki, które np. weszły w kontakt z człowiekiem i mogłyby w przyszłości stanowić dla niego zagrożenie (to np. przypadek podkarpackiego Brzozowa z 2021 r.). Powrót wilka zbiegł się w czasie z budową dróg ekspresowych i autostrad. Dzięki temu, że Polska budowała je dość późno w porównaniu z zachodnią Europą, można było w planowaniu ich przebiegu uwzględnić potrzeby migrujących zwierząt. Udało się zachować istniejące korytarze ekologiczne między największymi kompleksami leśnymi. Siatka przejść nad drogami, które bywają dla zwierząt barierą nie do przebycia, uczyniła z Polski „eksportera” wilczej populacji na resztę kontynentu. Według danych z 2018 r. Polskę zamieszkuje 1886 wilków. Jako członek UE mamy obowiązek co sześć lat raportować Komisji Europejskiej stan ich populacji. Kolejne liczenie wkrótce.

© AR

→ się w śniegu, choć przy masie kilkudziesięciu kilogramów – powinny. Dopiero po zmroku, na ekranie komputera przekonamy się, że to był fałszywy alarm – trzy kroczące pod lasem sylwetki to duże psy, które uciekły z jednego z gospodarstw. Dokładnie w tym czasie parkowa fotopułapka wysłała sygnał o wykrytym ruchu wraz ze zdjęciem wilczej rodziny. Z miejsca, w którym planowaliśmy jej tego dnia szukać.

Wilki nie mają dobrej prasy, i to wcale nie za sprawą kulturowej roli bajki o Czerwonym Kapturku. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że w publicznej debacie o tym gatunku dominują właśnie tego typu narracje. Lokalne media chętnie opisują niezwyrefikowane przypadki rzekomych ataków wilków na ludzi. Przykładem może być przypadek zaginionego w połowie grudnia mężczyzny z Przemyśla. W styczniu znaleziono jego szczątki objedzone przez padlinożerców. Biegli nie znaleźli śladów udziału drapieżników w jego śmierci. Prawdopodobnie zamarł. Zdjęcie ogryzionego szkieletu pojawiało się jednak w wielu miejscach z sugestią, że może chodzić o wilki. W nagłówkach zwierzęta zwykle „terroryzują mieszkańców”, „widywane są koło szkół”, a za ich sprawą „zwierzęta domowe znikają bez śladu” (to cytaty z jednego tylko artykułu serwisu nowiny24.pl z Podkarpacia).

W styczniu do nadleśnictw i parków narodowych trafiło pismo posłanki Urszuli Paślowskiej z PSL, przewodniczącej sejmowej Komisji Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa. Paślowska prosi w nim m.in. o informacje dotyczące ewentualnego wzrostu populacji dużych drapieżników, o to, czy stanowią one zagrożenie dla mieszkańców i turystów oraz zwierząt hodowlanych, oraz o przypadki występowania hybryd wilków i psów. Wartość merytoryczna uzyskanych w ten sposób danych pozostawia wiele do życzenia (w jaki sposób nadleśnictwo ma stwierdzić, czy dane zwierzę to hybryda, bez przeprowadzania każdorazowo drogich badań genetycznych?); każe też pytać, czemu ma służyć ich zbieranie. Za pismem komisji do parków narodowych poszło inne, w którym Ministerstwo Klimatu i Środowiska domaga się, by odpowiedzi na pytania sejmowej komisji zostały uzgodnione z resortem.

Przyrodnicy obawiają się, że ankieta – trudno nazwać ją badaniem – służyć ma

za podkładkę pod zmianę prawną: postulowane przez środowiska łowieckie wpisanie wilka na listę gatunków łownych. Paślawska to zresztą przewodnicząca Klubu Dian – polujących kobiet – w Polskim Związku Łowieckim.

W opublikowanym w marcu 2021 r. stanowisku PZŁ przekonuje, że pozyskanie łowieckie nie kłóci się z zachowaniem populacji wilków i ich ekspansji na nowe tereny. „Kontrolę liczebności wilków mogą sprawować wyłącznie myśliwi i tylko przez ściśle kontrolowany odstrzał” – pisze PZŁ. Łowczy krajowy przekonuje, że jako społeczeństwo „potrzebujemy decyzji opartych na merytorycznej wiedzy i badaniach, a nie na emocjach i amatorskich obserwacjach”.

To samo oświadczenie wspomina o „medialnych doniesieniach o zwiększającej się krajowej populacji wilka” i coraz częstszych konfliktach na linii wilk – człowiek, bez powołania się na jakiegokolwiek badania czy liczby.

Lekcja biologii

Gdyby ustawodawca chciał oprzeć się na wiedzy naukowej, sięgnąłby choćby po artykuł opublikowany w styczniu w „Frontiers in Ecology and the Environment” przez pracowników amerykańskiego National Park Service i Uniwersytetu Minnesoty, będący efektem ponad trzydziestoletnich badań terenowych na 193 rodzinach wilków. Wynika z nich, że spowodowana przez

Przyrodnicy obawiają się proponowanego przez myśliwych wpisania wilka na listę gatunków łownych.

człowieka śmierć losowego zwierzęcia zmniejszyła przewidywane szanse przetrwania grupy rodzinnej do końca roku biologicznego o 27 proc. oraz reprodukcji w kolejnym roku o 22 proc. W przypadku, gdy chodzi o wilka z pary rozrodczej, szanse malały odpowiednio o 73 proc. i 49 proc. Przy czym im mniejsza rodzina, tym większe ryzyko rozpadu całej grupy. A więc każdy zastrzelony lub przejechany wilk to poważne zagrożenie dla przetrwania grupy.

Ustawodawca mógłby też powołać się na szereg opracowań, które jednoznacznie wskazują wilki jako głównego – naturalnego – regulatora wielkości populacji zwierzyny łownej, a tym samym bezpośrednią konkurencję dla myśliwych. Presja wilków na jeleniowate stabilizuje ich populacje, a tym samym zmniejsza szkody w uprawach leśnych. Najlepszym przykładem jest tu amerykański park

Yellowstone, gdzie reintrodukcja wilka z 1995 r. wprowadziła równowagę do ekosystemu. Również utrzymujące się od lat na stałym poziomie populacje wilków i jeleni w Magurskim PN potwierdzają tę prawdę. Ten ostatni to zresztą jeden z wielu polskich parków, gdzie decyzją dyirekcji od paru lat nie prowadzi się tzw. odstrzałów redukcyjnych jeleni, w teorii mających zmniejszyć szkody w drzewostanach. Nie ma takiej potrzeby, bo sprawę załatwiają wilki.

Nad ranem Wojtas dostaje SMS ze zgłoszeniem: w Hucie Polańskiej, niedaleko miejsca, gdzie zabito złotą wilczycę, znaleziono powalonego przez drapieżniki jelenia. Zostawiamy auto przy kościele i za głosami kruków idziemy drogą w las. Spotykamy szkolną wycieczkę z Krakowa. Dopiero kiedy ich o to pytamy, uczniowie zauważają wystające ze śniegu żebra oblepione obszarpanym mięsem. Wojtas przykłęka przy martwym cielaku jelenia, po czym ku satysfakcji nauczyciela rozpoczyna lekcję biologii w terenie.

– To, co tu widzicie, to coś bardzo naturalnego – przekonuje. Mówi o diecie magurskich wilków i roli drapieżnika szczytowego w ekosystemie Karpat. Wskazuje na kruki i inne zwierzęta, które najedzą się dzięki wilczemu wysiłkowi.

Obaj mamy poczucie, że uczestnicy wycieczki zapamiętają ten dzień na długo. Po cichu liczymy, że w którejś z tych głów narodził się właśnie pomysł na przyszłą karierę naukową. © ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabiń, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczyńska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, **Rozwój cyfrowy:** Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Drągula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszałka, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szmer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczyńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



REKLAMA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Pieśń radości*



„PRZEZ USTA DZIECI I NIEMOWŁĄT UTWIERDZIŁŚ SOBIE CHWAŁĘ” (Ps 8, 3; Cyilkow). Czego dotyczy ten wers? Rabin Jose Galilejczyk oczyma wyobraźni widzi szkraby siedzące na kolanach rodziców i małościwa ssące z matczynej piersi: kiedy ujrzały

Bożą Obecność, dzieci wyciągnęły szyki, a niemowlęta wypuściły sutki z ust, by zaintonować: „Ten to Bóg mój, a uwielbiam Go” (Wj 15, 2). Rabin Meir dopełnia wizji: śpiewały nawet płody w łonach matek. Skąd to wiadomo? „Chórami chwalcie Pana, Pana, wy z rodu [dosł. ze źródła, tu rozumiane jako z łona] Izraela” (Ps 68, 27).

Dziękczynna pieśń popłynęła z ust Izraelitów, gdy przeszli bezpiecznie przez rozstąpione morze. W jaki sposób śpiewali? – zastanawiają się w Talmudzie rabini. Posługują się analogią do Halelu, czyli dziękczynnej modlitwy złożonej z Ps 113-118, odmawianej w czasie żydowskich świąt. Modlitwę tę otwiera błogosławieństwo, i niejednokrotnie pada w niej słowo „Alleluja” (hebr. halelu Ja), co znaczy po prostu „wychwalajcie Boga”.

„Wtedy zaśpiewał Mojżesz i synowie Izraela pieśń tę Wiekuistemu, a rzekli w tych słowach: »Zaśpiewam Wiekuistemu, bo wzniósł się wielce...«” (Wj 15, 1). Rabin Akiwa stawia tezę, że przypominało to recytację Halelu przez dorosłego w imieniu społeczności. Zgromadzonemu wystarczy, że słuchają prowadzącego i powtarzają otwierające słowa jako refren. Czyli brzmiało to tak, że Mojżeszowe „zaśpiewam Wiekuistemu” zostało powtórzone przez wszystkich, a po jego „bo wzniósł się wielce” lud znów powtórzył refren „zaśpiewam Wiekuistemu”, itd.

Rabin Eliezer, syn rabina Josego Galilejczyka, ma inną koncepcję: przywodziło to na myśl prowadzenie Halelu przez nieletniego. Wówczas ludzie powtarzają po kawałku słowo w słowo to, co usłyszeli z ust chłopca. W tej kwestii wypowiada się jeszcze rabin Nechemiasz: było tak, jakby prowadzący nabożeństwo wypowiedział otwierające błogosławieństwo, społeczność je za nim powtórzyła, po czym zgromadzeni wyrecytowali całość razem z nim.

W gruncie rzeczy chodzi więc o formę udziału Izraelitów w hymnie odśpiewanym przez ich przywódcę. Czy – jak zdaje się uważać rabin Akiwa – Mojżesz był najlepszym wyrazicielem zbiorowych uczuć? Kojarzy mi się to nie najlepiej: „tysiące rąk, miliony rąk, a serce bije jedno”. A może – jak proponuje rabin Eliezer – po przejściu przez morze ludzie czuli się naprawdę jednością i ich usta wypowiadały te same słowa, lecz każdy miał szansę tchnąć w nie własną osobowość? Tylko rabin Nechemiasz nie uważa, że Izraelici potrzebowali usłyszeć coś więcej od Mojżesza niż zachętę do śpiewu. Cud, którego razem doświadczyli, stanowił wyjątkowe źródło inspiracji i z wszystkich ust wydobyła się autentyczna pieśń, wspaniale wyrażająca ich jedność w wielości. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Z tej samej gliny*



„BÓG ULEPIŁ CZŁOWIEKA Z PROCHU ZIEMI (...) by pracował na roli i kopał w ziemi studnię, aby nawodnić glebę”, a to znaczy, że Bóg przyszłość świata złożył w ręce człowieka. Ta współpraca od samego początku nie układała się najszybciej.

I nie chodzi o kradzież jabłek, o nieposłuszeństwo, a nawet o diabelskie kuszenie, ale o nieumiejętność bycia obdarowanym. Sam, tylko sam jestem kowalem swego szczęścia. Sam na nie zapracowałem. A największym wrogiem tej mojej szczęśliwości jest człowiek i rzeczywistość. To kobieta, mówi mężczyzna, wpakowała mnie w ten karambol, i odwrotnie, to warunki, w których żyję, zmusiły mnie do takiego, a nie innego działania; wreszcie ja sam: gdzie ja miałem oczy, że w porę nie zauważyłem niebezpieczeństwa? To obwinianie wszystkich i wszystkiego ma jeden cel: pomaga nam w ucieczce w krzaki, czyli wyzbyciu się odpowiedzialności za myśli, słowa, uczynki, a zwłaszcza zaniebdania. Księga Rodzaju nie mówi więc o stworzeniu świata, ale opisuje proces odchodzenia człowieka od rzeczywistości.

Przed podobnym dylematem stanie Chrystus. Opowiadanie o jego czterdziestodniowym poście i kuszeniu jest na to dowodem. Szatan, po polsku Kłamca, nie proponuje Jezusowi niczego złego. Podpowiada Mu tylko, jak powinien ułatwić sobie życie. Weźmy pierwsze szatańskie podejście. Kłamca zdaje się mówić, skoro jesteś człowiekiem religijnym, pstryknij palcami i zaspokoisz swoje naturalne potrzeby. Ponieważ Jezus nie dał się zwieść i nie udało się zamknąć Go w klatce potrzeb natury biologicznej, Kłamca atakuje z wyższego pułapu. Skoro wierzysz, że twój Protektor jest wszechmocny, udowodnij, że tak jest naprawdę. Przeprowadź test na wiarygodność, bo nie wiadomo, czy twój Bóg jest i działa. Gdy i ten chwyt zawiódł, Kłamca przechodzi na trzeci poziom. Sugeruje Jezusowi, że Jego wiara jest złudzeniem, żeby nie powiedzieć: samooszustwem. Jak wiemy, nic to nie dało.

To opowiadanie można nazwać swoistą dysputą teologiczną. Kłamca zna Biblię, ale traktuje ją, jak wszystko inne, instrumentalnie. Jezus odpowiadając, też cytuje Księgę, ale w sposób, który daje Szatanowi czas na zastanowienie. Nie przepędza go od razu, ale próbuje ratować przed nim samym. Jezus postępuje podobnie jak jego Ojciec, kiedy rozstawał się z Adamem i Ewą. Wie, że odrzucili jego miłość, ale nie ciska w nich, jak na zagniewanego boga przystało, piorunami; przeciwnie, dyskretnie podchodzi do ich kryjówki, po cichu przechadza się po Edenie, nawiązuje rozmowę, wspólnie z nimi analizuje wydarzenie i wreszcie, szanując ich wolność, rozstając się z nimi, ubiera ich w kożuski, gdyż wie, że nie będzie im łatwo, gdyż szczęście i nieszczęście lepi się z tej samej gliny. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Wieża Babel

Jeśli chcesz znaleźć pokój tu
i na tamtym świecie, w każdej
sprawie stawiaj sobie to pytanie:

„Kimże ja jestem?”,
i nie sądź nikogo.

ABBA JÓZEF ZE SKETIS



Pracuj nad tym,
byś nie potrzebował niczyjego
uznania, a staniesz się wolny,
by być, kim naprawdę jesteś.

NACHMAN Z BRACŁAWIA



TO NIEMAL OSTATNI z epizodów tej części Księgi Rodzaju, którą – gdy chodzi o rodzaj literacki – nazywamy historią etiologiczną, a więc taką, która wydarza się nigdy i zawsze, nigdzie i wszędzie – jest historią każdego z nas i wszystkich wspólnot (z Kościołem włącznie, a może nawet przede wszystkim), w każdym czasie i w każdym miejscu. Historia wieży Babel to historia ludności, która zostaje rozproszona (Rdz 11, 1-9). Na początku „mieszkańcy całej ziemi” mają „jedną mowę, czyli jednakowe słowa” – co pozwala im zdobyć się na wspólny wysiłek: zbudowania wielkiego miasta, a w nim wieży-świątyni. Na końcu jednak tracą jeden wspólny język i zostają rozproszeni po całej ziemi.

Narracja wydaje się prosta, ale ukryte za nią przesłanie – już nie. Ani jeden język nie jest jeszcze gwarancją dobrej komunikacji (a tym bardziej komunii), ani różnorodność języków nie musi za sobą pociągać braku jedności. Przeciwnie, kiedy czytamy Nowy Testament, odkrywamy (np. w Apokalipsie), że niebieską wspólnotę zbawionych tworzą ludzie „z każdego narodu i wszystkich pokoleń, ludów i języków” (Ap 7, 9). Kościół, który zapowiada tę doskonałą jedność, również – już tutaj i teraz – gromadzi różne języki (zob. Dz 2, 5-12). I nie może być inaczej; jest mu bowiem zadana determinacja Jezusa, Dobrego Pasterza, mówiącego o konieczności przyprowadzenia „innych owiec” (J 10, 16).

Wygląda więc na to, że różne języki paradoksalnie łatwiej się przekładają na doświadczenie jedności niż „jedna mowa, czyli jednakowe słowa”. To nie różnorodność języków podzieliła wspólnotę wieży Babel. Zatem co?

Przenikliwie odpowiada na to pytanie Księga Mądrości (zob. Mdr 10, 5). Mówi ona, iż powodem rozbicia popopotowej ludności nie była różnica języka, lecz „przewrotna zмова”. Wulgata oddaje tę frazę mocniej jako *consensus nequitiæ*, czyli dosłownie „zgoda niegodziwości” – tak też tłumaczą nowe przekłady angielskie: *wicked agreement*, „niegodziwe porozumienie”.

Co rozbiło – i zawsze, również dzisiaj, rozbija – ludzką wspólnotę? Nie różnica mowy, lecz niegodziwa zgoda – (pozorne) zjednoczenie w niegodziwości. Niegodziwość nigdy nie łączy! Nikt nie daje tego, czego nie posiada. Niegodziwość – wspólnie wybrana i dokonana – zawsze rozprasa. A co łączy?

Odpowiedź Nowego Testamentu znów nie jest skrótowa. Nie jest bowiem tak, że sama akceptacja różnorodności jest już prawdziwą jednością. O tym, jakie jest ostateczne i najgłębsze źródło wspólnoty, uczy św. Paweł w Liście do Kolosan (Kol 3, 11): „A tu już nie ma Greka ani Żyda, obrzezania ani nieobrzezania, barbarzyńcy, Scyty, niewolnika, wolnego, lecz wszystkim we wszystkich jest Chrystus”. Nie wystarczy – jak widać – uznać i pogodzić się z różnorodnością; trzeba jeszcze w każdym „innym” zobaczyć żyjącego Chrystusa. Wtedy dopiero Kościół okazuje się „sakramentem jedności” w podzielonym świecie. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (26 II – 5 III)

1. niedziela Wielkiego Postu: Rdz 2, 7-9; 3, 1-7;

Ps 51; Rz 5, 12-19; Mt 4, 1-11;

Poniedziałek: Kpł 19, 1-2. 11-18; Ps 19;

Mt 25, 31-46;

Wtorek: Iz 55, 10-11; Ps 34; Mt 6, 7-15;

Środa: Jon 3, 1-10; Ps 51; Łk 11, 29-32;

Czwartek: Est 4, 17k-u; Ps 138; Mt 7, 7-12;

Piątek: Ez 18, 21-28; Ps 130; Mt 5, 20-26;

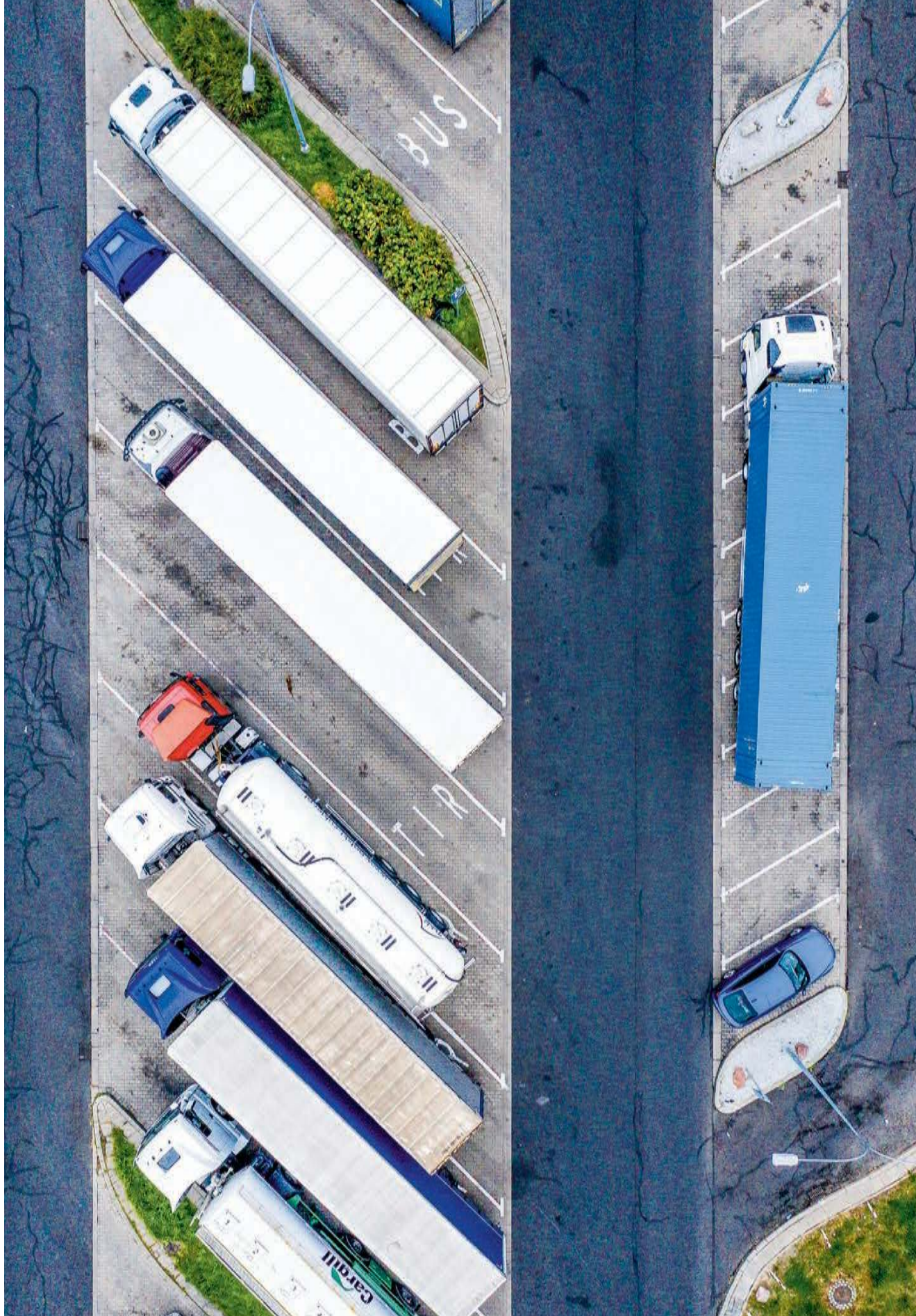
Sobota: Syr 51, 13-20 lub Flp 3, 8-14;

Ps 16; J 15, 9-17;

2. niedziela Wielkiego Postu: Rdz 12, 1-4a; Ps 33;

2 Tm 1, 8b-10; Mt 17, 1-9.

Wybrał PIOTR SIKORA



KRAJ

CO WIDAĆ Z BUDY

Bez nich puste byłyby sklepy, niemożliwe e-zakupy, może nawet Putin pokonałby już Ukrainę. Polska właśnie szuka dwustu tysięcy kierowców ciężarówek.

MAREK RABIJ

DLACZEGO JEŹDŻĘ? – POWTARZA PYTANIE Jerzy Gacek. – Moim zdaniem ta praca kręci się niemal zawsze wokół rodziny. Jedni za kierownicę uciekają od domowych problemów. Większość jeździ jednak po to, żeby zapewnić żonie i dzieciom godziwy byt. Tyle. Opowieści o pięknie życia w trasie jakoś do mnie nie trafiają. W niedzielę rano na parkingu można zobaczyć facetów, którzy śniadanie popijają łzami.

Kabina ciągnika, zwanego potocznie tirem, od francuskiego skrótu nazwy międzynarodowej konwencji celnej w transporcie drogowym, to doskonały punkt obserwacyjny. W budzie, jak mówią na nią kierowcy, siedzi się dwa metry wyżej, z płaszczyzną szyby wielkości stołu do ping-ponga przed sobą. W manewrowaniu pomaga stado czujników, a widoczność do tyłu poprawiają wewnętrzne monitory podpięte do kamery na burtach, które coraz częściej zastępują lusterka.

Ale 18 lat temu, gdy pewnego wrześniowego poranka świeżo upieczony posiadacz prawa jazdy kategorii C+E Jerzy Gacek wdrapał się po schodkach do budy swojej pierwszej ciężarówki, lusterka musiał ustawić sobie ręcznie. Wysiedziany fotel pachniał męską szatnią, a w rolę nawigacji satelitarnej wcielał się papierowy atlas i wydrukowany plan trasy, który spedytorka wręczała wraz z dokumentami przewozowymi.

– Od tamtej pory zrobiłem jakieś cztery miliony kilometrów – wylicza Gacek. –

Mogę powiedzieć, że Polska dosłownie zmieniała się na moich oczach.

Kolejowy walkower

Z budy widać przede wszystkim gładki asfalt. Rok przed wejściem do Unii Europejskiej łączna długość polskich dróg szybkiego ruchu liczyła zaledwie 631 km, z czego blisko jedną piątą stanowiły konstrukcje poniemieckie. Stan techniczny większości nawierzchni też pozostawiał wiele do życzenia. W 2008 r., a więc zaledwie cztery lata po akcesji, dysponowaliśmy już 1217 kilometrami dróg ekspresowych i autostrad. W 2018 r. – 3714 km, a dane Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad z czerwca ub.r. mówią o 4896 km tras umożliwiających szybkie i bezpieczne podróżowanie. Podróż samochodem z Krakowa do Gdańska, na którą w pierwszych latach XXI w. trzeba było przeznaczyć co najmniej 10-12 godzin, w sprzyjających warunkach trwa dziś o połowę krócej. Dzięki temu zmianie uległy również kryteria opłacalności transportu towarowego – zwłaszcza gdy w ostatecznym rozrachunku poza ceną liczy się także czas.

Wraz z poprawą jakości infrastruktury drogowej, polska branża przewozów samochodowych nabrała gigantycznego rozpędu i zaczęła rozpychać się po Europie, wykorzystując przewagę korzystnego położenia geograficznego Polski i niskie koszty pracy. Dziś, z armią ok. 400 tys. kierowców i przychodami powyżej 50 mld zł rocznie, nasi przewoź-

nicy są najpoważniejszym graczem na wspólnym spedycyjnym rynku. Z ponad 2,2 mld ton towarów przewożonych rocznie na terytorium Polski już przeszło połowę stanowi właśnie transport samochodowy, który dostarcza rocznie do odbiorców aż 1,4 mld ton. A jeszcze 10 lat temu jego udział w przewozach ogółem nie sięgał nawet 36 proc.

Zwycięstwo tirów było jednak klęską transportu kolejowego. Do tego odniesioną walkowerem. Po wejściu Polski do UE kolejne rządy koncentrowały uwagę i większość funduszy na rozbudowie sieci drogowej, z premedytacją zapominając o torach. Polska sieć kolejowa marniała w oczach: PKP cięły połączenia pasażerskie, a Polskie Linie Kolejowe, ich bliźniacza spółka od infrastruktury zwiły kolejne kilometry niepotrzebnej, jak uważano, sieci torowej. W 1989 r. jej długość w Polsce wynosiła 26 644 km. Do końca roku 2020 uległa skróceniu do 19 235 km, czyli o niemal 28 proc. W tak trudnych warunkach samą wielkość polskiego transportu kolejowego, która od dekady utrzymuje się na mniej więcej niezmiennym poziomie ok. 230-240 mln ton rocznie, można uznać za sukces.

Ale to przewoźnicy samochodowi, nie kolej, stali się głównym beneficjentem sukcesu polskiej gospodarki, której produkt krajowy w latach 2012-2022 uległ podwojeniu z 1,5 do ponad 3 bilionów zł. Ten idylliczny obrazek branży psuje tylko jedno: chroniczny niedobór ludzi do pracy.



Formuła 1 kontra dziad-trans

→ „Najgorszy zawód świata” – tymi słowami jeszcze w 2018 r. opisywali branżę spedycyjną dziennikarze serwisu Business Insider. Lista uciążliwości związanych z tą profesją była długa: nieregularny rytm dobowy i długie godziny pracy w pozycji siedzącej, bez szans na rozprostowanie nóg. Dalej – zębna dieta kierowców żyjących się głównie konserwami, zawekowanym jedzeniem z domu i fastfoodem dostępnym najczęściej w przydrożnych zajazdach. Fatalne warunki sanitarne podczas długich przejazdów. Wreszcie niebezpieczeństwa noclegów przy drodze i rozłąka z rodziną – a wszystko za nieco ponad ówczesną średnią krajową brutto.

Pięć lat później na spedycyjny rachunek sumienia składają się z grubsza te same grzechy, ale mianem „najgorszego zawodu świata” opinia publiczna skłonna jest nazwać bardziej dziennikarstwo niż prowadzenie wielkiej ciężarówki. W mediach społecznościowych pojawili się nawet spedycyjni celebryci, którzy relacjonują swoje przygody za kółkiem i przybliżają widzom klimat życia w wiecznej podróży. Widownia wielu z nich idzie w setki tysięcy odsłon, a zdarzają się filmy obejrzone ponad milion razy. Najgłośniejsze nazwiska tego światka dostają nawet lukratywne kontrakty od producentów ciężarówek, którzy oddają im do eksploatacji kosztujące setki tysięcy auta i odziewają w swoje barwy – niemal jak kierowców Formuły 1.

Oczywiście nie oznacza to, że z polskich dróg zniknęły rozklekotane ciężarówki i przemęczeni kierowcy w przepconych podkoszulkach. Logika mediów społecznościowych, która szara rzeczywistość większości pudruje sukcesami jednostek, po prostu woli nie pamiętać o istnieniu tej drugiej strony spedycyjnego medalu, nazywanej czasem złośliwie „dziad-transem”.

Na podtrzymaniu cukierkowego wizerunku branży najbardziej zależy samym firmom spedycyjnym, które walczą między sobą nie tylko o zamówienia, ale także o kierowców. Liczbę nieobsadzonych etatów w Polsce na koniec ub.r. rodzime stowarzyszenie przewoźników samochodowych szacowało na 150 tysięcy. W pierwszym półroczu 2022 r. zatrudnienie w transporcie wzrosło w Polsce rok do

roku o 4,2 proc. – przy zaledwie 1,9 proc. wzrostu zatrudnienia w całej gospodarce. Wynagrodzenia kierowców w porównaniu z dwoma pierwszymi kwartałami 2021 r. wzrosły rok później aż o 24,3 proc. w porównaniu z 14-procentową dynamiką wzrostu zarobków w całej polskiej gospodarce bez sektora publicznego. Zarobki kierowców (średnio 6034 zł netto) były wprawdzie nieco niższe od pensji dla całego sektora przedsiębiorstw (6627 zł), ale to akurat nie stanowiło zaskoczenia dla nikogo, kto zna świat transportu samochodowego. Dużą – jeśli nie nawet przeważającą – część wynagrodzeń wciąż stanowią tu diety lub wręcz pieniądze przekazywane po prostu pod stołem.

Do 3500 euro miesięcznie

Zmiana statusu społecznego zawodu kierowcy zachodzi jednak zdecydowanie zbyt wolno do potrzeb samej branży transportowej. Co trzeci polski trucker ma co najmniej 50 lat – takie wnioski płyną z raportu firmy doradczej PWC, przygotowanego w ubiegłym roku na zlecenie Związku Pracodawców Transport i Logistyka Polska. Tylko 6,5 proc. nie skończyło 30. roku życia. Co roku na emeryturę przechodzi natomiast ok. 25 tys. pracowników branży.

Tymczasem gospodarki europejskie coraz mocniej uzależniają się od transportu samochodowego. Statkami można przewozić towar z azjatyckich fabryk, do centralnych magazynów mogą go dostarczyć pociągi, ale do sklepów i domów klientów dotrzeć może on tylko szosą. Zwłaszcza w przypadku e-handlu.

Od lat wydatki Polaków na zakupy w internecie rosną rok do roku w tempie dwucyfrowym, i na koniec ubiegłego roku przekroczyły 92 mld zł. Za kolejne pięć w sieci wydawać mamy blisko 150 mld zł rocznie. Pandemia trwale zmieniła nawyki konsumenckie i z tej zmiany polscy przewoźnicy mogą się tylko cieszyć. Potem przyszła jednak wojna w Ukrainie, która wprawdzie skokowo zwiększyła zapotrzebowanie na transport samochodowy, ale też zadała branży silny kadrowy cios. Tylko w ubiegłym roku z ok. 30 tys. ukraińskich kierowców pracujących w Polsce aż 40 proc. – jak szacują spedycyjni – wróciło do ojczyzny. W całej Europie, jak podawała niedawno Międzynarodowa Unia Transportu Drogowego, liczba nieobsadzonych miejsc pracy za

kierownicą wielkich ciężarówek przekroczyła 400 tysięcy. Zapotrzebowanie na kierowców przebiło tym samym popyt, jaki europejska gospodarka ma na programistów.

– Tylko zarobki mamy inne – śmieje się Gacek. – Oczywiście nie twierdzę, że facet z prawem jazdy powinien zarabiać tyle samo, ile informatyk po studiach. Irytuje mnie jednak opowieści właścicieli firm przewozowych o kokosach, jakie rzekomo można zbić w naszym fachu. Teraz przy autostradzie A4 stoją reklamy o pracy w Niemczech z zarobkami „do 3,5 tys. euro miesięcznie na rękę”. Kwota wywalona jest wielkimi czerwonymi literami, a dopisek „do” już malutkimi, których pewnie nie zauważysz, kiedy mijasz taki baner z prędkością ponad 100 km na godzinę.

Jako doświadczony kierowca z dodatkowymi uprawnieniami, w tym operatora wózków widłowych pomocnych w rozładunku, Jerzy co miesiąc zarabia ok. 7-8 tys. zł na rękę. 16 tysięcy nigdy nie widział na pasku wypłaty. – Jeśli ktoś jeździ systematycznie w dalekie trasy zagraniczne, z dietami, na których da się zawsze nieco przyoszczędzić, można miesięcznie zarobić 10-11 tys. zł na czysto. Ale nie 16! Te opowiadki służą do tego, żeby ludzie zainwestowali kilkanaście tysięcy złotych w uprawnienia i zaczęli jeździć. Część odpadnie, kiedy sobie przeliczą, że nawet 10 tysięcy miesięcznie to już nie tak dużo, kiedy rozkłada się średnio na 13 godzin pracy na dobę. Ale część zostanie.

Fantazje o prysznicy

Po godzinie 17 parkingi przy autostradach są już zazwyczaj szczelnie wypełnione ciężarówkami. Doba zawodowego kierowcy liczy wprawdzie 24 godziny, ale tylko tyle łączy ją z tą, która odmierza czas pracującym w innych zawodach. Na początku zeszłej dekady UE postanowiła zadbać o dobrostan ludzi przemierzających Stary Kontynent wielkimi ciężarówkami i przy okazji zadbać w ten sposób także o bezpieczeństwo pozostałych uczestników ruchu, dla których przemęczeni truckerzy mogą stanowić śmiertelne zagrożenie. W rezultacie powstało coś, co zawodowi kierowcy z przekąsem nazywają matematyką transportową: zbiór przepisów, zgodnie z którymi kierowca ciężarówki musi z każdych 24 godzin wykroić 11

na wypoczynek, a w trakcie pozostałych 13 tylko dziewięć wolno mu spędzić za kółkiem. Żeby było jeszcze trudniej, maksymalny dopuszczalny czas prowadzenia pojazdu sumuje się do 56 godzin tygodniowo i 90 w cyklu dwutygodniowym, a w wyjątkowych przypadkach wolno pracować do 60 godzin tygodniowo – choć średnio i tak nie więcej niż 48 godzin tygodniowo w okresie czterech miesięcy. Przerwy na odpoczynek muszą zaś trwać 45 minut co każde 4,5 godziny czasu prowadzenia pojazdu. No, chyba że zamiast jednego długiego postoju kierowca woli zrobić dwa krótsze, po 15 i 30 minut.

Niejasne? Oczywiście. Gubi się w tym praktycznie każdy początkujący trucker. Niektórzy przez pierwsze tygodnie w budzie nie rozstają się z zeszytikiem, w którym skrupulatnie zapisują każdą minutę spędzoną na odpoczynku, załadunku i w trasie, próbując przy tym pamiętać, że zgodnie z przepisami czas jazdy zawsze jest czasem pracy, ale czas pracy to nie zawsze czas jazdy.

Te detale nabierają kluczowego znaczenia podczas spotkania z funkcjonariuszami Inspekcji Transportu Drogowego, którzy żądają wydruku z elektronicznego tachografu i za nawet drobne odstępstwa od wyznaczonej przepisami normy każą wysokimi mandatami. Miesięcznie można w ten sposób pożegnać się nawet z jedną piątą wypłaty.

Co do samych inspektorów ITD, opinie wśród kierowców ciążyą w stronę konstatacji, że zbyt mało wśród funkcjonariuszy tej uzbrojonej formacji osób z wyobraźnią, które rozumiałyby np., że pod koniec upalnego dnia perspektywa noclegu na parkingu bez dostępu do bieżącej wody może być bardziej przerażająca od wizji mandatu za przekroczenie czasu jazdy.

W badaniu „Diagnoza warunków sanitarnych i parkingowych w bazach logistycznych w Polsce i w Europie”, jakie zamówiła kilka miesięcy temu fundacja Truckerslife, ankietowani kierowcy za największą bolączkę w pracy uznawali właśnie problemy z utrzymaniem higieny w trasie. Aż 52 proc. pytanym skarżyło się na brak pryszniców w miejscach, do których docierają z ładunkiem, a 41,3 proc. wskazywało dodatkowo na problemy ze skorzystaniem z toalet. Co piątemu kierowcy w bazach wyładunkowych brakowało łatwo dostępnych



śmietników, 15,9 proc. – sklepu spożywczego, a 13 proc. – baru. Panie, których za kółkiem wielkich ciągników coraz więcej, skarżą się także na bezpieczeństwo podczas noclegu w trasie. O dziwo, pod tym względem sytuacja jest dziś lepsza w naszej części Europy niż np. we Włoszech lub na południu Francji.

Mimo wszystko zawód profesjonalnego kierowcy wiąże się nadal z całkiem sporym ryzykiem. Jak wynika z danych GUS, w I kwartale ub.r. na każdy tysiąc zatrudnionych w transporcie przypadało 1,04 poszkodowanego w trakcie pracy. Większą urazowość odnotowało tylko górnictwo i wydobywanie (3,08). Dla porównania, w rolnictwie, które ma opinię wysoko urazowej profesji, współczynnik wypadków wyniósł 0,89 na każdy tysiąc pracujących, a w budownictwie – tylko 0,67.

Lewym pasem

Jednego czynnika ryzyka – jak zauważa Jerzy – nie da się wyeliminować. Nie-rozerwalną częścią tej profesji jest pre-

sja czasu. Nie ma znaczenia, czy kupiłeś już auto i pracujesz na własny rozrachunek, czy wciąż jeździsz na etacie w czyjejś firmie transportowej. Czy tylko „łatasz koło komina” – jak ironicznie mówi się o kierowcach obsługujących krótkie trasy, którzy na noc wracają do domu – czy twoją codziennością stały się wielodniowe „trampingi”, podczas których pokonujesz tysiące kilometrów. Za kierowcą zawsze towarzyszy ci pośpiech.

Bo w umowie, oprócz pensji, sprytny pracodawca zawarł klauzulę, która dodatkowe wynagrodzenie czyni wypadkową liczby przejechanych kilometrów – a ty byłeś jeszcze na tyle nieobeznany z branżą, żeby przystać na tak niekorzystne warunki.

Bo rano utknąłeś w korku na autostradzie albo cztery godziny dłużej czekałeś na załadunek i próbujesz teraz nadgonić, zanim tachograf każe ci zjechać na pauzę.

Bo jeśli dzisiaj do 18 nie dojedziesz np. do magazynu w Wiedniu i nie rozładujesz tam towaru, nie zdołasz też podjąć kolejnego frachtu, z którym polecisz dalej do Bolonii – żeby stamtąd, z jeszcze innym ładunkiem, wrócić już do Polski. I koło nosa przejdzie ci kilka tysięcy złotych czystego zysku, którego bardzo potrzebujesz, bo zbliża się rata leasingu auta lub kosztowny przegląd serwisowy.

Wreszcie – bo od dwóch tygodni nie byłeś w domu, a akurat dziś twoja córeczka obchodzi urodziny. Dlatego właśnie lewym pasem mozolnie wyprzedzasz ciężarówkę, która porusza się przed tobą tylko trzy kilometry na godzinę wolniej. W lusterku widzisz osobówki, których właściciele z wściekłością mrugają długimi światłami. Chciałbyś im wyjaśnić, że dla ciebie te dodatkowe trzy kilometry na godzinę to coś ważniejszego niż oszczędność paliwa czy pierwszeństwo na drodze, ale przecież nie wytłumaczysz.

– Możesz tylko modlić się w myślach, żeby ktoś znów nie próbował cię „ukarać” za ten manewr, wjeżdżając ci niespodziewanie przed maskę i zwalniając – rozkłada ręce Gacek. – On zapewne nie wie, że na wyhamowanie do zera ze stu kilometrów na godzinę, które jemu w małym osobowym aucie zajmuje około 30 metrów, ciężarówka ważąca wraz z ładunkiem pod 20 ton potrzebuje ponad stu metrów.

© MAREK RABII

Pusto w karcie

PIOTR WÓJCIK

Żadna branża nie dostała przez ostatnie lata bardziej w kość niż gastronomia. I choć początek roku przyniósł pewną ulgę, wiele dobrych restauracji i kawiarni już jej nie doczekało.

KARMIENIE POLAKÓW NIGDY NIE NALEżało do najbardziej intratnych gałęzi gospodarki z uwagi na ogromną konkurencję w branży – jednak pandemiczne lata 2020-2021 były dla niej gehenną. W 2021 r. gastronomia z hotelarstwem stały się wręcz najmniej rentowne ze wszystkich sekcji działalności gospodarczej. Przedsiębiorstwa te osiągnęły łączne obroty w wysokości 20,1 mld złotych. W tym samym czasie na koszty wydały 19,2 mld zł, czyli niewiele mniej, niż wyniósł ich obrót, co tylko świadczy, jak ciężki to biznes. Wszystkie razem wyszły ledwo ponad kreskę. Rentowność firm z gastronomii i hotelarstwa w 2021 r. wyniosła 3,9 proc. Średnią dla całej gospodarki było 5,5 proc.

Wiele firm z branży działa jako mikroprzedsiębiorstwa; zatrudniają co najwyżej 10 pracowników i nie posiadają dużego zgromadzonego kapitału, są więc nieodporne na wstrząsy. W obrębie najmniejszych firm gastronomia przoduje w zatrudnieniu; jeśli chodzi o obroty, znajduje się już na przeciwnym końcu. W 2021 r. mikroprzedsiębiorstwa z branży gastronomicznej wygenerowały obrót w wysokości 13,2 tys. zł miesięcznie na pracownika. To trzeci wynik od końca – przeszło cztery razy gorszy od „działalności finansowej i ubezpieczeń”. Niższe obroty na jednego zatrudnionego wypracowały jedynie mikrofirmy z obszaru edukacji oraz pozostałej działalności usługowej.

Restauracje, puby i kawiarnie wchodziły w 2022 r. wygłodzone i zmęczone pandemią. Ale zanim nastąpiła wiosenna koniunktura, a w perspektywie także letni powrót zagranicznych turystów, rozpoczęła się wojna w Ukrainie, która znowu rozregulowała rynek i zniszczyła marzenia. Odbiło się to w pierwszej kolejności na rosnących kosztach składników dań. Artykuły żywnościowe były w zeszłym roku jednym z motorów szalejącej

inflacji. Według GUS w grudniu ich ceny konsumpcyjne drożały niemal równie szybko co energia (o przeszło jedną piątą). Dla restauratorów istotne są jednak ceny w hurcie, które rosną znacznie szybciej niż te w sklepach. Przykładowo, o ile jaja dla konsumentów zdrożały w tym roku „tylko” o przeszło jedną czwartą, to w hurcie aż o trzy czwarte.

W drugiej połowie roku gwoździem do trumny dla wielu przedsiębiorstw z branży stały się podwyżki cen energii i gazu. Nowe taryfy proponowane przez dostawców przekraczały o kilkaset procent te wcześniejsze. Zresztą takie same wyceny otrzymały też jednostki samorządu, szpitale oraz uniwersytety, o czym pisaliśmy w numerze 43/2022 „Tygodnika”. Kilkukrotne podwyżki rachunków oznaczały dla wielu firm konieczność jak najszybszego zawieszenia działalności. Próba przeczekania okresu absurdalnych cen energii mogła słono kosztować ich właścicieli – i to bez żadnej gwarancji, że ten czas się kiedyś skończy i nie doprowadzi biznesu do kompletnej ruiny.

Jedna za drugą

Nowe oferty dostawców energii wygenerowały lawinę zawieszeń działalności w branży gastronomicznej. Pod koniec grudnia zamknęła się popularna krakowska Pizza Garden. „Niestety czas naszej działalności dobiegł końca, sytuacja dookoła zmusiła nas do podjęcia decyzji o zamknięciu. Nie chcieliśmy rezygnować z jakości produktu, tak ważnego dla Was i dla nas, dlatego jesteśmy pewni, że nas rozumiecie” – napisali właściciele na profilu społecznościowym. W grudniu to samo zrobiła katowicka restauracja SOMI chebureki&pizza, która otworzyła się ledwie trzy miesiące wcześniej. Gdy otrzymała fakturę za prąd w wysokości 16 tys. zł, jej właściciele postanowili czym prędzej zamknąć ledwo otwarty przybytek.

Już w tym roku swoją restaurację postanowił zamknąć Gościniec Rajec w Rajczy. Właściciele uznali, że opłaca się im kontynuować jedynie działalność pensjonatu. Restauracja otwarta będzie tylko do końca lutego. Poszło oczywiście o horrendalne rachunki za media i ceny półproduktów. 23 grudnia działalność zakończyła też naleśnikarnia Pod Belkami w Katowicach, z początkiem roku to samo spotkało lubelską Vanilla Cafe. To fala obejmująca cały kraj.

W opałach znalazł się także, choć z trochę innych powodów, kultowy lokal Hummus Amamamusi na krakowskim Kazimierzu. Restauracja uruchomiła nawet zrzutkę publiczną na ratowanie działalności. – Bezpośrednim powodem rozpoczęcia tej społecznej kampanii była kiepska sytuacja ekonomiczna i telefony z firmy windykacyjnej, która przejęła nasze zobowiązanie. Mieliliśmy je wobec Polskiego Funduszu Rozwoju z tytułu zwrotu subwencji, jaką otrzymaliśmy na utrzymanie działalności oraz zatrudnienia podczas pandemii – mówi Bartłomiej Suder, współwłaściciel lokalu.

Firma otrzymała decyzję o konieczności zwrotu dotacji z PFR w wysokości 219 tys. zł, od których naliczane są jeszcze odsetki. Właściciele złożyli odwołanie, jednak zostało rozpatrzone negatywnie. Lokal nie spełnił wymagań – powinien wykazać spadek obrotów o 30 proc., a finalnie spadek wyniósł... 26 proc.

– Pod koniec marca 2021 r. była piękna pogoda, a dzięki złuzowaniu restrykcji ludzie ruszyli do knajp. Zrobiliśmy te 4 procent nagle, w ciągu dosłownie czterech dni. Zanotowaliśmy wtedy obrót 18 tys. zł – tłumaczy Suder.

Niestety, przepisy są tak skonstruowane, że nawet niewielkie przekroczenie progów spowodowało, iż lokal musi oddać całą dotację, a nie tylko nadwyżkową kwotę. Właściciele co prawda liczyli, że PFR w tych okolicznościach posłuży się przepisem, że w każdym przypadku może zdecydować inaczej, lecz nie udało się. – Mieliliśmy też nadzieję, że w ubiegłym roku uda nam się odrobić straty z pandemii. Niestety to, co się stało w Krakowie po 24 lutego, miało skutki niemal takie same jak lockdown – przyznaje Suder.

W wyniku rozpoczęcia działań wojennych ruch turystyczny w Krakowie ponownie się załamał. Grupy turystyczne



Zamknięta z powodu pandemii restauracja w centrum Wrocławia, czerwiec 2021 r.

odwoływały przyjazdy i kasowały rezerwacje nawet na wakacje, co spowodowało drastyczny spadek popytu. Jest przecież wiele pięknych miejsc na ziemi z dala od zasięgu rosyjskich rakiet. – A gdy się spojrzy na globus, to wojna w Ukrainie jest właściwie pod Krakowem – przekonuje przedsiębiorca.

Kiedy świat oswoił się z najazdem Rosji, a turystyka wreszcie odbiła od dna, pojawiły się dramatycznie rosnące koszty. Za jedno jajko z wolnego wybiegu, które kiedyś kosztowało Sudera mniej niż 50 groszy, obecnie musi zapłacić 94 grosze. Stawka za prąd w jednym z jego lokali wynosiła 55 groszy za kilowatogodzinę, a w następnej umowie, którą przysłał Tauron, było to 2,20 zł. Stawka za gaz wzrosła jeszcze bardziej, na szczęście akurat tego surowca firma zużywa niewiele.

– Dostaliśmy już rachunek za grudzień z kawałkiem listopada. Zamiast 3,5 tys. zł wyniósł prawie 8 tys. zł. Właśnie byłem w Tauronie wnioskować o rozłożenie tej należności na raty. Takiego rozregulowania rynku jeszcze w swojej działalności biznesowej nie doświadczyłem – mówi właściciel Hummus Amamamus. – Po tym wsparciu, które nam okazali ludzie, nie myślimy jednak o zamknięciu lokalu.

Aplikacje zjadają zyski

Oczywiście, restauratorzy zawsze mogą podnieść ceny. Problem w tym, że obec-

nie ich klienci również liczą każdy grosz i – jak się wydaje – są już na granicy akceptowalności cen, choć właściele nie odbijają sobie w nich wielu strat. – Każda podwyżka przekłada się na spadek sprzedaży – tłumaczy Krzysztof, właściciel Bistro Pizy Bzik z Katowic. – W samej restauracji podwyżka cen zmniejsza ruch niewiele, o ok. 5-10 proc. Jednak na portalach typu Uber Eats albo Pyszne.pl spadek wolumenu sprzedaży jest na poziomie 30-40 proc.

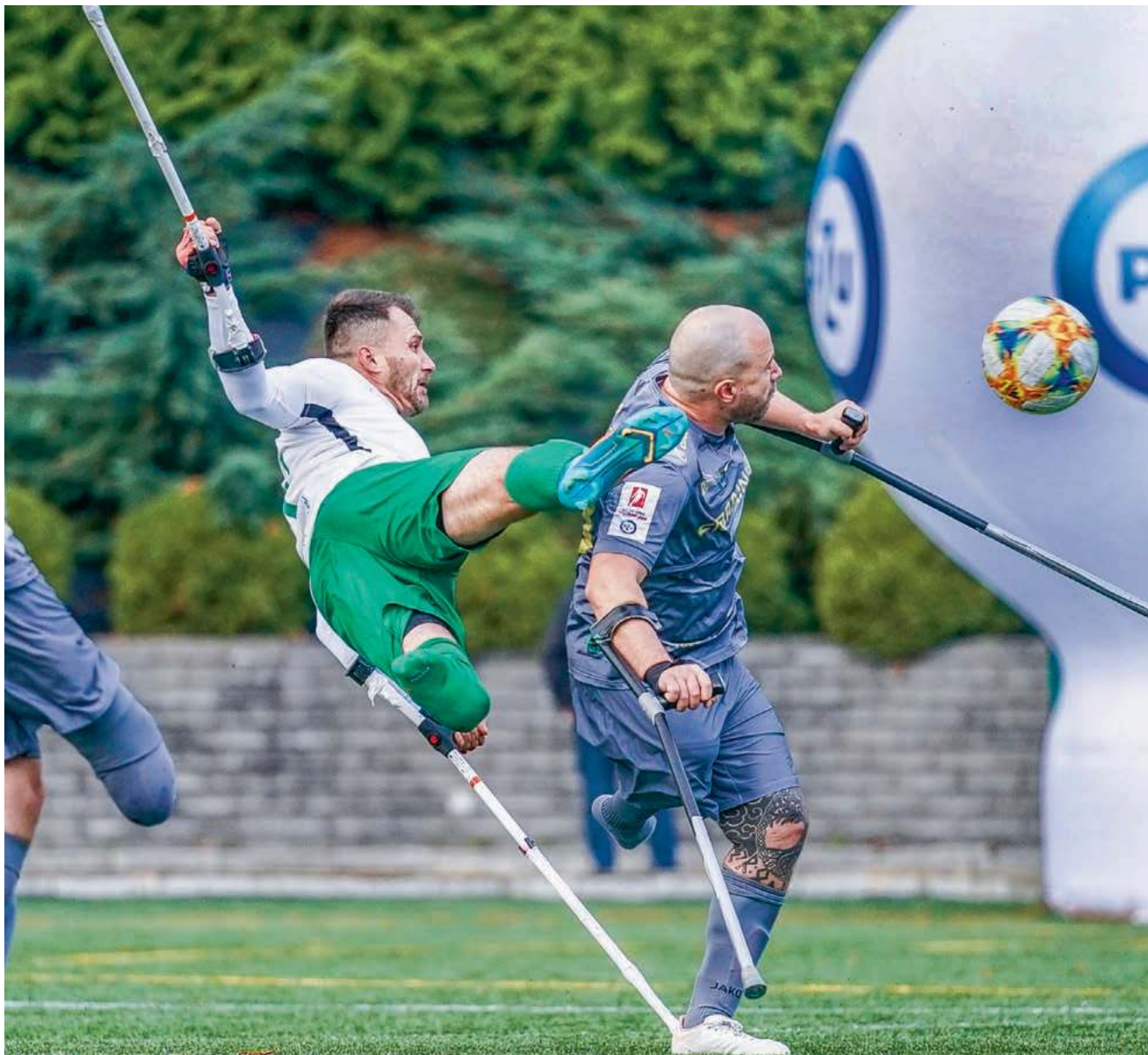
To o tyle istotne, że aplikacje służące do zamawiania jedzenia odpowiadają nawet za 40 proc. obrotów. W pandemii za trzy czwarte. – Te portale są dla gastronomii zmorą. Nikt ich nie chce, ale każdy z nich musi korzystać, bo nie ma wyjścia. Pobierają horrendalne prowizje, 30 proc. obrotu. To bardzo dużo, szczególnie w czasach tak niskich marż, jakie mamy w branży – przyznaje Krzysztof. – One nie wniosły żadnej wartości. Po prostu „przesunęły” popyt, który i tak istniał. Różnica jest tylko taka, że teraz trzeba się dzielić z pośrednikiem.

Właściciel Bistro Pizza Bzik w październiku zamknął swój lokal w Katowicach. W lutym Bzik powrócił, ale w innym miejscu. – Kluczową przyczyną zamknięcia była cena prądu. Do tej pory co dwa miesiące płaciliśmy rachunek ok. 7 tys. zł. Tymczasem w nowej prognozie wyszło nam 34 tys. zł. To

była dla nas kwota zupełnie abstrakcyjna. Nie mogliśmy iść gdzie indziej, bo propozycja rządu 2,40 zł za kWh była wtedy standardem – przyznaje Krzysztof. – Teoretycznie mogliśmy spróbować przecześć, bo finalnie rząd ten pomysł przyblokował i stanęło na 0,9 zł za kWh. Tylko że patrząc z perspektywy tamtych dni, gdy wszystko waliło się na głowę, to było ogromne ryzyko.

Jak na razie historia Bistra Pizza Bzik ma *happy end*. Gdy sytuacja z cenami energii się wyjaśniła, właściciel wraz z pracownikami postanowili wrócić do pracy. Ale w nowej formule, która w czasach kryzysu energetycznego może być przyszłościowym rozwiązaniem dla wielu innych małych firm. – Docelowo chcemy, żeby nowy Bzik był czymś na kształt spółdzielni – tłumaczy Krzysztof. – Wszyscy czujemy się odpowiedzialni za bistro i finalnie chcemy, żeby ludzie stanowiący trzon tej firmy byli równymi sobie współnikami.

Rząd od grudnia 2022 r. zamroził cenę prądu dla małych i średnich przedsiębiorców. Dodatkowo 8 lutego PGNiG zapowiedziało, że takie firmy będą mogły korzystać z gwarancji stałej i niskiej ceny gazu. Niestety, wiele dobrych lokali, które przetrwały pandemię i podwyżki energii na minimalnej marży, zdążyło już do tego czasu zamknąć drzwi dla swoich, często stałych, klientów. © PIOTR WÓJCİK



CYFRASPORT PHOTO AGENCY DLA AMPFUTBOL POLSKA / MATERIAŁ PRASOWY

Marcin Oleksy strzela bramkę w meczu Warty Poznań ze Stalą Rzeszów. Bielsko-Biala, listopad 2022 r.

Nożyce superbohatera

MATEUSZ POJNAR

Kiedy 13 lat temu stracił nogę, mówił, że nie chce żyć. Dziś jest na ustach całego piłkarskiego świata. Właśnie pokonał Kyliana Mbappégo.

PORANEK W ZIELONEJ GÓRZE JEST MROŻNY. 20 listopada 2010 r., początek weekendu. Na Szosie Kisielińskiej trwa roboty. Robotnicy latają dziury w drodze. Jeden z nich, Marcin Oleksy, staje tyłem do jezdni, na wprost maszyny. Jego

wujek rozprowadza asfalt. Nagle uderzenie i wielki huk. Wujek klnie, Marcin leży na ziemi. Rozgląda się w szoku, widzi wokół pełno krwi.

– Wtedy pytałem sam siebie, czy będę żył. To było dla mnie najważniejsze

– mówi Marcin „Tygodnikowi”. – Byłem przerażony.

W robotników wjechał maluchem 81-letni mężczyzna. „Jeden z nich na skutek poniesionych obrażeń stracił nogę – relacjonowała po wypadku rzeczniczka zielonogórskiej policji Małgorzata Stanisławska. – Jego kolega także został ranny. Sprawdziliśmy, roboty były prawidłowo oznakowane. Kierowca samochodu był trzeźwy”.

Robotnikiem, który stracił nogę, był właśnie Marcin Oleksy, po godzinach pracy bramkarz czwartoligowej Korony Kozuchów. Przyjaciele mówią na niego „Olo”. A teraz – za sprawą spektakularnego gola, który w plebiscycie FIFA Football Awards został nominowany do Na-

grody Puskása dla autora najpiękniejszej bramki roku – mówi o nim także cała piłkarska Polska.

Goloneczka z bramkarza

Olo: – Po operacji obudziłem się i zobaczyłem całą rodzinę. Wiadomo, były łyzy. Ale kazałem im od razu spieszyć się do supermarketu, bo na pewno załapią się na goloneczkę z mojej łydki. Chciałem to obrócić w żart, żeby rodzina mniej przeżywała. Moja Ewelina była w ciąży. Miała rodzić za trzy-cztery miesiące.

Marcin przyznaje, że bywały trudne momenty. – Taki wypadek sprawia, że tracisz poprzednie życie – podkreśla. – Z drugiej strony myślę, że teraz żyje mi się lepiej. Dostałem drugą szansę i ją wykorzystuję. Ten wypadek coś mi dał. Ale 13 lat temu w Boże Narodzenie siedziałem na wózku na balkonie, paliłem papierosa, płakałem i pytałem: dlaczego trafiło na mnie? Dziś patrzę na to tak, że może i lepiej. Bo gdyby to przytrafiło się komuś innemu, to... Wiem, że łatwo się po tym załamać.

Marcin ma przesłanie dla tych, którzy przeżyli podobny dramat: – Trzeba walczyć, szybko ułożyć to sobie w głowie. Nie ma co się załamywać. Nie poddawajcie się.

– Wracasz czasem do wypadku? – pytam.

– Teraz już nie – odpowiada. – Nie jest tak, że boję się o tym mówić, ale nie wracam. Bliscy i rodzina byli kluczem, żeby to przetrwać. Za chwilę miałem zostać ojcem i to nie był czas na załamkę. Ewelina mi pomogła. Można powiedzieć, że była moim aniołem. Zajmowała się mną dużo lepiej niż pielęgniarki czy lekarze. Po operacji miałem bóle fantomowe, leki nie pomagały. Musiałem się czasem wykrzyzczyć, a ona przyjmowała to ze spokojem. Tak, spadła mi z nieba.

Miłość

– Czas po wypadku był bardzo trudny. Musiałam stawić temu czoło – mówi Ewelina, partnerka Marcina. – Wszystko spadło na moją głowę, a za chwilę miałam rodzić. Można powiedzieć, że w pewnym okresie miałam w domu dwójkę dzieci, do których musiałam wstawać w nocy. Zawsze mówię, że to ja noszę spodnie w tym domu. Gdy szliśmy na spacer, pchałam wózek inwalidzki, a Marcin pchał wózek dziecięcy. Trochę to śmiesz-

nie wyglądało, ale przebrnęliśmy przez to. To już jest za nami. On przez to przeszedł.

Jak? – Kluczowe były narodziny Tomka – wspomina Ewelina. – Marcin miał momenty załamania. Rzucił czasem, że nie chce żyć, a ja próbowałam mu tłumaczyć, że żyje dla mnie i naszego synka. No i wypełniałam liczne papiery, żeby po tym wypadku dostać od państwa jakieś śmieszne pieniądze.

– Marcin jest dobrym człowiekiem – uśmiecha się Ewelina. – A jednocześnie bardzo zawziętym, jak sobie coś postanowi. To mu pomogło.

Kamil, brat Marcina: – To była rodzinna tragedia. Miałem 15 lat, nie rozumiałem świata. Też zresztą grałem w piłkę i, jak Marcin, stałem w bramce. Nie wyobrażam sobie, jak bym przeżył taki dramat. On ma poczucie humoru i po czasie zrozumiałem, że to normalne, że się nie załamał. Zawsze był charakternym człowiekiem. To wyniósł również z boiska. I stał się przykładem dla ludzi, którzy mają za sobą jakąś tragedię: że można po tym wrócić. Że można wszystko.

Nauka chodzenia

Gdy założył protezę, na początku mu przeszkadzała, raniła go. – Nie była taka, jak chciałem, przez co się denerwowałem – wspomina Marcin. – Musiałem na nowo nauczyć się chodzić, bo sporo czasu spędziłem na wózku. Myślałem: będzie proteza, założę ją i sobie pójdę. Myliłem się. Jak pierwszy raz wstałem na protezie, nie potrafiłem zrobić kroku. Chociaż amputacja nogi i tak nie jest aż takim problemem jak amputacja ręki.

Pierwsze cztery-pięć lat był skrzepowany. Widział, że na ulicy przyglądają mu się ludzie, dlatego nie chodził w krótkich spodenkach. – Po amputacji czuje się ten wzrok, on męczy – zwraca uwagę Olo. – Ludzie nie patrzą ci w oczy, tylko na protezę.

Batalia sądowa o to, żeby ubezpieczyciel zapewnił Marciniowi porządną sprzęt ortopedyczny i pieniądze na rehabilitację, trwała osiem lat. Ale okazała się zwycięską.

Co tam masz, trener?

Pasją Oleksego są gołębie sportowe, ale przede wszystkim piłka nożna. Ważnym momentem był zakup specjalnej protezy

do biegania: przybliżył powrót do sportu, który kochał od dziecka.

– Pamiętam pierwszy moment, kiedy zacząłem w niej biec – uśmiecha się Marcin. – Byłem taki szczęśliwy. Po ośmiu latach zapomniałem już, jaki to stan. Usłyszałem wtedy, że lepiej biegam, niż chodzę. W końcu postanowiłem pierwszy raz zagrać z synem w piłkę. Kolega otworzył nam orlika, no i zagramyśmy.

Potem zaczął trenować dzieci. Wrócił do piłki na dobre, bo ciągnęło wilka do lasu. Mówi, że futbol daje mu pozytywnego kopa.

– Podopieczni pytali: „A co ty, trener, tam masz?”. To odpowiadałem: „A taką nogę” – mówi Olo. – Ale mało było tych pytań bezpośrednio do mnie. Bardziej przyglądali się i mówili do siebie: „Widziałeś, jaką trener ma nogę?”. Ja się z tego śmieję, mówię: „Chodź, zobaczysz z bliska, nie musisz się tak przyglądać”. To też jest ważne dla dzieci, żeby w przyszłości wiedziały, jak się zachować, gdy spotkają osobę podobną do mnie. Muszą wiedzieć, że prowadzimy normalne życie, tylko nie mamy jakiejś części ciała.

Ewelina: – Namawiałam go, żeby wrócił do piłki. Jestem szczęśliwa, że tak się stało.

Kamil Ozgowicz, kolega Marcina z boiska: – Dzieci, obserwując go, mają dobry wzór. Wiemy, co się wydarzyło, ale teraz znowu robi to, co kocha. Może być dla ludzi inspiracją.

Najważniejsza głowa

Przygoda Oleksego z ampfutbolem zaczęła się w 2020 r. Ampfutbol to piłka nożna uprawiana przez zawodników po jednostronnej amputacji kończyny dolnej (w przypadku graczy z pola) lub kończyny górnej u bramkarzy. – Dlatego czasem żałuję, że nie ucieli mi ręki. Wtedy znowu byłbym bramkarzem – żartuje Olo. – Dziś wchodzę do szatni i czuję się tak jak kiedyś. Odnajduję ten klimat. Wracają wspomnienia.

Gra w Warcie Poznań. W 2021 r. został odkryciem sezonu ampfutbolowej ekstraklasy. Szybko trafił do reprezentacji Polski, z którą w ubiegłym roku zagrał na mistrzostwach świata.

– W tej odmianie piłki nożnej najważniejsza jest chyba głowa – tłumaczy trener Warty Dariusz Sylwestrzak. – Motoryka też. Bieganie ramionami, bo są zawodnicy, którzy na boisku płyną, tak

→ lekko poruszają się na tych kulach. Ale najistotniejsza jest mentalność. Czy ktoś pomimo przeszkód, które go spotkały w życiu, podejmie to wyzwanie.

Sylwestrzak mówi wprost: – Trenuję superbohaterów. Ludzi, którzy dają nam wszystkim przykład. Gdy prowadzę trening piłkarzy w pełni sprawnych i oni narzekają, że jest ciężko, to jako przykład podaję im ampfutbolistów. Oni mimo wszystkich przeciwności są często bardziej zaangażowani w grę, w życie klubu. Są wzorem. Warto czasem spojrzeć na nasze życie z boku. Osoby w pełni sprawne nie doceniają tego, co mają na co dzień.

Bramka roku

Kilka tygodni temu Olo trafił na usta całego sportowego świata.

A zaczęło się od ligowego meczu ze Stalą Rzeszów: piłka ze środka pola trafia na prawą flankę, za chwilę, po dośrodkowaniu, leci już w pole karne, a Marcin, wspomagając się na kuli, uderza ją z powietrza nożycami. Bramkarz jest bez szans. Samo okienko!

– Jak leciała, wiedziałem już, że jest moja – uśmiecha się. – Wiedziałem, co

z nią zrobić. Od początku mojej przygody z ampfutbolem próbowałem takich uderzeń. Kiedyś w szatni powiedziałem chłopakom: strzelę kiedyś piękną bramkę. Wtedy cały czas miałem otwarte oczy. Do momentu, aż wpadła do siatki. Byłem taki dumny. Mówiłem, że to zrobię, i zrobiłem!

„Drodzy państwo, to jest chyba najpiękniejsza bramka tego sezonu!” – krzyczał komentator. I być może okazał się prorokiem, bo gol Oleksego został nominowany w plebiscycie FIFA Football Awards do Nagrody Puskása dla autora najpiękniejszej bramki roku. Zachwycił się nim m.in. Robert Lewandowski. Gwiazda Barcelony tak zachęcała ludzi na swoim Facebooku do głosowania na trafienie Marcina: „Ampfutbolowy gol Marcina Oleksego został nominowany do najbardziej prestiżowej nagrody piłkarskiego świata FIFA Puskás Award. Oddajcie swój głos na Marcina!”.

Nominację do plebiscytu dostały w tym roku największe gwiazdy futbolu, m.in. Mario Balotelli, Theo Hernández, Richarlison, Dimitri Payet czy Kylian Mbappé. W piątek 10 lutego poznaliśmy

finalową trójkę. Mbappé nie trafił do finału. Finalistami zostali Payet, Richarlison i właśnie Marcin Oleksy. Głosy na niego płynęły z całego świata.

– Udzielałem wywiadu, zadzwonił kierownik reprezentacji Polski Artur Kurzawa i mówi: „K...”, jedziemy do Paryża!”. A ja: „K...”, co ty p...?”. Taka była pierwsza reakcja – uśmiecha się Oleksy.

Jest pierwszym Polakiem nominowanym do tej nagrody.

Zwycięzcę poznamy podczas uroczystej gali FIFA The Best 27 lutego. Zjawi się tam śmietanka światowego futbolu.

Olo: – Gdy skończyliśmy ten wywiad, chciałem wrócić do domu i się wyciszyć. Usiadłem w samochodzie, na parkingu, i poleciały mi łezki. Trudno mi opisać te emocje. Za chwilę będę mógł spotkać się z Messim. Fajnie byłoby zamienić kilka słów z piłkarzami, których oglądam w telewizji. Muszę mieć jakiś garnitur, w tygodniu jadę na przymiarki.

© MATEUSZ POJNAR

Autor jest dziennikarzem „Tygodnika Krag”, który ukazuje się w powiecie nowosolskim koło Zielonej Góry.

REKLAMA

poluzjanci

23.03.2023	Poznań Tama	02.04.2023	Gdańsk Stary Maneż
24.03.2023	Bydgoszcz Fabryka Lloyd	13.04.2023	Katowice P23
25.03.2023	Szczecin/Przeclaw GOKSiR	14.04.2023	Kraków Klub Studio
31.03.2023	Wrocław A2	26.04.2023	Warszawa Stodoła
01.04.2023	Łódź Wytwórnia		

Prawdziwe dziennikarstwo potrzebuje Twojego wsparcia naprawdę****

1,5%

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Przekaż 1,5% podatku
Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o suwerenność i rozwój
„Tygodnika Powszechnego”.**

» KRS 0000 125 605

TOMASZ

Stawiszyński: Nikt



LAURA WINHAM UMARŁA W OSAMOTNIENIU, a potem przez ponad trzy lata nikt nie zauważył jej nieobecności. Ani rodzina, od której ta cierpiąca na schizofrenię Brytyjka kilka lat wcześniej całkowicie się odcięła (rodzina zaś zgodnie odcięła się od niej); ani pracownicy opieki społecznej i ochrony zdrowia; ani zarządcy komunalnego budynku, w którym mieszkała; ani żadne inne służby i żadni inni urzędnicy.

Nikt nie zaniepokoił się brakiem reakcji na ponaglenia do zapłaty rachunków. Nikt nie pomyślał, że te nieopłacone rachunki niekoniecznie muszą oznaczać lekceważenie albo zapominalstwo, i nie połączył w głowie prostych faktów. Nic z tych rzeczy. Po prostu po kolei, metodycznie, odcinano elektryczność, gaz i wodę. Bez zastanowienia nad sytuacją kogoś pozbawianego w ten sposób bazowych parametrów przetrwania. Na zimno, pragmatycznie, beztrosko i nieuważnie, nie podjąwszy nawet jednej próby ustalenia, z jakiego powodu pieniądze przestały wpływać na konto.

Owszem, kilka miesięcy przed śmiercią Laurę Winham odwiedzili policjanci. Stwierdzili to samo, co kilka lat wcześniej zanotował pracownik opieki społecznej. Że w mieszkaniu panuje bałagan, brakuje jedzenia, a lokatorka znajduje się w stanie poważnego kryzysu psychicznego i nie potrafi zadbać o swoje życiowe potrzeby. Stwierdzili to i już więcej nie wrócili. W żadnym momencie nie powstało w ich głowach pytanie: „a co się dzieje z tą wychudzoną, zabiedzoną, zaniedbaną i zapomnianą przez wszystkich kobietą?”. Z raportu, który napisali, nikt nie wyciągnął wniosków, nie stał się on dla nikogo impulsem do podjęcia działań, nie wywołał żadnych praktycznych konsekwencji.

Tymczasem Laura Winham od najmłodszych lat potrzebowała pomocy. Była osobą słabo słyszącą, leczyła się kardiologicznie, w wieku nastoletnim zmagająca się z problemami psychicznymi. Pomimo to udało jej się pomyślnie skończyć szkołę, potem studia, przez krótki czas wydawało się nawet, że będzie wiodła w miarę spokojne i stabilne życie. Ostatecznie jednak rozwinęła się u niej psychoza, która *de facto* uniemożliwiła jej normalne funkcjonowanie. Mniej więcej wtedy zerwała kontakt z rodziną, mniej więcej wtedy stała się podopieczną brytyjskich instytucji pomocowych.

A jednak – za życia i po śmierci – nikt jej nie odwiedzał, nikt do niej nie dzwonił, nikt się nią nie interesował. Do tego

stopnia, że kiedy wreszcie jej ciało zostało odnalezione – nawiasem mówiąc, stało się to przypadkiem: ktoś z rodziny przyjechał, żeby poinformować Laurę o śmierci ojca – było już w stanie niemal pełnej mumifikacji.

Oczywiście, natychmiast wszczęto śledztwa, uruchomiono stosowne postępowania, wydano oświadczenia, a o sprawie szeroko informowały brytyjskie i międzynarodowe media. Wszyscy urzędnicy w niewielkim nawet stopniu odpowiedzialni za to, co się stało, jak również ich przełożeni, wyrazili najgłębsze ubolewanie. Rodzina otwarcie oskarżyła opiekę społeczną o zaniedbania, do jej głosu przyłączyła się większa część opinii publicznej.

Ale przecież niezależnie od tego, co wykaże śledztwo – a wykaże zapewne to, co najczęściej takie śledztwa wykazują: sekwencję prześlepień, zaniechań, nieświadomości, działań odkładanych na później... – nie sposób nie zadać przy okazji jednego podstawowego pytania. Brzmi ono: jak to możliwe, że trzydziestoparoletnia kobieta cierpiąca na wiele problemów zdrowotnych, w tym także ciężkie zaburzenia psychiczne, kobieta będąca – teoretycznie – pod stałą opieką powołanych do tego instytucji, okazała się zarówno dla bliskich, jak i dla systemu społecznego stuprocentowo niewidzialna? Jak to możliwe, że ktokolwiek dzisiaj staje się dla swoich bliskich i dla systemu stuprocentowo niewidzialny?

I jeszcze pytanie bodaj najważniejsze. Czy jest to tylko wypadek przy pracy, zakłócenie w sprawnie działającym mechanizmie, czy też mamy tu raczej problem o charakterze systemowym, którego ten tragiczny los jest tylko ekstremalnym upostaciowieniem?

Nie chcę i nie potrafię zbudować teraz żadnej spójnej interpretacji tego, co spotkało Laurę Winham. To nie jest zadanie na skalę felietonu, to jest zadanie dla służb i pomocy społecznej, dla socjologów, psychologów, polityków czy lokalnych działaczy, słowem: dla ludzi, którzy się tym profesjonalnie zajmują. Ja mam do powiedzenia tylko tyle, że istnieją dzisiaj – jak to naocznie pokazuje ta historia – ludzie zbędni, ludzie zaniedbywani, ludzie dla systemu niewidoczni, a zatem całkowicie pozbawieni dlań jakiegokolwiek znaczenia i jakiegokolwiek wartości. Za życia i po śmierci.

I jeszcze – że to właśnie nie jest przypadek odosobniony. Że to raczej pryzmat, przez który dostrzec można na co dzień ukrytą mechanikę tego świata. Jego potężne, działające gdzieś w tle bezlitosne tryby, pomiędzy które czasami wpadamy. Owszem, zdarza się wtedy, że ktoś wyciąga do nas pomocną dłoń, ale zdarza się również, że nikt nie zwraca na nas uwagi. Tak jak nikt nie zwrócił uwagi na to, że umarła Laura Winham, bo wcześniej nikt nie zwracał uwagi na to, że żyła.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWKI



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

The background of the cover is a photograph of Volodymyr Zelenskyy, the President of Ukraine, standing in a snowy environment. He is wearing a dark olive-green tactical jacket over a dark blue hoodie and camouflage pants. He has his right hand over his chest and a serious expression. In the background, other soldiers in military gear are visible but out of focus.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK
SPECJALNY
„TP” 9/2023

Ukraińska wojna o istnienie – rok pierwszy



SAMEER AL-DOUMY / AFP / EAST NEWS

Zniszczone rosyjskie pojazdy wojskowe. Kijów, 5 stycznia 2023 r.

Konflikt przełomu epok

WOJCIECH KONOŃCZUK

Rosyjska agresja to wydarzenie epokowe i niezależnie od tego, jak się zakończy, w fundamentalny sposób odmieni zarówno Ukrainę, jak Polskę i resztę Europy.

Brak strategicznej wyobraźni – tak można najkrócej scharakteryzować podejście większości Zachodu do Rosji przed 24 lutego 2022 r. Tego dnia wszyscy obudziliśmy się w nowej rzeczywistości, która dla wielu polityków wcześniej nijak nie mieściła się w głowie. Zachodnie rachuby wobec Moskwy zakończyły się spektakularną porażką. Przekonana o systemowej słabości świata zachodniego Rosja zdecydowała się zagrać *va banque*, licząc, że pokerową zagrywką odniesie sukces.

Kreml spotkała jednak nieprzyjemna niespodzianka. Reakcja Zachodu na pełnowymiarową już napaść na Ukrainę była bowiem zjednoczona i szybka. Było to możliwe głównie dzięki przywódczej

roli Stanów Zjednoczonych, co – w sytuacji dojmującej słabości krajów unijnej „wagi ciężkiej”, czyli Niemiec i Francji – potwierdziło, że jakiegokolwiek dyskusje o „europejskiej autonomii strategicznej” pozostają mrzonką. Na wysokości zadania stanęły natomiast Polska i inne państwa regionu. Bez ich zdecydowanej postawy i sprawnej wysyłki broni w niewralgicznym okresie przebieg wojny mógł być dla Kijowa znacznie gorszy.

Niezdolność Berlina i Paryża do przywództwa w momencie najważniejszej próby podważyła zaufanie do nich ze strony władz i społeczeństw wschodniej flanki NATO. Zapoczątkowało to dyskusje o tym, że jednym z efektów trwającego konfliktu będzie zmiana układu

sił w Europie i przeniesienie jednej z osi polityki na wschód kontynentu. Wydaje się, że wciąż zbyt wcześnie na tego typu rozważania, choćby dlatego, że wojna się nie skończyła, a Ukraina wciąż jest daleka od zwycięstwa.

Nie ma jednak wątpliwości, że mamy do czynienia z jednym z tych momentów historii, które zapowiadają zbliżającą się zmianę politycznej epoki. Znajdujemy się w przedśionku kolejnej, której forma i treść uzależnione będą nie tylko od wyniku tej wojny, ale i od tego, jak szybko Ukrainie uda się odbudować ze zniszczeń. Nadanie Kijowowi statusu kandydata do Unii Europejskiej jest wprawdzie niezwykle istotne, ale nie warto popadać w iluzje – proces akcesji zajmie wiele trudnych lat. Bez rozszerzenia instytucji

euroatlantycznych na wschód nie ma jednak szans na stabilność i bezpieczeństwo Europy.

Problem w tym, że w elitach zachodnioeuropejskich tego typu myślenie nie stanowi głównego nurtu. O ile w pierwszych miesiącach inwazji dominowała jedność, o tyle teraz coraz wyraźniej rysują się rozbieżności między państwami wschodniej flanki a zachodnioeuropejskimi. W tych pierwszych zwycięstwo Ukrainy pozostaje kwestią niemal egzystencjalną, w tych drugich wzmaga się głosy mówiące o potrzebie znalezienia „rozsądnego rozwiązania”, jakiegoś kompromisu. Nie rozwiązałoby to jednak żadnego problemu, a co najwyżej odsunęło go w czasie i pogłębiło.

Na razie Zachód wspiera walczącą Ukrainę militarnie i finansowo. Zapowiedziane dostawy czołgów Leopard są przykładem przełamywania kolejnych tabu, ale zachodnia pomoc jest znacznie mniejsza niż potrzeby. Ostatecznie wojnę wygra ta strona, która okaże się bardziej konsekwentna i zdeterminowana. O Ukraińców można być spokojnym, bo to dla nich wojna o „być albo nie być”, ale muszą mieć czym walczyć. Kreml liczy, że to Zachód okaże się słabym ogniwem. Zachodnie problemy gospodarcze, w tym inflacja, zubożenie i wysokie koszty przestawiania się na surowce ze źródeł nierosyjskich mają w zamyśle Moskwy przynieść w końcu jej zwycięstwo. Jest jednak duża szansa, że tak się nie stanie. Także dlatego, że dla Polski i innych państw naszego regionu ukraińska wojna obronna jest też ich wojną.

Ukształtowany po 1991 r. ład europejski został przez Moskwę wywrócony do góry nogami. Jest jasne, że po tej wojnie Ukraina będzie innym państwem, i że porządek w tej części świata ulegnie rewizji. Zmiennych, które wpłyną na jego kształt, jest zbyt dużo, aby można było go teraz definitywnie rozstrzygnąć. Wielkim wyzwaniem pozostanie przyszłość państwa rosyjskiego po Putinie.

Nie ma co wróżyć z fusów, ale pozostaje mieć nadzieję przynajmniej na koniec zachodnich złudzeń wobec Rosji. I – oczywiście – należy szybciej zbroić Ukrainę. ©

WOJCIECH KONOŃCZUK jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

Najdłuższa bitwa

PAWEŁ PIENIAŻEK Z BACHMUTU (DONBAS)

Po miesiącach walk o miasto nieliczni mieszkańcy Bachmutu walczą o przetrwanie. Bez wody, prądu i gazu, przy zimowych temperaturach.



Ulica jest wymarła. Jej krajobraz tworzą betonowe bloki, gruzy z trafionych budynków, rozbite szkło i resztki rakiet. I zwłoki psa przysypane zmrożonym śniegiem, spod którego widać martwe oko, lekko rozdzielone pysk i zmierzwioną sierść. W tle napis: „Witamy w piekle” – element pracy bachmuckiej artystki Maszy Wyszedzkiej. Zderzając realia z marzeniem namalowała uliczkę, którą chciałaby widzieć w swoim mieście, gdzie panuje radość, tętni życie, a przy tym jest ładnie i nie ma chaosu. Dziś jej praca, poharatana odłamkami i z leżącymi obok zwłokami, nabiera innego znaczenia.

Panuje mroźna pogoda, niebo jest czyste, ale wydaje się, jakby wokół trwała niekończąca się burza. Niekiedy można odnieść wrażenie, że rozstępuje się ziemia. Artyleria ucicha z rzadka. Często uszu dobiegają złowieszcze świsty pocisków i warkot silników rakiet. A wyżej krążą rosyjskie myśliwce.

Kilkaset metrów dalej od miejsca, gdzie leżą zwłoki psa, biega Johnny, kundel w ciapki. Gdy odbiega za daleko, woła go Wołodimir, 64-letni emeryt, a w czasach sowieckich artylerzysta. Zrobił przerwę w rąbaniu drewna, dzięki któremu pozostali w mieście ludzie mogą się ogrzać. Od dawna brak gazu, prądu i wody, nie działa sieć telefoniczna. Choć dwa dni temu w jego budynek trafiły rakiety Grad, Wołodimir nawet nie drga, gdy nad głową przelatują mu pociski. – Jak Bóg da, przeżyję. Włączę wtedy Petera Greena i Pink Floyd, żeby nudno nie było, bo teraz jest ze mną tylko Johnny i cztery koty – mówi.

Walki o Bachmut rozpoczęły się latem 2022 r. Do 24 lutego mieszkało w mieście 80 tys. ludzi, na początku lutego 2023 r. zostało ich ok. 6 tys. Bó

o Bachmut to najdłuższa bitwa od rozpoczęcia rosyjskiej inwazji na pełną skalę. Miasto jest coraz bardziej zniszczone, walki trwają na kolejnych ulicach. W rocznicę wojny pełnoskalowej ukraińska armia z trudem odpiera kolejne ataki.

W czasie teraźniejszym

Oprócz Wołodimyra i jego zwierząt w kilkupiętrowej kamienicy nie mieszka już nikt. Na przełomie stycznia i lutego mieszkali z nim jeszcze żona (o pięć lat młodsza od niego) i 34-letnia córka. – Dlaczego zostaliśmy? Ciotka miała demencję, musieliśmy się nią zająć. Pochowaliśmy ją we wrześniu – wyjaśnia Wołodimir.

Już wówczas sytuacja w Bachmucie była ciężka. Jakoś do niej się adaptowali i po śmierci ciotki zostali w ostrzeliwanym mieście. Obie kobiety jednak zabrała wojna, przy czym córce nie wytrzymało serce. Życie w ciągłym zagrożeniu ma konsekwencje. Zmarła na zawał.

Wołodimir pogodził się już z myślą, że będzie musiał zakopać je na podwórku, bo nie miał pieniędzy na pogrzeb. Ale znajomi, którzy wyjechali do zachodniej Ukrainy, zapłacili za wszystko. Dzięki temu córka i żona spoczęły na cmentarzu w sąsiednim mieście Czaśiw Jar.

On wciąż mówi o nich w czasie teraźniejszym: – Żona będzie miała urodziny 7 kwietnia, a córka 24 lutego.

Dramat, który spotkał Wołodimyra, pozbawił go nadziei i chęci do działania. – Już za późno, by wyjechać – stwierdza, a nieopodal wybucha pocisk. – Z wiekiem zaczynasz rozumieć, że swoje już przeżyłeś. To była moja druga żona, mam dzieci. Mógłbym do nich jechać, ale nie chcę się im płatać →

→ pod nogami. Będę się modlił, żebym przeżył.

Gdy to mówi, wybuchy stają się tak głośne, że czasami z trudem go słyszę, choć stoję obok. – W szkole uczyli mnie, że Boga nie ma. Ale kiedy dzieją się takie rzeczy, zaczynasz częściej o nim myśleć – przyznaje i wraca do rąbania drewna.

Dziesięć po dziesiątej

Dwa dni przed tym, jak rozmawialiśmy, w jego dom trafiły grady. Zniszczyły fasadę budynku tuż pod mieszkaniem Wołodymyra. Na ulicy leżą cegły, walają się odłamki i szkło, w ziemię pobijane są korpusy rakiet.

Gdy jego dom został ostrzelany, leżał już w łóżku – bez prądu nie ma wiele do roboty ciemnymi i zimnymi wieczorami. I właśnie wtedy jest najstraszniej: wszystko drży, koty chowają się pod kanapę, a pies siada, patrzy na niego i szczeka. On miał już zasypiać, gdy nagle tak lupnęło, że poderwał się z łóżka i zaczął przeklinać. Nie, nie zbiegł do piwnicy, choć w budynku jest prawdziwy schron z czasów sowieckich.

Dopiero rano zobaczył, co się stało. Myślał, żeby balkon wyremontować, ale machnął na to ręką. Od uderzenia spadł ze ściany zegar, wypadły baterie. Stąd wie, że ostrzał był dokładnie o godzinie 22.10.

Dotychczas Wołodymyr miał co jeść. W mieście wydawali pomoc humanitarną, a żołnierze, którzy opuszczali pozycje w pobliżu jego domu, powiedzieli, żeby zabrał wszystko, co mu potrzebne. Ale przyznaje, że jakoś szczególnie nie myśli o jedzeniu – nieustające eksplozje zabijają łaknienie. Nim sytuacja w mieście uległa pogorszeniu, ważył jakieś 90 kilogramów. Szacuje, że obecnie ma nie więcej niż 70 kilogramów.

Wodę nabiera ze studni, topi też śnieg. Drewnem, które narąbie, pali w piecyku wstawionym do domu; jego rura wystawała przez zabite dyktą okno.

Punkt niezłomności

Wkrótce jednak sytuacja może ulec zmianie. Ze względu na pogarszające się położenie wojenne wokół Bachmutu i Rosjan zapuszczających się coraz bardziej w głąb miasta władze obwodu donieckiego ograniczyły dostęp do miasta wszystkim cywilom, którzy



PAWEŁ PIENIAŻEK X3

WOŁODYMYR przed swoim domem ostrzelanym z wyrzutni Grad. Bachmut, luty 2023 r.

nie są tu zameldowani. Tłumaczą to bezpieczeństwem. Na posterunku przed miastem cywile muszą okazać specjalne przepustki. W rezultacie wolontariusze mają utrudniony lub wręcz uniemożliwiony wjazd. A to oni zapewniają jedzenie pozostałym w mieście ludziom.

– To wiele wyjaśnia – powtarza kilkakrotnie 51-letnia Tetiana, gdy dowiaduje się o nowych obostrzeniach.

Decyzja o przepustkach została ogłoszona nagle. Choć wymagano ich na posterunkach, przez pierwsze trzy dni nie były wystawiane. Urzędnicy przekonywali, że zgody nie dało wojskowe dowództwo. W rezultacie pomoc do Bachmutu nie dojechała.

Tetiana odpowiada za jeden z trzech tzw. punktów niezłomności działających w mieście. Ludzie mogą się w nim codziennie od godziny 8 do 16 ogrzać, zjeść ciepły posiłek, wypić herbatę. Wydawane są leki i udzielana jest też pierwsza pomoc – zdarzało się, że do punktu wbiegali ranni. Tetiana jest akuszerką, przez lata pracowała w szpitalu.

Tutaj można otrzymać również drewno do opalania. Niestrudzenie rąbie je jeden z wolontariuszy.

Punkt niezłomności to jedyne miejsce, gdzie mieszkańcy mogą podłączyć się do internetu dzięki połączeniu satelitarnemu. Wtedy mogą powiedzieć bliższym, że żyją.

Do końca

Tetiana wraz z innymi wolontariuszami jest zabiegana. W punkcie niezłomności w godzinach pracy przebywa stale kilkadziesiąt osób, a po dwunastej, gdy gotowy jest obiad, przychodzi nawet i powyżej setki. To małe pomieszczenie, do którego nie wpada światło przez zabite okna. Oświetla je tylko słabe światło żarówek i pieca, na którym gotuje się zupa. Przychodzą głównie zabiedzone starsze osoby – nie mają dokąd iść lub nie chcą wyjeżdżać.

Tetiana, choć uśmiecha się i znajduje chwilę dla każdego, przyznaje, że jest wykończona. Pracuje bez przerwy od kilku miesięcy. A w domu trudno się zrelaksować. – Nie mam okien, jest zimno i panuje zupełna ciemność. Świecę latarką i rozpalam burżujkę – mówi. Burżujka to piec, na który w Polsce potocznie mówi się koza.

Czasami, gdy już nie ma sił, kładzie się i – jak mówi – wyje, ryczy i szlocha.

– Jestem po operacji kręgosłupa, mam cukrzycę. Każdego ranka wygrzebuje się z łóżka, choć jest ciężko. Mówię sobie: „Tania, wstawaj, jesteś potrzebna”. Dopóki są siły i możliwości, trzeba pomagać. Wiem, że jestem tym gwoździem, na którym trzyma się wielu – mówi.

Do punktu niezłomności idzie pod ostrzałami i wraca pod ostrzałami. Na większość nie zwraca uwagi, choć gdzieś



ANATOLIJ dzieli się jajkami z nielicznymi sąsiadami, którzy zostali w mieście.



DZIAŁAJĄ TUTAJ trzy tzw. punkty niezłomności, w których mieszkańcy mogą się ogrzać, otrzymać ciepły posiłek i pomoc humanitarną.

blisko walnie. Trafienia są też obok ich punktu. Błazany sklep naprzeciw zamienił się w ruinę. Tetiana przegnała wszystkich sprzed drzwi i starała się zachować zimną krew. Dlatego wejścia do punktu niezłomności zastawiają drewnianymi tarcami, które mają zatrzymać odłamki.

Od dawna jest spakowana. Gdy Rosjanie będą o krok od zajęcia miasta, wyjedzie.

– Jeśli Bachmut nie będzie ukraiński, nie zostanę – mówi.

Będzie dobrze

Anatolij, pracownik kolei państwowych, też nie wyjeżdża – jest przekonany, że ukraińska armia obroni miasto. Choć Rosjanie stopniowo zaciskają pierścień wokół Bachmutu: prą od północy,

wschodu i południa. Odcieśli dwie kluczowe trasy, pozostawiając jedną gorszą drogę, której sięga już ich artyleria.

Anatolij postanowił, że zostanie, jeszcze w 2014 r., gdy wybuchła wojna w Donbasie. – W takiej sytuacji nie można padać, trzeba się trzymać. Wszystko będzie dobrze – mówi, a w tym momencie rozlega się wystrzał z działa. – Kiedy to się skończy, będziemy żyć lepiej.

Przyznaje, że taki jest z natury, więc łatwiej mu w tym trudnym czasie: – Jest strasznie, ale to nic. Ze strachu nic nie wynika. Jak mocno strzelają, zbiegam do piwnicy, ale nie na długo, na pół godziny, czasami godzinę.

Trudno powiedzieć, skąd bierze ten optymizm. Jego dzieci i żona wyjechali. Mówi, że najbardziej brakuje mu ich wspólnych rozmów. Mieszka w domu syna – jego dom i mieszkanie córki zostały zniszczone, a jego działka jest na terenie zajęтым już przez Rosjan.

W otoczeniu Anatolija zostało raptem kilka osób. Okazjonalnie ucina z nimi pogawędki. To samotność najbardziej mu doskwiera. Wraz z sąsiadem podtrzymują się wzajemnie na duchu. Znają się od 1995 r., gdy Anatolij przeprowadził się do Bachmutu z zachodniej Ukrainy.

Będzie, co będzie

W domu obok została starsza para, oboje zbliżają się do dziewięćdziesiątki. Gdy Anatolij był u nich ostatnio, mieli spuchnięte nogi, ledwie się poruszają. On i pozostali sąsiedzi pomagają, czym mogą. Przynoszą im drewno, by mieli jak się ogrzać.

Para starszków nie chce wyjeżdżać. Nie ma też dokąd. Ich syn po prostu ich porzucił. Wyjechał z miasta jesienią. Gdy Anatolij do niego zadzwonił, usłyszał w słuchawce: „Nie chodź do nich, będzie co będzie”.

– Plakać mi się chce, jak o tym pomyśle – mówi.

Anatolij chodzi po kurniku, gdzie kilkanaście kur głośno gdaka, czasami płosząc się od huków artylerii. Gdy pocisk świszcze mu nad głową, nie rusza się. Stoi prosto i jako jeden z nielicznych wierzy, że Bachmut też wystoi.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Rosja rok później

ANNA ŁABUSZEWSKA

Rosyjski kosmos składa się z milionów małych kosmosów. Przed rokiem nastąpiła w nim katastrofa: agresja na sąsiada zmieniła trajektorie ludzkich losów, jedne zniszczyła, innym pozwoliła zaistnieć. Co przyniósł ten czas Rosji i co będzie dalej?

Na początku był szok i niedowierzanie. Ponad 40 proc. uczestników badań socjologicznych Centrum Lewady przyznaje się dziś do takich emocji, odczuwanych zaraz po rozpoczęciu przez Rosję pełnoskalowej inwazji na Ukrainę. Czy 40 proc. to dużo? Jak mówią socjologzy z Centrum, członkowie zatamowanego społeczeństwa na ogół przyjęli pozycję embrionalną zgodnie z przekazem przodków: w trudnych czasach lepiej się nie wychylać. Znakomita większość przyczaiła się w oczekiwaniu na rozwój sytuacji.

W protestach przeciwko wojnie, nazywanej przez władze „specjalną operacją wojskową”, uczestniczyła niewielka grupa – wprawdzie marsze i pikety pod hasłem „Nie dla wojny” odbywały się w wielu miastach, nie przybrały jednak masowego charakteru. Były konsekwentnie rozpędzane przez policję i Rosgwardię, które zatrzymywały demonstrantów. Władze stopniowo zaostrzały przepisy dotyczące pociągania do odpowiedzialności przeciwników wojny, co miało efekt mrozący – ruch oporu nie powstał. Antywojenne głosy są klasyfikowane jako „dyskredytacja armii” lub „rozpowszechnienie fejków”. Na podstawie tych paragrafów zapadły już wysokie wyroki.

Okienko możliwości

Z biegiem miesięcy, gdy okazywało się, że stawiane cele (w zależności od okoliczności przez władze ogłaszane jako stałe lub zmienne) nie są realizowane, przestrzeń życia społecznego była coraz mocniej militaryzowana, a przejawy niezadowolenia ścigane. Gdy Putin ogłosił „częściową mobilizację” we wrześniu 2022 r., kilkaset tysięcy osób wołało uciec w popłochu za granicę, niż dać się wciągnąć do „drugiej ar-

mii świata”, jak władze lubią nazywać rosyjskie siły zbrojne. Indywidualne strategie przetrwania wybrali ci, którzy mogli liczyć na własne siły i kategorycznie nie chcieli uczestniczyć w działaniach zbrojnych przeciwko Ukrainie. A reszta?

Przeważająca część społeczeństwa, którą państwo zatrudnia i opłaca, nie mogła pozwolić sobie na ten luksus. Niektórzy nie mieli zresztą zamiaru uciekać od wojny. Dla mieszkańców dalekiej depresyjnej prowincji, bez szans na awans społeczny i jakieś warunki życia, oferta zaciągnięcia się za całkiem duże pieniądze w szeregi armii – lub prywatnych firm militarnych w rodzaju Grupy Wagnera – okazała się atrakcyjnym okienkiem możliwości.

Rosyjskie niepowodzenia na froncie, wymuszające angażowanie coraz większych sił, sprawiły, że zapotrzebowanie na mięso armatnie stale rosło – władze dały zielone światło nawet dla powołania pod broń więźniów. Na tym podglebiu wyrósł szef Grupy Wagnera, Jewgienij Prigożyn, który wkroczył na scenę polityczną, sygnalizując poważne ambicje. Czy uda mu się na niej utrzymać, to kwestia otwarta.

Klapki, uzda, bat

Ekipa Putina trzyma się na razie w niemal niezmiennym składzie. Swoje stanowiska zachowali premier, ministrowie (w tym minister obrony, któremu już wielokrotnie wrócono dymisję), szefowie federalnych agencji, gubernatorzy. Jednak w przyszłości przetasowania w ramach tej grupy są możliwe, szczególnie gdy Putin zacznie rozliczać funkcjonariuszy swego państwa z zadań stawianych im w związku z przeciągającą się wojną.

Opozycja demokratyczna, która jeszcze przed 24 lutego 2022 r. została ze-

pchnięta na wąziutki margines, w ciągu ostatniego roku jest sukcesywnie dorzynana – aresztowani zostali ostatni pozostający na terytorium Rosji jej działacze, m.in. Władimir Kara-Murza i Ilja Jaszyn. Siedzący w łagrze Aleksiej Nawalny jest tam stale poddawany dodatkowym represjom. Liczni przeciwnicy Putina wyemigrowali (niektórzy już przed laty, jak Michaił Chodorkowski czy Garri Kasparow, inni – dopiero w ostatnim roku, jak członkowie ekipy Nawalnego) i na obczyźnie próbują montować alternatywne siły polityczne. Na razie bez powodzenia.

Argusowe oko służby bezpieczeństwa pilnie śledzi przejawy niezadowolenia i krytyki. Dochodzi do absurdu. Agencja ds. kontroli mediów Roskomnadzor za cacytowanie aforyzmu Stanisława Jerzego Leca: „Ci, którzy zakładają klapki na oczy, powinni pamiętać, że w zestawie znajduje się również uzda i bat”, zablokowała konto w mediach społecznościowych deputowanego z Petersburga Borysa Wiszniewskiego.

Układ hermetyczny

Brak przesłanek do ogłoszenia tak pożądanego przez Putina zwycięstwa (lub przynajmniej sukcesu) na froncie powoduje turbulencje na szczytach. Od czasu do czasu powstają teorie spiskowe o zamiarze zastąpienia tracącego popularność Putina jakimś alternatywnym politykiem. To trudne do zweryfikowania tezy – układ władzy jest hermetyczny, przecieki są kontrolowane, podobnie jak działania członków ścisłego kierownictwa.

Na razie widać jedno: mimo oczywistego niepowodzenia planu „małej zwycięskiej wojny” Putin przetrwał u władzy ten rok, płynnie zmieniając się z autokratą w dyktatora, bawiącego się z upodobaniem w żołnierzyki. On też – jak i reszta społeczeństwa – ma swoje strategie przetrwania i adaptuje się do nowych warunków. Zasadnicze pytanie brzmi: na jak długo wystarczy mu sił i środków?

Władza planuje przeprowadzenie fałszywych wyborów prezydenckich w marcu 2024 r. Na razie jedynym kandydatem jest Putin. Sytuacja może się jednak wymknąć spod kontroli. To scenariusz, który na pewno spędza mu sen z powiek.

W swoich strategiach Kreml stara się też minimalizować negatywne konsekwencje na arenie międzynarodowej. Za-



Wiec poparcia dla agresji przeciw Ukrainie. Stadion Łużniki, Moskwa, 18 marca 2022 r.

chód, który przyjął jednoznacznie pro-ukraińskie stanowisko, został zakwalifikowany przez Putina jako główny przeciwnik. Kolejne fazy odcinania się od zakupu rosyjskich surowców, zrywanie lub zawieszanie współpracy gospodarczej, pakiety sankcji wobec Rosji i pakiety pomocy dla Ukrainy, pogłębiająca się izolacja Putina jako „polityka, któremu nie podaje się ręki” (za agresję na Ukrainę i za niszczenie wolności obywatelskich w kraju) – to wszystko są czynniki, które ewidentnie nie odpowiadają założeniom planów geopolitycznych Putina.

Rosyjska dyplomacja poszukuje więc alternatywnych sojuszy i rynków zbytu, a także by-passów dla dostaw towarów objętych sankcjami. I gdzieś tam się jej to udaje. Bastionem, z którego na razie nie dała się wypchnąć, jest Rada Bezpieczeństwa ONZ, gdzie Rosja zachowuje prawo weta.

Księgowość czasu wojny

Poza nielicznymi wyjątkami ludzie wielkiego biznesu nie przeciwstawili się polityce Putina, choć zdemolowała ich interesy i międzynarodowe powiązania, ani nie podważyli jego pozycji jako lidera układu politycznego i biznesowego Rosji. Najwidoczniej strach przed utratą majątków sparaliżował czołowych biznesmenów. Odważyło się wychylić zaledwie kilku (Awen, Fridman, Tińkow), ich głosy jednak szybko zamilkły.

Jak pisałam w opracowaniu dla kwartalnika „Polski Przegląd Dyplomatyczny”, w rosyjskim układzie biznesowym „omerta obowiązywała wszystkich

uczestników tej skomplikowanej gry. Obowiązuje nadal. W czasach pokoju zadaniem kręgów biznesowych była obsługa interesów Putina (tajemnice nieformalnych operacji finansowych wyszły na jaw m.in. przy okazji afery Panama Papers), a także robienie mu prezentów i przyjemności”. Teraz, w czasie wojny „biznesmeni mają popierać prezydenta i finansować potrzeby militarne państwa. (...) Duże pieniądze lubią dyskrecję i spokój. Oba te czynniki przestały po 24 lutego działać. Niepokój w szeregach wzmogły wprowadzane systematycznie zachodnie sankcje, (...) większość elit postępowała zgodnie ze strategią milczącego przeczekania złej passy. Ale zła passa trwa nadal i nie wygląda na to, by miała się szybko skończyć. Nadzieja na szybki powrót do *business as usual* umiera w konwulsjach kolejnych sankcji”.

Rosyjska gospodarka, podobnie jak klasa polityczna i społeczeństwo, musiała się przestawić na cele wojenne i zaadaptować do nowych niekorzystnych warunków. W pierwszych miesiącach konfliktu – mimo wprowadzanych ograniczeń – Rosja zarobiła na sprzedaży ropy, dzięki czemu władze nadal mają środki, aby pokrywać tegoroczne wydatki. Ale na jak długo ich wystarczy przy rosnących kosztach inwazji i nawarstwiających się problemach ze spieniężeniem oferty eksportowej?

Resortom gospodarczym w minionym roku udało się odroczyć załamanie. Wprowadzane przez Zachód kolejne porcje sankcji wymuszają poszukiwanie nowych form zarabiania pieniędzy dla bu-

dżetu, który coraz mocniej wysysany jest przez wojnę. Długotrwałe sankcje będą coraz bardziej osłabiać gospodarkę. Rosyjskie PKB w 2022 r. spadło o 2,5 proc. Ekonomisci twierdzą, że w roku 2023 nie uda się utrzymać takich wskaźników. To niekomfortowa sytuacja, ograniczająca Putinowi rozgrywanie swojej partii, obciążonej coraz większym ryzykiem. Brak środków na kupowanie spokoju społecznego to zasadnicze wyzwanie dla trwania systemu.

Sport to też oręż

Rosja, podobnie jak wcześniej Związek Sowiecki, traktuje sport jako narzędzie propagandy i atrybut wielkomocarstwa-wości.

Po inwazji na Ukrainę państwowa machina sportowa została zastopowana sankcjami międzynarodowych federacji poszczególnych dyscyplin i MKOl-u: rosyjskich i białoruskich sportowców odsunięto od udziału w zawodach mistrzowskich. Do wielkich imprez dopuszczono warunkowo tylko tenisistów.

Od czasu do czasu z Rosji dochodzą skargi na niesprawiedliwość, jaka ma spotykać rosyjski sport. Przewodniczący MKOl Thomas Bach co kilka tygodni wydaje z siebie ciężkie westchnienie i obietnicę, że będzie się starał znaleźć wyjście z niekomfortowej sytuacji, w której rosyjscy sportowcy są wykluczani z występów na arenie międzynarodowej. Trwa dyskusja, czy można będzie dopuścić ich do udziału w igrzyskach olimpijskich w Paryżu w 2024 r. A jeśli tak – to na jakich warunkach, jakimi kryteriami się kierować →

→ itd. Moskwa uruchomiła macki (czytaj: agenturę i grupy „pożytecznych idiotów”), aby zwiększyć szanse swoich sportowców na udział.

Tymczasem Putin bez żenady używa sportowców jako mięsa armatniego. Spektakularną akcją polityczną z udziałem gwiazd sportu był wiec poparcia dla jego agresji, który odbył się 18 marca 2022 r. na stadionie w moskiewskich Łuznikach. Olimpijczycy z medalami na szyi i znakiem „Z” na kurtkach entuzjastycznie wsparli wojenny amok.

Zdaniem wielu dziennikarzy branżowych rosyjskiemu sportowi pod sankcjami – pozbawionemu dostępu nie tylko do rywalizacji z najlepszymi, ale także do ekwipunku produkowanego wedle najnowszych technologii – trudno będzie nadrobić dystans. Pomysł Putina, aby organizować wewnętrzne turnieje, nie sprawdził się.

„Własne Oscary”

Frontem jest też kultura. Przykładem Koryfeusz putinowskiej polityki kulturalnej Nikita Michalkow, który już wiele lat temu zawiesił sztukę na kołku i z zadem zabrał się za wspieranie Putina.

W marcu 2022 r. Międzynarodowe Stowarzyszenie Federacji Producentów Filmowych (FIAPF) zamroziło licencję moskiewskiego Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w związku z inwazją na Ukrainę. Festiwal ten to ukochane dziecko Michalkowa i jedna z tych imprez kulturalnych, które przyciągały do Moskwy wielkie nazwiska światowego kina. Dotknięty do żywego reżyser zaczął promować pomysł, żeby nie oczekiwać łaski z zagranicy i samemu stworzyć własne instytucje wspierające i promujące kulturę, np. Eurazjatycką Akademię Filmową, która miałaby przyznawać „własne Oscary”.

Rosyjska propaganda codziennie wbija do głów odbiorcom, że Zachód niszczy tradycyjne rosyjskie wartości, w tym wielką kulturę, sekując rzekomo nawet rosyjskich klasyków. Piszę te słowa, słuchając akurat symfonii Czajkowskiego na francuskim kanale Mezzo; nie spotkałam

się też z informacjami, że z europejskich bibliotek czy księgarni wyrzucono powieści Dostojewskiego. Tymczasem z rosyjskiego rynku księgarskiego nieustannie dochodzą wieści o wycofaniu tej czy innej pozycji z uwagi na „nieodpowiednie treści” albo o wpisaniu autora na listę „agentów zagranicznych”.

Cancel culture po rosyjsku

To nie koniec wymazywania: z repertuarów teatrów spadają sztuki niepożądanych autorów lub spektakle, w których grają aktorzy potępiający agresję. Ze sceny usunięto spektakle wyreżyserowane przez Dmitrija Krymowa, który w proteście przeciwko wojnie opuścił Rosję. Pod koniec roku jego nowojorskie mieszkanie spłonęło, reżyser znalazł się w szpitalu. Z repertuaru teatru Sowriemiennik w Moskwie wykreślono przedstawienia, w których grała nestorka sceny Lija Achedzakowa – również za jej postawę antywojenną. Pracę w teatrze MChT stracił popularny aktor Dmitrij Nazarov, który w mediach społecznościowych mówił o spustoszeniu, jakie w ludziach czyni wojna. To tylko kilka przykładów *cancel culture* w pełnym tego słowa znaczeniu.

Tymczasem w kinach bryndza. Hollywood zastąpiono roztańczonym Bollywoodem. Niektóre kina stosują metodę obchodzenia sankcji wprowadzonych przez wielkie światowe wytwórnie filmowe: w oficjalnym repertuarze zamieszczają informację o seansie jakiegoś niedługiego filmu dokumentalnego, a po nim wyświetlany jest zachodni film fabularny; nielegalne kopie sprowadzane są do rosyjskich kin np. z Kazachstanu.

Zgodnie z zalecanym przez władze „duchem patriotyzmu” ministerstwo kultury nakreśliło horyzonty kinematografii czasu wojny. Twórcom zlecane będzie kręcenie filmów, które popularyzują służbę w armii, w szczególności heroizm rosyjskich żołnierzy podczas „specjalnej operacji wojskowej”, jednoczą społeczeństwo wokół wsparcia dla armii, pokazują ważne wydarzenia historyczne (odpowiednio przedstawione).

Podobne wytyczne zapewne dotyczyć będą również innych dziedzin sztuki. Obecnie trwa wymiana dyrektorów najważniejszych rosyjskich muzeów. Chodzi o zapewnienie ekspozycji tylko tych dzieł, które odpowiadają „tradycyjnym wartościom”, nie dyskredytują armii i nie podważają nieomyślności prezydenta.

„Z”-patriotyzm

Wojna zdominowała również edukację. W szkołach wprowadzono lekcje wychowania w duchu wojennego „Z”-patriotyzmu, podczas których kształtowane są odpowiednie z punktu widzenia władz postawy. Jeśli podczas lekcji wypowiadane są antywojenne treści, uczniowie lub nauczyciele składają donosy, wskazując nieprawomyślną osobę i jej niepożądane poglądy.

Na kształtowanie postaw społecznych wpływ ma propaganda w mediach, w szczególności telewizja. W oficjalnym przekazie nie ma informacji o rosyjskich zbrodniach wojennych w Ukrainie, szeroko krytykowany jest za to Zachód i jego nieposkromione zakusy w podboju Rosji, a wysławiany geniusz polityczny Putina.

Propaganda to tarcza, która nadal chroni prezydenta, zagłuszając zdrowy rozsądek i krytykę. Wolne media zostały zniszczone. W kraju zamknięto dostęp do tych niezależnych rosyjskojęzycznych mediów, których redakcje działają za granicą.

■ ■ ■

Co dalej? Na razie wiele wskazuje na to, że Putin nie poszukuje dróg wyjścia z wojny, a wręcz przeciwnie – nastawia się na długi konflikt. Tak długo, jak wystarczy mu zasobów, będzie eskalował.

Wojna to jego sposób na utrzymanie władzy. Wszystkie wymienione wyżej komponenty rosyjskiej sceny będą coraz bardziej militarystyczne.

Wojna wciąga jak bagno.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 9/2023

REDAKCJA: Wojciech Pięciak | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski

OPIKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska

FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | SKŁAD: Andrzej Leśniak

NA OKŁADCE: WOŁODYMYR ZEŁENSKI, KIJÓW, 29 STYCZNIA 2023 R.

/ UKRAINIAN PRESIDENTIAL PRESS SERVICE / AFP / EAST NEWS

PARTNERZY



Parlament Europejski
Biuro w Polsce



Ambasada
Republiki Federalnej Niemiec
Warszawa



Polska
Rada
Biznesu



Na linii frontu w obwodzie charkowskim. Żołnierze ukraińscy wystrzeliwiają pocisk z amerykańskiej haubicy M777. Ukraina, 21 lipca 2022 r.

Jak długo potrwa ta wojna?

PETER CADDICK-ADAMS, BRYTYJSKI ANALITYK WOJSKOWY:

W Ukrainie toczy się dziś wojna artyleryjska. Putin liczy na to, że Ukraińcom skończy się amunicja, a Zachód nie będzie już w stanie jej uzupełnić.

PATRYCJA BUKALSKA: Poprzednim razem rozmawialiśmy dla „Tygodnika” wiosną 2022 r., wkrótce po odkryciu zbrodni w Buczy. Ostatnią rzeczą, jakiej bym się wtedy spodziewała, to że za rok znów będziemy rozmawiać o wojnie, która nadal trwa.

PETER CADDICK-ADAMS: Minął rok, ale Ukraina nadal trzyma się mocno, a Rosja popełniła wiele błędów.

Uczy się na tych błędach?

Tak, ale na razie Ukraina uczy się szybko. Za każdym razem, gdy Rosja znajduje sposób, by zaatakować, Ukrainie udaje się ten atak odeprzeć – także dzięki temu, że Zachód przekazuje jej informacje wywiadowcze.

Rosja ma ten sam problem, co Niemcy w czasie II wojny światowej: jest państwem skonfliktowanych struktur. Jest jeden przywódca, ale siły mu podlegające

działają w trybie darwinowskim – przeżywają najsilniejsi. Jest armia, są różne struktury bezpieczeństwa wewnętrznego, są prywatne armie. Ostatnio Gazprom postanowił stworzyć własną firmę militarną. Widzę to jako przygotowania do ustalenia terytoriów w świecie postputinowskim. Z czasem Putin będzie na nich coraz bardziej polegał, o ile będą wobec niego lojalni, a to nie będzie w smak FSB i armii, bo oznacza naruszenie ich terytoriów.

Taka skonfliktowana wewnętrznie organizacja jest nieskuteczna. To daje Ukrainie pewną przewagę. Część tych konfliktów, np. krytykę armii, widać na zewnątrz, a to oznacza, że wewnątrz sytuacja jest jeszcze bardziej napięta i myślę, że to napięcie może się zwiększać.

Czy także te wewnętrzne konflikty stoją za dotychczasowymi rosyjskimi porażkami na froncie?

Przyczyn jest więcej. Rosji nie udało się zintegrować swoich zasobów wojskowych. Mają zaawansowane „zabawki”, ale nie umieją ich zintegrować. Ich armia robi to, co robiła zawsze – zamiast skalpela używa młota kowalskiego.

Politycznym przesłaniem Putina jest odwołanie się do wojny ojczyźnianej. Ale Rosja to nie Związek Sowiecki, nie ma tak wielkich zasobów ludzkich, fabryk traktorów, które można by przestawić na produkcję czołgów, nie ma też pomocy z Zachodu. Nie jest w stanie nieustannie wysłać do walki nowych żołnierzy. Stąd pomysł Grupy Wagnera, by wykończyć więźniów, których życiem łatwo szafować. Ocenia się, że obie strony straciły po ok. 100 tys. ludzi. Jednak po stronie ukraińskiej to także straty cywilne. Po rosyjskiej nie zginęli żadni cywile. Rosja stara się robić wrażenie, że stać ją na tak wysokie straty, ale to nieprawda. Demografia jest dla niej niekorzystna, populacja się zmniejsza. Stracili i nadal tracą olbrzymie liczby wyszkolonych żołnierzy. Nowo zmobilizowani są słabo wyposażeni i wyszkoleni, wysyłani na front po 4-6 tygodniach – jak w czasie I wojny światowej.

Jak mówiłem jednak: Rosja się uczy, a Putin po pierwsze stawia na to, że Zachód zmęczy się pomaganiem Ukrainie. Niektórzy politycy w USA już mówią, że nie stać ich na „inwestowanie” w Ukrainę miliardów dolarów. I po drugie, że wkrótce wyczerpią się zasoby militarne Zachodu, zwłaszcza zapasy amunicji. →

→ To możliwe?

To rzeczywiście poważna kwestia. Kraje Zachodu uważały, że w dzisiejszych czasach operacje wojskowe powinny trwać krótko, prowadzone z chirurgiczną precyzją, z wykorzystaniem najnowszych technologii – słowem, że wojna będzie teraz przeciwieństwem długiej wojny, w której zużywa się olbrzymie ilości amunicji.

Tymczasem w Ukrainie trwa wojna artyleryjska. Zachód przekazał jej już większość swoich zasobów amunicji artyleryjskiej, pocisków przeciwpancernych itd. Fabryk nie da się uruchomić na nowo z dnia na dzień, więc aby uzupełnić zapasy, kraje zachodnie muszą zwracać się o zakup amunicji do innych państw spoza NATO. Ale, jak pokazuje przykład Szwajcarii, nie zawsze jest to takie proste. Putin liczy więc, że Ukrainie skończy się amunicja, a Zachód nie będzie w stanie jej uzupełnić. Jednak choć Rosja ma olbrzymie zapasy amunicji i sprzętu, są one przestarzałe. Do użycia nadaje się z tego może połowa, więc i rosyjskie zasoby się wyczerpią. Putin udaje tylko, że czas działa na jego korzyść.

Tym samym ta wojna staje się także wojną na komunikację. Rosyjski przekaz, powtarzany co chwila, brzmi: „Nie pomagajcie Ukrainie, bo zdecydujemy się na starcie nuklearne”. Ale Putin nigdy czegoś takiego nie powiedział. Mówił wprawdzie, że postawi siły strategiczne w stan gotowości, lecz tego nie zrobił, poziom alertu się nie zmienił, w magazynach nie było żadnego ruchu, nic nie przewożono. Nie ma sygnałów, by Rosja mogła wykorzystać broń nuklearną. To puste groźby. Tymczasem cały ubiegły rok niektórzy zachodni politycy alarmowali, że atak nuklearny może nastąpić. Nie ma ku temu żadnych, absolutnie żadnych podstaw!

Politycznie ta groźba jednak nadal działa na Zachodzie.

Putin gra tą groźbą. Zresztą każdego dnia Kreml przygotowuje przekaz, jaki zostanie wysłany na Zachód. I zawsze to oni go wysyłają, a Zachód musi odpowiedzieć, reagować. W mediach rosyjskich są debaty komentatorów, ekspertów – wyglądają na spontaniczne, ale takimi nie są. Nie padnie tam ani jedno zdanie, które by nie zostało zaakceptowane na Kremlu. To wszystko przekazy reżyserowane i celowo radykalne. Padały tam już groźby

zbombardowania Wielkiej Brytanii. To przedstawienie, które ma odwrócić naszą uwagę od innych spraw. Jeśli jest dużo takiego szumu medialnego, znaczy, że Rosjanie gdzieś coś szykują.

Przed tą inwazją przeważała chyba opinia, że następna wojna będzie hybrydowa lub toczona w cyberprzestrzeni – w każdym razie nie w błotnistych okopach, jak w czasie I wojny światowej. To zaskoczenie?

W listopadzie 2021 r. Boris Johnson stwierdził na forum komisji parlamentarnej ds. obrony – podczas dyskusji o redukcji zasobów konwencjonalnych armii brytyjskiej, w tym czołgów – że dni wielkich bitew pancernych w Europie należą do przeszłości. Trzy miesiące później okazało się, jak bardzo się mylił. Z jednej strony cieszyć się, że Johnson tak bardzo wspiera Ukrainę. Z drugiej jednak wiem, że robi to, by zatrzeć ślady, bo to on, bardziej niż ktokolwiek inny, jest odpowiedzialny za zmniejszenie naszych sił konwencjonalnych. Johnson jako premier został ostrzeżony przez brytyjski wywiad, że może dojść do ataku, ale nie uwierzył. Podobnie zresztą jak inni europejscy przywódcy.

A więc tak, to prawda: to, jak ta wojna wygląda, jest niespodzianką. Wcześniej wszyscy myśleli, że następna wojna będzie szybka i oparta na zaawansowanej technologii. To było klasyczne myślenie grupowe. Wskazywały też na to wydarzenia z jesieni 2020 r. w Górskim Karabachu, gdzie dużo czołgów zostało szybko zniszczonych przez drony. Na temat czołgów było mnóstwo dyskusji w Wielkiej Brytanii, bo ich utrzymanie sporo kosztuje.

Wielka Brytania, Polska i w ogóle kraje NATO dużo zainwestowały w zaawansowane technologie, np. w myśliwce. Są one jednak tak drogie, że rządy mają opory, by wysłać je do walki – z obawy, że je stracą. Wykorzystuje się drony do misji pokojowych, szkoleniowych, symulacji itd., ale wiadomo, że w czasie wojny, bez względu na to, jak dobry jest pilot, jak dobre jest wyposażenie samolotu i technologia *stealth*, część z nich zostanie zniszczona. Brytyjczycy musieli zacisnąć pasa, by kupić najnowsze myśliwce F-35. Ma ich być kilkadziesiąt, więc gdybyśmy stracili kilkanaście, byłaby to olbrzymia strata. Przypomnę, że w 1940 r. podczas bitwy o Anglię tracono nawet 20 samolotów dziennie.

Stąd bierze się niechęć, by przyznać, że biorąc udział w wojnie, trzeba wdrożyć drogi sprzęt, a ten może zostać zniszczony – co zmniejszyłoby zdolności obronne kraju. Dlatego łatwiej wierzyć, że następna wojna będzie toczyć się np. w cyberprzestrzeni, z dala od konwencjonalnych pól bitewnych, gdzie ludzie giną, a sprzęt jest niszczone.

Tymczasem dziś mamy do czynienia z mieszkanką wszystkich typów walki – Rosja prowadzi także wojnę informacyjną i cyberwojnę. Rosjanie walczą z Ukrainą w cyberprzestrzeni od 2014 r., więc Ukraińcy wiedzieli, czego się spodziewać, i są równie dobrzy jak rosyjscy cyberwojownicy. Rosji nie udało się w cyberprzestrzeni wiele zdziałać. W wojnie informacyjnej Rosjanie są bardzo dobrzy, w cyberwojnie – nie bardzo.

Jeśli chodzi o satelity – widzieliśmy działania hakerów, ale jeszcze nie wojnę satelitarną. Pierwszym sygnałem, jak mogłoby to wyglądać, było ostatnio zestrzelenie chińskiego balonu wywiadowczego nad USA. Był na wysokości kilkunastu tysięcy metrów, co jest zazwyczaj poza zasięgiem myśliwca, a jednak samoloty wzbily się tak wysoko, a ich pociski sięgnęły jeszcze dalej. To coś nowego. Rosja jednak, choć ma odpowiednią technologię, nie ma pieniędzy, by iść w takim kierunku.

Czego zatem można się spodziewać ze strony Rosji w roku 2023?

Jej ofensywy będą odbywać się na lądzie, bo jeśli chodzi o kontrolę przestrzeni powietrznej, to w zasadzie już z tego celu zrezygnowała. Nie spróbuje też raczej niczego na Morzu Czarnym – za każdym razem, gdy próbuje, wyłapuje to zachodni wywiad, a ukraińskie drony niszczą lub neutralizują zagrożenie. Rosjanie mogą więc walczyć tylko na lądzie, a jedynym ich narzędziem jest ten „młot”. Mają nadzieję, że ilość okaże się tym samym co jakość. Jednak ich nowo mobilizowani żołnierze nie są dobrze przeszkoleni, na zdjęciach widać, że to często mężczyźni już w wieku średnim. Sprzęt jest starszy i gorszy niż na początku inwazji, np. czołgi T-62 mają kilkadziesiąt lat. Jest Grupa Wagnera, ok. 25 tys. żołnierzy, wśród nich byli więźniowie, ale i oni nie są dobrze przeszkoleni. W Wielkiej Brytanii wyszkolenie żołnierza trwa przynajmniej rok!

Natomiast im dłużej ta wojna trwa, tym bardziej wpływa na sytuację Polski.

Jako członek NATO Polska może się chyba czuć bezpieczna?

Polska coraz bardziej niepokoi się o swoją granicę. Stąd plan budowy zapory na granicy z obwodem kaliningradzkim. Widzieliśmy, ile czasu zabrała NATO znacząca reakcja na atak na Ukrainę – znacząca, czyli nie polegająca na deklaracjach i wyrazach wsparcia, ale na wysłaniu wyposażenia wojskowego. Myślę, że Polska właśnie zmienia swoje priorytety. Oczywiście, nadal wspiera Ukrainę, także mentalnie i moralnie, ale jednocześnie widzi, że są podstawy, by teraz uznać zagrożenie również dla siebie za realne. Wcześniej tak nie było.

Atak na Ukrainę jest ściśle związany z osobą Putina. Ale on ma ponad 70 lat i jest bardzo chory. Zapewne dlatego pośpieszył się z tą wojną, rozpoczynając ją w lutym, w najgorszym czasie. Trzeba więc patrzeć dalej – jaka będzie Rosja bez Putina?

Chce Pan powiedzieć, że wtedy ryzyko dla Polski może się zwiększyć?

Putin usankcjonował na nowo rosyjski nacjonalizm – i to przekonanie dzieli z nim spora część społeczeństwa, większość instytucji i wszyscy oligarchowie. Jeśli on by nagle zniknął – umarł czy cokolwiek innego by się z nim stało – problem na Wschodzie nie zniknie. Będziemy mieć nadal do czynienia z niebezpieczną Rosją. Dlatego potrzebujemy NATO bardziej niż kiedykolwiek, bo tak czy inaczej znajdziemy się na niebezpiecznym terytorium.

Poważnym problem może być Białoruś. Łukaszenka się starzeje, jest zależny od Putina, społeczeństwo nie chce co prawda wojny, ale wszyscy mężczyźni w wieku poborowym musieli się zarejestrować [jesienią 2022 r. rozpoczęto tam tzw. weryfikację mobilizacyjną, co część analityków uważa za przygotowania do mobilizacji na wielką skalę – red.]. A jeśli Rosja wchłoniełaby Białoruś, Polska będzie mieć ją tuż za progiem, tak jak teraz Ukraina.

W tym roku możemy zyskać większą jasność, jeśli chodzi o możliwe scenariusze. Z pewnością to, co się dzieje wewnątrz Rosji, jest tak samo ważne jak wydarzenia w Ukrainie.

Jestem pewny, że w przyszłości Ukraina stanie się członkiem NATO. Już teraz polityczny środek ciężkości Sojuszu przesunął się na wschód.

Na początku inwazji padały pytania, dlaczego Putin to robi. Teraz to jasne: chce zniszczenia Ukrainy.

Posppekulujmy – co stanie się po tej wojnie i po Putinie?

Bez względu na intencje i cele strony wszczynającej wojnę, nie da się jej kontrolować. Wojna ma swoją dynamikę i toczy się, jak chce. Żadna z wojen w historii ludzkości nie zakończyła się tak, jak to przewidywano w chwili ich rozpoczęcia. Wojna w Ukrainie nie jest tu wyjątkiem – miała już niespodziewane zwroty akcji i będzie miała kolejne.

Czy Ukraina może wygrać?

Jest na to szansa, bo Rosja nie ma dość siły, aby wygrać. Jednak Ukraina sama z siebie nie ma dość sił, by wypchnąć Rosję ze swojego terytorium. Dopiero przy wsparciu Zachodu może to zrobić i dlatego wysłanie czołgów jest tak ważne.

Rzeczywiście zachodnie czołgi mogą przechylić szalę?

Same czołgi niewiele dają – potrzebne jest współdziałanie czołgów i piechoty. Żołnierze w bojowych wozach piechoty powinni towarzyszyć czołgom – oni mają za zadanie uniemożliwienie ich zniszczenia. Muszą razem ćwiczyć i razem walczyć. I tu rosyjska taktyka zawiodła, bo ich piechota nawet nie próbowała chronić czołgów, a Ukraińcy z zachodnią bronią z łatwością byli w stanie zniszczyć olbrzymią ich liczbę.

Dlatego teraz nie tylko dostawy czołgów są ważne, ale również wozów bojowych piechoty – Ukraina poprosiła o 300 czołgów i 700 takich transporterów. Nie obiecano jej aż tyle, ale obiecano sporo. Prosiła też o mobilną artylerię z Francji, Danii, Holandii i oczywiście Wielkiej Brytanii. Takie działa samobieżne są opancerzone i mogą poruszać się z taką

samą prędkością jak czołgi. Ze wsparciem z powietrza Ukraińcy mogą zatem ustalić pozycje nieprzyjaciela, przekazać tę informację czołgom i artylerii, które mogą wystrzelić pociski przemieszczając się.

To lekcja, którą odrobiliśmy po I wojnie światowej: że te cztery komponenty muszą walczyć razem – artyleria, wojska pancerne, piechota i lotnictwo. Tego nas uczono. Ale Ukraina wcześniej nie miała możliwości, by to zastosować. Rosja z kolei miała swoje wojenne „zabawki”, ale nie umiała ich zintegrować. Inwestowała w czołgi i samoloty, ale nie w całościowe dowodzenie. W takich miejscach jak Syria, gdzie była aktywna, nie potrzebowała go – ich samoloty były wysyłane do zrzućenia bomb, ale nie było tam myśliwców przeciwnika ani obrony przeciwlotniczej, żadnego zagrożenia. W Ukrainie Rosjanie przeżyli więc spory szok – ich samoloty, gdzie się nie pojawiają, są pod ostrzałem.

W rosyjskiej armii nie ma też koordynacji działań lądowych i lotnictwa. Nie rozumiem, że po roku wojny nadal nic z tym nie zrobili. Być może wyjaśnieniem jest właśnie doktryna „młota kowalskiego” – masa zamiast precyzji. Jeśli w tym roku nadal będą tak robić, to bez względu na to, ilu żołnierzy wyślą do walki, poniosą porażkę.

Pana ostatnia książka nosi tytuł

„Rok 1945 – zwycięstwo na Zachodzie”. Czy możemy mieć nadzieję na „Rok 2023 – zwycięstwo na Wschodzie”?

Książka, którą teraz piszę, dotyczy roku 1918. Ludzie myślą, że tamta Wielka Wojna zakończyła się, bo wszyscy byli wyczerpani. Tak naprawdę zakończyła się, bo zachodnia koalicja była niezwykle skuteczna w niszczeniu niemieckiej armii. Nie ma to nic wspólnego ze zmęczeniem, komunizmem czy czymkolwiek innym – chodziło tylko o militarną przewagę na polu bitwy, która doprowadziła do porażki Niemiec i zwycięstwa zachodniej koalicji. Koalicja – to klucz do wojny w Ukrainie. Ukraińcy walczą, ale za nimi jest wsparcie koalicji.

Wszyscy byliśmy bardzo krytyczni wobec Niemiec i kanclerza Olafa Scholza. Nie bez powodu. Jednak największym finansowym darczyńcą wobec Ukrainy są – po Stanach Zjednoczonych – właśnie Niemcy. Oni wolą dawać pieniądze niż broń. Nie bez znaczenia jest też →

→ sama osoba Scholza, bardziej pacyfisty niż wojskowego, i sytuacja w jego wielopartyjnym rządzie. Problemem są też Niemcy wschodnie, gdzie mieszka wiele osób sympatyzujących z Rosją i samych Rosjan. W całych Niemczech żyje 3,5 mln Rosjan, to znacząca mniejszość. Tak więc Niemcy mają swoje problemy, ale muszą je rozwiązać.

Dlaczego to istotne dla Polski? Jeśli wasze granice będą zagrożone, to nie tylko uruchomienie artykułu 5. będzie ważne, ale natychmiastowe wojskowe wsparcie. Lepiej więc, by Niemcy nie okazały się wtedy najsłabszym NATO-wskim ogniwem. Dlatego ważne są bazy amerykańskie w Polsce. W Wielkiej Brytanii trwa teraz dyskusja, czy jesteście w stanie wysłać nasze wojska nie tylko do krajów bałtyckich, ale także do Polski. Może brygadę. To oczywiście plany długoterminowe – wojna w Ukrainie uświadomiła nam, że zagrożenie nie zniknie i trzeba myśleć o fazie numer dwa, czyli świecie postputinowskim.

A co z fazą numer jeden? Jest szansa, że w tym roku wojna się zakończy?

Zadajmy pytanie: co musiałoby się stać, by zakończyć walki? Dla Rosji musiałoby to być takie rozwiązanie, w którym nie musiałoby się wycofywać z zajętych terytoriów. Ale dla Ukrainy to jest nie do przyjęcia. Ten scenariusz zatem odpada i walki są kontynuowane. Na Zachodzie są politycy, którzy chcieliby skłonić Ukrainę do jakiegoś rozejmu, jednak myślę, że jest ona dość silna, a Zełenski potrafi przekonać innych przywódców do swoich racji.

Nie rozmawialiśmy jeszcze o sytuacji, gdyby Rosjanom udało się zabić Zełenskigo. Sukces Ukrainy opiera się na nim... Jest teraz jednym z najważniejszych polityków na świecie, a nie widzę nikogo, kto mógłby go zastąpić. W wojsku mówimy o „środku ciężkości”: to punkt skupiający wszystkie twoje działania, bez którego funkcjonowanie jest niemożliwe, źródło siły. Takim punktem może być człowiek. Zełenski jest dziś „środkiem ciężkości” Ukrainy. Jego zniknięcie bardzo by ją osłabiło.

Nie ma żadnego choć trochę optymistycznego scenariusza?

Rosja przekroczyła wszelkie normy, złamała prawo międzynarodowe, na-

ruszyła prawa człowieka. Przez dekadę przed Putinem, za Gorbaczowa i Jelicyna, myśleliśmy, że mamy do czynienia z mocarstwem, które chce być częścią świata zachodniego. Otworzono archiwum, uznano zbrodnie popełnione w wcześniejszego reżimu. Wierzyliśmy, że dokądś nas to doprowadzi. Tymczasem cofnęliśmy się do przeszłości, a Putin przepisuje historię na nowo.

W Rosji są ludzie, którzy urodzili się, gdy był on już u władzy, całe życie są zatrudniani jego propagandą. Nie znają innego świata. Nawet gdyby Putin umarł czy zniknął, ta mentalność pozostanie. Rosjanie chcą być uważani za mocarstwo i jednocześnie chcą być częścią Zachodu. Dlatego pojawili się tam ze swoimi pieniędzmi – nie rozumieją jednak, że Zachód to nie tylko pieniądze, ale też wartości. To wszystko sprawia, że kwestia Rosji jest kwestią długoterminową, bo problemy z nią nie znikną. Jednak w tej chwili nie sposób przewidzieć, jak rozwine się sytuacja. Rosjanie też tego nie wiedzą. Liczą zapewne na odbudowanie relacji z Zachodem, a to jest niemożliwe.

Jestem natomiast pewny, że kiedyś w przyszłości Ukraina stanie się członkiem NATO, wnosząc swoje doświadczenie bojowe. Nie ma teraz bardziej zahartowanych w boju żołnierzy niż Ukraińcy. Będą dla Sojuszu ważnym wzmocnieniem. A Polska? Już teraz polityczny środek ciężkości NATO przesunął się na wschód, a Polska jest bardziej wpływowym i silniejszym sojusznikiem niż Niemcy. Od początku wiedzieliśmy, że Rosji trzeba stawić opór, jest zdeterminowana, dobrze zorganizowana, przyjęła ukraińskich uchodźców – myślę, że w wielu krajach na Zachodzie jest bardzo za to podziwiana.

© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

PETER CADDICK-ADAMS (ur. 1960) jest byłym oficerem armii brytyjskiej, uczestnikiem wojen (Irak) i misji pokojowych (Bałkany). Wykłada na Akademii Obrony Narodowej Zjednoczonego Królestwa, komentuje przebieg wojny w Ukrainie w brytyjskich mediach. Autor wielu książek z historii wojskowości, z których po polsku ukazała się „Monte Cassino. Piekło dziesięciu armii”.

Ten rok zmienił nasz świat

MARK LEONARD,

BRYTYJSKI POLITOLOG:

Wy, Polacy, stoicie dziś przed pytaniem, jak wykorzystać wasz moralny głos. To może być moment, który uczyni Polskę jednym z najważniejszych państw w przyszłej Europie.

PIOTR OLEKSY: Długo wierzyliśmy, że rosnące zależności między państwami, głównie społeczne i gospodarcze, będą gwarantem pokoju. Tak bardzo się pomyliliśmy, czy w międzyczasie coś poszło nie tak?

MARK LEONARD: Mieliśmy rację i myliliśmy się jednocześnie. Byłem jednym z ludzi zainspirowanych historią europejskiego projektu, w którym widzieliśmy, jak byli wrogowie stawali się przyjaciółmi w rezultacie rozwoju więzi ekonomicznych, infrastrukturalnych, międzyludzkich. Wydawało się, że to może być również globalnym doświadczeniem. Teraz zdajemy sobie sprawę z ciemnej strony różnych technologii i sił, które nas zbliżały. Każda z tych rzeczy pomogła połączyć świat, stworzyć powiązania między ludźmi w różnych miejscach, ale jednocześnie dała motywy do konfliktów oraz narzędzia i broń, którą można w tych konfliktach wykorzystać.

Na przykład?

Najbardziej oczywistym przykładem jest internet, który miał połączyć ludzi, a poprzez tzw. bańki informacyjne stworzył grupy, które nie mają ze sobą nawzajem kontaktu. Co więcej, efektem ubocznym zbliżenia ludzi jest to, że mogą oni się wzajemnie porównywać. To sprawia,



YURIY DYACHYSHYN / AFP / EAST NEWS

Rosyjskie ataki sprawiły, że ukraińska sieć energetyczna balansuje na krawędzi załamania, co skutkuje przerwami w dostawach prądu i wody dla milionów ludzi. Kawiarnia zasilana przez generator prądotwórczy. Lwów, 15 grudnia 2022 r.

że niektórzy czują się nieszczęśliwi z powodu swojego stanu egzystencji, bo widzą innych, którzy żyją lepiej. Dawniej mogłeś się porównywać z sąsiadami lub rodzicami, a teraz możesz się porównać z najbogatszymi ludźmi na świecie.

Kolejnym problemem jest to, że nie mamy już możliwości kontrolowania przyszłości w tym stopniu, w jakim mieliśmy wcześniej. Oddziałują na nas bodźce i wydarzenia z zupełnie innych stron świata, na które nie mamy wpływu, a które kształtują napięcia i resentymenty. Jest też cały zestaw metod, którymi możemy się krzywdzić. To narzędzia spoza sfery militarnej – oddziaływanie gospodarcze, finansowe, informacyjne czy kreowanie fal migracji.

W tym samym czasie Rosja zdecydowała się na klasyczną wojnę.

Czy Kreml chciał uderzyć w taki właśnie sposób, dopóki jego bardziej nowoczesne narzędzia – jak uzależnienie Europy od surowców – jeszcze mają znaczenie?

Podzielam takie wyjaśnienie. Zwróćmy jednak uwagę, że ta wojna jest odmienna od klasycznych wojen XX-wiecznych. Jest napędzana przez technologię, szczególnie w sferze rozpoznania oraz przesyłu informacji, która nabrała kluczowego znaczenia. Pole walki jest jedną ze sfer, w której się toczy. Rosja stara się wykorzystać swe powiązania z Zachodem. Pierwszym narzędziem jest tu ropa i gaz,

których używa efektywnie, wpływając na Europejczyków.

Drugie narzędzie Kreml zyskał dzięki odkryciu, że Europejczycy są przerażeni migracją. Po kryzysie roku 2015 stało się jasne, jak wrażliwi jesteśmy na tę kwestię. To nie przypadek, że Rosjanie poświęcają tyle energii na szerzenie terroru na całym terenie Ukrainy, a nie tylko na walkę z ukraińskim wojskiem. Niszcząc infrastrukturę, zmuszają ludzi do opuszczenia domów. Wielu z nich trafia do państw europejskich. Jasnym jest, że jeśli w jakiejś perspektywie czasowej ci ludzie nie wrócą do siebie, spowoduje to problem z odbudową ich kraju. Ponadto wytworzy to kontekst polityczny w państwach, w których mieszkają, dotyczący spraw społecznych, służby zdrowia, edukacji. W rosyjskiej strategii jest to równie istotne jak walka z Ukraińcami na ulicach miast.

Jedną z odpowiedzi Zachodu na rosyjską inwazję było przyśpieszenie zacieśniania więzi z Ukrainą. Niedawno w Kijowie odbył się szczyt Unia–Ukraina, a w dniu, w którym rozmawiamy, prezydent Zełenski jest gościem Rady Europejskiej. Jednocześnie widać ogromną rozbieżność między oczekiwaniami Ukrainy a możliwościami i wolą działania Unii. Czy na dłuższą metę to nie zatruje tych relacji?

Europejska perspektywa dla Ukrainy i Mołdawii jest konieczna i powinniśmy

zrobić wszystko, co możemy, by pomóc tym społeczeństwom zabezpieczyć kurs, który same wybrały. Nie da się jednak ukryć, że Ukraina jest obecnie niefunkcjonalnym państwem. Potrzebuje co miesiąc miliardów euro tylko na opłacenie bieżących kosztów funkcjonowania. Bez wsparcia USA i Unii nie byłoby już Ukrainy na mapie. To równie ważne jak niezwykle bohaterstwo obywateli Ukrainy.

W kwestii relacji Unia–Ukraina mamy więc do czynienia niejako z dwoma różnymi zegarami. Pierwszy bije bardzo szybko, wskazując czas, w którym musimy odpowiedzieć, czy pozwolimy Ukrainie przetrwać i obronić europejskie aspiracje, czy pozwolimy jej stracić suwerenność i stać się częścią rosyjskiego imperium. Nie są to kwestie, na których rozważanie możemy sobie dać kolejne 10 lub 15 lat. Ale jest jeszcze drugi zegar, który dotyczy transformacji państwa i jego wydolności, zdolności do działania. Ten zegar bije wolno. Perspektywa członkostwa w Unii jest odpowiedzią na marzenia Ukraińców i Mołdawian, ale nie jest tym, czego tak naprawdę potrzebują teraz. Bo jeśli spojrzymy na najbardziej palące problemy, pojawiają się fundamentalne kwestie związane z gospodarką, surowcami czy kontrolą granic. Samo członkostwo w Unii ich nie rozwiązuje. Musimy się poruszać jednocześnie na tych dwóch osiach czasowych, co jest wyzwaniem dla całej Europy.

Rozszerzenie Unii nie jest jednak wyłącznie kwestią gotowości Ukrainy i innych kandydatów. Dotyczy to również samej Wspólnoty.

Oczywiście Unia będzie musiała się dramatycznie zmienić, gdyby miała składać się z tak wielu członków. Prócz Ukrainy i Mołdawii są również Bałkany Zachodnie. Nie umiem wyobrazić sobie Francji i Niemiec, które godzą się na Unię, w której stanowią mniejszość w Radzie Europejskiej – te wszystkie państwa z Europy Środkowej i Wschodniej mogłyby łatwo przegłosować decyzje wbrew ich interesom. Przed rozszerzeniem trzeba będzie zmienić wiele w procesie podejmowania decyzji i liczenia głosów w najważniejszych instytucjach.

Jak pogodzić te dwa różne zegary?

Emmanuel Macron zaproponował powstanie Europejskiej Wspólnoty →

→ Politycznej. To może być rodzaj pomostu. Pierwsze spotkanie EWP dało nam silny i wyrazisty obrazek: widzieliśmy wszystkich europejskich przywódców razem, łącznie z Turcją i Wielką Brytanią. To może być wstęp do nowej architektury bezpieczeństwa europejskiego bez Rosji oraz platforma do dyskusji o bezpieczeństwie w wielu wymiarach – miękkich, energetycznych, twardych. Może to być też płaszczyzna do przekazywania wsparcia państwom spoza Unii.

Dziś mamy wrażenie, że Zachód jest zjednoczony. Ale widzimy też wiele napięć: między Unią a USA w sprawie subwencji gospodarczych, a także wewnątrz Unii – czy to w sprawie praworządności, czy skali i charakteru wsparcia dla Ukrainy. Nie obawia się Pan, że ta jedność jest tylko efektem chwili?

Ta jedność jest realna. Rosyjska inwazja była szokiem systemowym. Teraz już nikt nie musi przypominać ludziom, dlaczego NATO jest ważne. Co ciekawe, wielu przewidywało, że Putin będzie w stanie rozbić Zachód, ale mu się to nie udało. Im dłużej trwa ta wojna, tym bardziej zjednoczone są Europa i Zachód.

Jednak faktycznie stoimy przed wyzwaniami, dwojakimi. Pierwszym są możliwe podziały na Zachodzie na tle amerykańskiej polityki wewnętrznej. Jeśli prezydentem znów zostanie Donald Trump lub ktoś z jego naśladowców, stworzy to ogromną presję, szczególnie w kwestii zachodniego wsparcia dla wysiłków wojennych. Drugi rodzaj wyzwań dotyczy specyficznego trendu: Zachód jest coraz bardziej zjednoczony, ale jednocześnie traci wpływy w innych częściach świata. Widać wzrost oddziaływania Chin, a zwłaszcza asertywności i pewności siebie wśród średnich mocarstw, jak Indie, Turcja, Arabia Saudyjska, Iran czy Brazylia. To sprawia, że nawet bardziej zjednoczony Zachód będzie miał w przyszłości mniejsze możliwości kształtowania procesów globalnych.

Czy po rosyjskiej inwazji te średnie mocarstwa uzyskały więcej możliwości do walki o wpływy na arenie światowej? Które z nich ma tu największy potencjał?

Wszystkie one dążą do zwiększenia swych aktywów i znaczenia w świecie.

Państwa te postrzegają się w zupełnie inny sposób, niż są postrzegane w zachodnich stolicach. Na Zachodzie często mówi się o Indiach, Turcji lub Brazylii jako o państwach wahadłowych (*swing states*). Wydaje nam się, że skoro mamy blok państw demokratycznych i szanujących porządek międzynarodowy oraz blok państw autorytarnych, które ten porządek chciałby zrewidować, to Indie lub Turcja są pomiędzy nimi. Sądzymy, że rywalizujemy o nie, a one ostatecznie będą musiały okazać lojalność dla jednego lub drugiego bloku.

Natomiast te państwa nie postrzegają świata w ten sposób. Nie widzą dwóch bloków, między którymi muszą wybierać. Widzą świat bardziej sfragmentaryzowany i wielobiegunowy, w którym Zachód może i jest bardziej zjednoczony, ale nie ma już tej władzy i siły, którą miał w okresie postkomunistycznym czy w czasie zimnej wojny. Państwa te dbają przede wszystkim o własne interesy. Mają zdolność do utrzymywania dobrych relacji zarówno z Rosją, jak i USA, zarówno z Chinami, jak też z Europą. Nie będą zawierać sojuszy z nikim, za to będą starały się utrzymać przyjazne relacje z każdym. Handlować z Unią, ale nie przyłączać się do sankcji na Rosję. Mogą poprzeć rezolucję przeciw agresji terytorialnej, ale niekoniecznie będą włączać się do działań na rzecz wyrzucenia Rosji poza system międzynarodowy. Będą kupować rosyjską ropę i gaz czy też broń. I to nawet jeśli są w NATO, co pokazuje przykład Turcji. W obecnym świecie współzależności państwa te mają więcej opcji niż miały w świecie klasycznej geopolityki, w którym chodziło przede wszystkim o wielkość armii oraz o posiadanie broni nuklearnej.

W Polsce często mówi się, że obecne zmiany w systemie międzynarodowym sprzyjają wzrostowi naszej pozycji. Czasami wiąże się to z poczuciem gorzkiej satysfakcji, że Zachód w końcu zaczął mówić naszym językiem w kwestiach bezpieczeństwa. Czasem widać też swoiste poczucie wyższości: to my mieliśmy rację w sprawie Rosji i Nord Streamu, a nie Niemcy. Jak Pana zdaniem zmiany w świecie wpłyną na pozycję Polski?

Polacy mają wiele racji i opisane tu odczucia są zasadne. Rosyjska inwazja

jest postrzegana jako wyzwanie dla bezpieczeństwa całej Europy, a nie tylko Ukrainy, co jest korzystną zmianą dla Warszawy. Położenie geograficzne naszego kraju, jego przywództwo w kwestii wspierania Ukrainy, a także otwarcie swoich drzwi i serc dla obywateli tego kraju – to wszystko daje Polsce nową pozycję w Europie i możliwość zabierania głosu w fundamentalnych sprawach.

Najważniejsze pytanie brzmi jednak, jak ta nowa pozycja zostanie wykorzystana? Jeśli Warszawa będzie zdolna zbudować swoje relacje z Niemcami – wykorzystując to ogromne przesunięcie, które zachodzi w tamtejszej polityce – do stworzenia sojuszu dotyczącego bezpieczeństwa europejskiego, to Polska zyska zupełnie nową pozycję w Europie. Porównywalną do tej, którą Francja miała po II wojnie światowej. Ale jeśli Polska wykorzysta ten moment tylko dla odegrania się na takich państwach jak Niemcy i Francja, przez pokazanie, że one były po złej stronie historii, to długoterminowe skutki będą bardzo negatywne. Osłabnie Europa jako całość i w efekcie osłabnie też Polska.

Atutem Polski jest obecnie geograficzne położenie, ale to niemieckie i francuskie pieniądze były przeznaczone na europejski plan odbudowy, i to one będą wykorzystane w przyszłości na odbudowę Ukrainy. Wzmacnianie pęknięć w sercu Europy będzie też obniżać atrakcyjność Warszawy w oczach Waszyngtonu. Długofalowy cel USA polega na tym, by Europa wzięła większą odpowiedzialność za swoje bezpieczeństwo, gdyż ich największym zmartwieniem są Chiny. Polska stoi więc przed naprawdę strategicznym pytaniem: jak wykorzystać ten nowo znaleziony moralny głos? To może być kluczowy moment, który uczyni Polskę jednym z najważniejszych państw w przyszłej Europie na długi czas. Ale może być też straconą szansą.

© Rozmawiał PIOTR OLEKSY

MARK LEONARD (ur. 1974) jest dyrektorem Europejskiej Rady Stosunków Międzynarodowych – utworzonego w 2007 r. ogólnoeuropejskiego think tanku, którego celem jest praca na rzecz spójnej europejskiej polityki zagranicznej. W 2022 r. ukazała się jego książka „Wiek nie-pokoju. Współzależność jako źródło konfliktu” (Wyd. Krytyki Politycznej).



JEDNOCZY NAS TEN SAM CEL

THOMAS BAGGER:

**„Zeitenwende”, ten epokowy zwrot w polityce Niemiec,
jest szansą również dla polsko-niemieckiej współpracy.**

Od momentu brutalnej napaści Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 r.

Europa znajduje się w stanie wyjątkowym. Rok od napaści naród ukraiński wciąż broni swojego kraju i swojej wolności z odwagą, która wzbudza podziw na całym świecie.

DLA NIEMIEC TA WOJNA

jest w szczególności sposób sygnałem ostrzegawczym, epokowym zwrotem. Niemcy, które po szczęśliwym wydarzeniu, jakim było w 1990 r. ich zjednoczenie, a tym bardziej od momentu przystąpienia Polski do Unii Europejskiej w 2004 r., otoczone były wyłącznie przez przyjaciół, teraz muszą od początku nauczyć się, czym jest zagrożenie egzystencjalne. Muszą odnaleźć się w nowej rzeczywistości, w której bezpieczeństwo w Europie musi być w przewidywalnym czasie organizowane przeciw Rosji, a nie z Rosją. Dla Polski wydaje się to czymś oczywistym. Nadzieje Niemiec okazały się zbyt optymistyczne. Polityka Niemiec przechodzi od tej pory głęboką przemianę w nastawieniu wobec Rosji, w zakresie zaopatrzenia w energię, odbudowy Bundeswehry, a także polityki wobec Ukrainy.

„Zeitenwende” sięga jednak zdecydowanie jeszcze głębiej. Zmienia spojrzenie Niemców na świat tak radykalnie, jak nigdy od momentu upadku muru berlińskiego w 1989 r. Nie następuje to z dnia na dzień. Składają się na to intensywne i bolesne dyskusje, dotyczące także własnych błędnych ocen i błędnych decyzji w ubiegłych dekadach. Będąc ambasadorem Niemiec w Polsce, rozumiem, że Polska – uwarunkowana innymi, własnymi doświadczeniami historycznymi oraz bliskim położeniem geograficznym – patrzy na nas z niecierpliwością. W związku z tym powstaje nieraz wypaczony obraz Niemiec. Przy tym jedno wydaje mi się bardzo jasne: imperialna wojna Rosji spowodowała, że strategiczna perspektywa Niemiec w decydujących kwestiach zbliża się do stanowiska Polski. W tym leży wielka szansa ściślejszej współpracy w przyszłości między Polską i Niemcami.

REALNE PODSTAWY TEGO

ZBLIŻENIA stają się z dnia na dzień coraz bardziej widoczne: w Polsce uzależnienie Niemiec od rosyjskich dostaw energii od dawna uważano za błąd. Dziś Niemcy nie importują już rosyjskiego gazu,

węgla i ropy. Wbrew długo kulturowanej przez siebie kulturze powściągliwości militarnej Niemcy dostarczają dzisiaj do strefy działań wojennych w Ukrainie najnowocześniejsze systemy obrony powietrznej, czołgi i artylerię. I Niemcy, i Polska udzielają Ukrainie największego spośród krajów Unii Europejskiej wsparcia. Jednoczy nas ten sam cel: umożliwić Ukrainie obronę jej wolności, niezależności i integralności terytorialnej przed rosyjskim agresorem. W ścisłym porozumieniu ze Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią pracujemy intensywnie nad tym, by udzielić Ukrainie możliwie jak najlepszej pomocy, unikając jednocześnie udziału NATO w wojnie.

W Unii Europejskiej mieszkają obecnie blisko 4 mln uchodźców z Ukrainy. Zarówno Polska, jak i Niemcy przyjęły około miliona Ukraińców. Ścisła polsko-niemiecka sieć powiązań, którą tworzą partnerstwa miast, firm i kontakty kulturalne, funkcjonuje przy tym jako bardzo skuteczna pomoc sąsiedzka.

W TYM KONFLIKCIE, który długo jeszcze kształtować będzie nasz kontynent, Polska jest dzisiaj tym, czym

przez dekady były zachodnie Niemcy w czasie zimnej wojny: państwem frontowym NATO. Bezpieczeństwo Polski jest zatem także bezpieczeństwem Niemiec. Niemieckie baterie Patriot, które od stycznia stacjonują w Zamościu, są mocnym sygnałem tej równie prostej, co ważnej prawdy: trzymamy się razem jako sojusznicy na wschodniej flance NATO, potrzebujemy siebie nawzajem dla naszego bezpieczeństwa. Nowe centralne znaczenie Polski jest konsekwencją rosyjskiej wojny. Głos Polski zyska w Europie na znaczeniu. Co robi Polska z tym „strategicznym momentem”? Czy wykorzysta szanse na bliższą strategiczną współpracę Polski i Niemiec? Zwłaszcza mając na uwadze europejską przyszłość Ukrainy, Warszawa i Berlin powinny być naturalnymi partnerami. ©

***Dr THOMAS BAGGER** jest od lipca 2022 r. ambasadorem Niemiec w Polsce. Jako dyplomata pracował wcześniej m.in. na placówkach w Pradze, Ankarze i Waszyngtonie, a w latach 2017-22 był doradcą prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera. Jest też oficerem rezerwy Bundeswehry.*

SIŁA JEST W NASZEJ NATURZE

TAMARA DUDA, pisarka:

Rosjanie są szczególnie agresywni wobec ukraińskich kobiet. Korzystają z każdej możliwości, żeby je upokorzyć, zgwałcić, zabić. Jak gdyby prowadzili specjalną operację ich zniszczenia.

ALEKSANDRA WOJTASZEK:

Rok temu rozpoczęła się pełnoskalowa inwazja Rosji na Ukrainę. Dla Pani wojna trwa jednak dużo dłużej.

TAMARA DUDA: Dla niektórych Ukraińców początek wojny wyznacza tłumienie protestów na Majdanie, dla innych aneksja Krymu przez Rosję albo wybuch konfliktu w Donbasie. Mnie się przez pewien czas wydawało, że to, co się dzieje w Donbasie, jest rodzajem ataku terrorystycznego, z którym nasza armia szybko sobie poradzi. Potem przyjaciel poprosił mnie, abym odwiedziła w kijowskim szpitalu jednego z rannych żołnierzy. Nie byłam przygotowana na to, co tam zobaczę: dziesiątki, setki rannych. Zrozumiałam wtedy, że to prawdziwa wojna, która może potrwać bardzo długo. W lecie pojechałam pomagać do szpitala, zaczęłam też zbierać fundusze, w Ukrainie i za granicą, tak jak robi to teraz bardzo wielu ludzi.

Akcja Pani książki „Córeczka”, wydanej także w Polsce, dzieje się w Donbasie. Wykorzystała Pani własne doświadczenia?

Dużo rozmawiałam z mieszkańcami Donbasu. Próbowałam zrozumieć, kim są, czy rzeczywiście popierają Rosję. Stało się dla mnie jasne, że rosyjska propaganda próbuje ukształtować rzeczywistość na nowo: stworzyć mit separatyzmu i regionów, które pragną połączyć się z Rosją. Kreowano tę wojnę na lokalny konflikt pomiędzy Ukraińcami. Po urodzeniu syna musiałam zaprzestać działalności w tere-

nie, ale dużo czytałam – trafiłam na książki pisane przez rosyjskich pisarzy opowiadające o wojnie w Donbasie, wykorzystujące rozmaite narzędzia propagandowe.

To była literatura piękna czy non-fiction?

Fikcja, i to w dodatku popularna, zazwyczaj proza gatunkowa – kryminały, fantasy, romanse. W Rosji publikuje się mnóstwo książek o wojnie w Ukrainie, które są osadzone na przykład w gatunku historii alternatywnej. Popularny zabieg fabularny to przeniesienie żołnierza Armii Czerwonej do współczesnego Donbasu, gdzie walczy oczywiście po stronie Rosji. Te publikacje finansuje państwo. Tymczasem u nas nikt nie zajmował się tego typu „produkcją kulturalną”, odpuszciliśmy *soft power*.

Było dla mnie jasne, że jeśli nie pokażemy własnych opinii, przegramy tę wojnę. Rzeczywistość ma znaczenie tak długo, jak ludzie wyraźnie ją pamiętają. Mamy tendencję do zapominania, zastępowania faktycznych wspomnień fikcyjnymi czy odrzucania tego, co bolesne. Za 15 lat nasze dzieci będą wierzyć, że rzeczy wydarzyły się tak, jak zostało to zapisane w książkach. Chciałam też oddać sprawiedliwość ludziom mieszkającym na wschodzie Ukrainy, którzy tyle wycierpieli na skutek inwazji, tymczasem przez długi czas przypinano im łatkę separatystów. Ich życie w ciągu kilku tygodni wywróciło się do góry nogami. W dodatku nikt formalnie nie wypowiedział nikomu wojny,

brakowało informacji – musieli sami zdecydować, co robić.

Pamiętam tę scenę z Pani książki – jest początek inwazji, bohaterowie zbierają się, aby ustalić, co robić, i pada pytanie: kto jest po czyjej stronie. Dzisiaj nie ma już tej konfuzji, która towarzyszyła tamtym wydarzeniom.

W 2022 r. świat zmienił swoje myślenie o Rosji, Ukrainie i wojnie. Jednak my jesteśmy wciąż tacy sami. Mówiliśmy od lat, że Rosja jest zagrożeniem nie tylko dla Ukrainy, ale i całej Europy. Nie boimy się Rosjan, ale też nie mamy żadnych złudzeń na temat tzw. rosyjskiej duszy. Gdyby Europa nie wspierała Putina przez ostatnie 20 lat, być może dziś nie musielibyśmy ze smutkiem mówić o morzu przelanej krwi.

Nie da się już zapobiec traumie, którą wojna wywołała w społeczeństwie?

Po II wojnie światowej mieliśmy co najmniej dwa pokolenia, które próbowały sobie poradzić z traumą. Rosjanie muszą unieść ciężar winy i odpowiedzialności, a my przeżyć żałobę po tych, którzy zginęli. Każda rodzina w Ukrainie kogoś straciła i to z nami na zawsze zostanie. Mój syn ma sześć lat, w kwietniu zginął jego ojciec chrzestny – fantastyczny człowiek, który miał być dla niego wzorem, kiedy będzie dorastał. Nikt już nie wypełni tej wyrwy.

Jak z Pani perspektywy zmienił się Ukraińcy w ciągu tego roku?

W Ukrainie czuć potrzebę samoświadomości. Ludzie chcą postąpić się językiem ukraińskim, znać swoją historię i literaturę. Usuwamy też znaki

rosyjskiej okupacji. Przeprowadziliśmy narodowe „czyszczenie” ulic, bo wiele z nich nosiło imiona sowieckich i rosyjskich bohaterów. Pozbywamy się tego dziedzictwa, również rosyjskiej literatury. W tym momencie nawet ona wydaje się zagrożeniem dla Ukrainy. Mamy potrzebę, aby zarezerwować swoje półki dla ukraińskich i europejskich twórców. Zresztą za czasów sowieckich ukraińscy intelektualści byli na różne sposoby izolowani z życia społecznego. Mój ojciec urodził się w małej wsi. Miał jednak wybitnego nauczyciela matematyki, który niegdyś współpracował z wieloma ważnymi uniwersytetami, ale został skazany na banicję i odesłany na głęboką prowincję.

Jest Pani dziennikarką. Dlaczego zdecydowała się Pani opowiadać o wojnie poprzez fikcję?

Uważam, że ma ona większą siłę oddziaływania. Potrzebujemy narracji, w których możemy się zanurzyć w pełni, zapomnieć o całym świecie, przegapić swój przystanek. Takich, z którymi obcujemy z prawdziwą przyjemnością. Historia mojej bohaterki to również opowieść o dojrzewaniu i budowaniu siebie. Donieck nie jest jej rodzinnym miastem, jest tu obca, dlatego początkowo ludzie za nią nie przepadają. Stopniowo jednak zaczynają dostrzegać jej siłę, inteligencję, poczucie humoru. Myślę, że właśnie tak musimy się uczyć przystosowania się do nowej rzeczywistości. Nie chodzi tylko o wojnę, ale też o wykorzystywanie rozmaitych szans, jakie daje nam życie, pokonywanie przeciwności. Dla kobiet jest to o wiele trudniejsze.

Co robić, aby nie musiały się zmagać z przeszkodami?

Trzeba stworzyć nowe relacje społeczne. Jeśli nie dla siebie, to dla naszych córek. Ja mam dwie i chciałabym, żeby żyły w świecie, w którym nie będą oceniane przez pryzmat wyglądu, nikt nie będzie im narzucał określonych ról, będą miały szeroki wybór różnych możliwości. W Ukrainie przez ostatnią dekadę prowadziliśmy burzliwą dyskusję na te-

decyzje. Problemy związane z płcią czy równouprawnieniem stały się chwilowo nieistotne. Wszyscy powinniśmy zawiesić na kotku nasze potrzeby, być silne i efektywne, nigdy nie płakać. Ale ludzie to nie roboty. W pewnym sensie zamroziłyśmy swoje emocje – obawiam się, że ten nawyk doprowadzi do wybuchu epidemii depresji albo otępienia, jak w pokoleniu kobiet, które przeżyło II wojnę świa-

W języku ukraińskim jest słowo *żinoctwo*, które oznacza ogół kobiet – wszystkie jesteśmy ze sobą powiązane. Możemy się nie zgadzać, ale musimy sobie pomagać, wspierać się. Ta książka jest właśnie o tym – to historie kobiet wspierających i ocalających inne kobiety. Takich, które nie czekają, aż zrobi to mężczyzna. To nie oznacza, że nasi mężczyźni są słabi, ale siła jest też w naszej naturze.

Ukraina może przyczynić się do wzrostu bezpieczeństwa, stabilności i dobrobytu w Europie. Mamy duży potencjał, jesteśmy chętni do pracy, nauki i próbowania nowych rzeczy. Można powiedzieć, że każdy Ukraińiec ma w sobie ducha przedsiębiorczości. Jednak Ukraina bardzo ucierpiała z powodu sowieckiej i rosyjskiej okupacji. Potrzebujemy szerokiego wsparcia instytucjonalnego na drodze do Unii. Obawiam się biurokracji niektórych europejskich podmiotów i instytucji. Czasami mam wrażenie, że liczy się sama droga, a nie ostateczny cel. Istnieje niebezpieczeństwo, że jeśli czas oczekiwania będzie zbyt długi, nie będzie kogo przyjąć. Wiem, że członkostwo w Unii Europejskiej to ambitny cel. Ale jeszcze bardziej ambitnym celem jest nasze przetrwanie. Ukraina działa obecnie na granicy swoich zasobów i możliwości. Bronimy nie tylko siebie, ale i Europy. Życzyłabym sobie, aby Europa pokazała porównywalny poziom przywiązania do Ukrainy, jak Ukraina do Europy.

© Rozmawiała

ALEKSANDRA WOJTASZEK



mat sytuacji kobiet. Wskazywano na wiele problemów: przemoc domową, brak równouprawnienia w rodzinach i pracy. Przez długi czas uważało się za coś oczywistego, że kobieta wykonuje niemal wszystkie obowiązki domowe. Ale młode pokolenie się zbuntowało, dziewczyny już nie chcą być dodatkiem do mężczyzny, stać w jego cieniu. Ten model się wyczerpał.

Wojna jest jednak sytuacją, w której płęć odgrywa ogromną rolę.

Okolo miliona mężczyzn jest obecnie na froncie, zostali wyrwani ze swoich domów i rodzin. Kobiety są odpowiedzialne za bezpieczeństwo swoich dzieci, muszą samodzielnie podejmować trudne

decyzje. Problemy związane z płcią czy równouprawnieniem stały się chwilowo nieistotne. Wszyscy powinniśmy zawiesić na kotku nasze potrzeby, być silne i efektywne, nigdy nie płakać. Ale ludzie to nie roboty. W pewnym sensie zamroziłyśmy swoje emocje – obawiam się, że ten nawyk doprowadzi do wybuchu epidemii depresji albo otępienia, jak w pokoleniu kobiet, które przeżyło II wojnę świa-

Dlaczego to ważne, aby pisać o wojnie z kobiecej perspektywy?

Zależało mi, aby moja książka oferowała innym kobietom coś w rodzaju pocieszenia, dawała wsparcie, pozwalała na identyfikację z bohaterką. Wydaje mi się, że „Córeczka” spełniła tę funkcję. W 2022 r. wiele kobiet pisało mi, że traktują ją trochę jak podręcznik, który pomaga im się oswoić z tym, co się dzieje. Uczą się, jak reagować, nawet w bardzo konkretnych sprawach: zatankować auto czy wyjąć pieniądze, zanim bankomaty przestaną działać.

Pisze Pani, że mężczyźni wywołują wojny, ale to kobiety podczas nich cierpią.

Rosjanie są szczególnie agresywni wobec ukraińskich kobiet. Korzystają z każdej możliwości, żeby je upokorzyć, zgwałcić, zabić, jak gdyby prowadzili specjalną operację ich zniszczenia. Wydaje mi się, że jest to związane także z silnym patriachatem panującym w Rosji – kobieta nie posiada integralności, jest tylko narzędziem w walce. Dlatego kobiety tym bardziej muszą być silne i przygotowane na to, co może nastąpić. Nie mogą sobie pozwolić na słabość.

Jak widzi Pani rolę Ukrainy w Europie? Co instytucje międzynarodowe mogą teraz zaproponować Ukrainie?

TAMARA DUDA (ur. 1976) jest pisarką, dziennikarką i tłumaczką, podczas wojny w Donbasie pracowała jako wolontariuszka. Powieść „Córeczka” wydała w 2019 r.; jej polski przekład ukazał się w ubiegłym roku nakładem wydawnictwa Kolegium Europy Wschodniej (w tłumaczeniu Marcina Gaczkowskiego).



SENAT RP SOLIDARNY Z UKRAINĄ



UCHWAŁA SENATU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

z dnia 26 października 2022 r.

o uznaniu władz Federacji Rosyjskiej za reżim terrorystyczny

24 lutego 2022 roku siły zbrojne Federacji Rosyjskiej rozpętały bestialską wojnę z Ukrainą. Jej celem jest wymazanie z mapy suwerennego kraju oraz wyniszczenie narodu ukraińskiego.

Heroiczna obrona niepodległości przez obywateli Ukrainy wzbudziła podziw całego wolnego świata. Ukraina jest dziś najważniejszym miejscem, broniącym demokracji i wolności.

Rosyjscy najeźdźcy terroryzują mieszkańców ukraińskich miast, bombardując cywilne cele: przedszkola, szkoły, teatry i osiedla mieszkaniowe. Bandyci w rosyjskich mundurach torturują i mordują jeńców wojennych oraz cywilów na okupowanych terytoriach. Uprawdają ukraińskie dzieci, by wychować je na reżimowych janczarów. Wywożą, przesiedlają i zsyłają ukraińskich obywateli na dalekie peryferia Rosji.

Wszystkie te akty państwowego terroryzmu znamy dobrze z kart historii. Europejczycy wierzyli, że nigdy już nie zgrozi im ludobójstwo i zbrodnie wojenne. Tymczasem Władimir Putin i jego aparat przemocy wrócili do okrutnych praktyk reżimów stalinowskiego i hitlerowskiego. Dlatego Rosja musi zostać pokonana i pozbawiona możliwości zagrażania sąsiadom.

Senat Rzeczypospolitej Polskiej, po raz kolejny, z całą mocą potępia agresję rosyjską i wzywa wszystkie kraje opowiadające się za pokojem, demokracją i prawami człowieka do uznania władz Federacji Rosyjskiej za reżim terrorystyczny.

Senat Rzeczypospolitej Polskiej jednocześnie wyraża uznanie wszystkim instytucjom i organizacjom, które podjęły się badania i dokumentowania zbrodni popełnianych na społeczeństwie ukraińskim, i wzywa społeczność międzynarodową do udzielenia pełnego wsparcia Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu prowadzącemu dochodzenia wobec osób odpowiedzialnych za te zbrodnie.

Senat Rzeczypospolitej Polskiej dziękuje wszystkim Polkom i Polakom, administracji rządowej i samorządowej, organizacjom pozarządowym i przedsiębiorcom, za ogrom pomocy okazywanej od 24 lutego uciekającym spod rosyjskich bomb Ukraińcom, głównie kobietom i dzieciom.

Uchwała podlega ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym Rzeczypospolitej Polskiej „Monitor Polski”.

MARSZAŁEK SENATU
Tomasz Grodzki

Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie

KONCERT CHARYTATYWNY

Solidarni z UKRAINĄ 2023

26 LUTEGO 2023 R., GODZINA 20.00 | DUŻA SCENA

Tym razem pieniądze zbierane będą na premierę *Dziadów*, którą w Narodowym Akademickim Teatrze Dramatycznym im. Iwana Franki w Iwano-Frankiwsku wyreżyseruje Maja Kleczewska. Chcemy, by ten Teatr mógł grać, tworzyć, by nawet w czasie wojny ludzie nie tracili kontaktu ze sztuką.

Bilety w symbolicznej cenie 5 zł są do nabycia w kasie Teatru oraz na www.teatrwnkrakowie.pl. W trakcie wieczoru polsko-ukraińska fundacja Zustricz będzie prowadzić kwestę.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

www.teatrwnkrakowie.pl



*Prezydent Turcji Recep Erdoğan w mieście Kahramanmaraş w południowej Turcji, jednym z dotkniętych katastrofalnym trzęsieniem ziemi.
Turcja, 8 lutego 2023 r.*

WSTRZĄSY WTÓRNE

Czy trzęsienie ziemi okaże się „czarnym łabędziem” tureckiej polityki?
Wiosną kraj czekają wybory parlamentarne i prezydenckie.

KRZYSZTOF STRACHOTA



ADEM ALTAN / AFP / EAST NEWS

MIJAJĄ KOLEJNE DNI, A SKUTKI TRZĘSienia ziemi w południowej Turcji są wciąż niejasne. Liczeni są zabici (40 tysięcy? więcej?), szacowane zniszczenia domów i infrastruktury, liczba pozbawionych dachu nad głową (150 tysięcy? milion?), koszty dla gospodarki (84 miliardy dolarów?). Wiadomo, że trzęsienie było potężne: dotknęło 10 prowincji i ponad 13 mln ludzi (powierzchnia i populacja jednej trzeciej Polski). A jego skut-

ki mogą być tym większe, że doszło doń na progu kampanii: 14 maja planowane były wybory prezydenckie i parlamentarne. Co znaczy, że zatrzęsła się cała scena polityczna, a nawet cała Republika.

Niezmierna tragedia pozostaje tragedią, ale ta właśnie dziś jest jednocześnie tematem kampanii wyborczej. Więcej: staje się elementem rozrachunków z epoką ponad 20-letnich rządów Recepa Tayyipa Erdoğan'a oraz jego Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP).

Oczami rządu, oczami opozycji

Role są rozpisane. Rząd demonstruje rozmach i sukcesy akcji ratunkowych, z udziałem ponad 100 tys. pracowników służb ratunkowych i humanitarnych z Turcji, ale też z zagranicy. Setki tysięcy ludzi otrzymują żywność i dach nad głową – namioty i także miejsca w akademikach w całym kraju (uczelnie przechodzą na zdalne nauczanie do końca semestru). Rząd sprawnie wydziela doraźną pomoc (po 530 dolarów na głowę) i przeznacza 5,3 mld dolarów na odbudowę dróg i lotnisk, a także na budowę nowych mieszkań (do końca roku powstaną setki tysięcy).

Prezydent jest z ofiarami i je wspiera. Jednocześnie arestuje się deweloperów (na początek ponad stu) podejrzanych o zaniedbania ostrych procedur budowlanych. Rząd wskazuje zarówno na działania prewencyjne (m.in. zaostrzone normy budowlane, powołanie nowoczesnych służb antykrzysowych), jak też na ludzkie ograniczenia wobec takiej skali katastrofy naturalnej.

Oczywiście skrajnie inaczej – i co najmniej równie prawdziwie – wygląda to z drugiej strony. Opozycja (i liczne ofiary) podnoszą, że pomoc przyszła za późno, jest zbyt mała, a przy tym omija miasta rządzone przez opozycję. Że władze nie panują nad sytuacją – ludzie umierają pod gruzami, uratowani padną ofiarą epidemii, mnożą się rabunki (z sugestią, że odpowiadają za to syryjscy uchodźcy; są ich 4 mln). Że agencje rządowe przechwytują transporty pomocowe organizowane przez opozycję. Że rząd blokuje informacje (na wiele godzin odłączono Twittera w ramach walki z dezinformacją; obowiązuje stan wyjątkowy).

Wreszcie, że zawiódł cały system: przez dwie dekady rządów AKP nie przygotowała państwa na oczekiwany kataklizm – roztrwoniono dochody ze specjalnego

podatku uchwalonego po poprzednim dużym trzęsieniu w 1999 r., zwlekano z wprowadzeniem ostrych przepisów budowlanych (w pełnej formie dopiero w 2018 r.), obejmowano kolejnymi amnestiami samowole budowlane (to plaga Turcji), wreszcie pozwalano dorabiać się firmom budowlanym, które stały się za plecami finansowym rządzącym Turcją układem.

Rozrachunek z epoką

Każdy kataklizm tej skali, jak i każde wybory zmuszają do bilansów i obiecują przełom. Te nadchodzące w Turcji szczególnie: będzie wybierany prezydent (jego pozycja konstytucyjna jest tu mocniejsza niż w USA) i parlament. Będzie to plebiscyt nad AKP-owską Turcją – i symboliczny plebiscyt dla przyszłości Republiki w stulecie jej istnienia.

Te 21 lat rządów AKP to epoka dalece niejednoznaczna. Turcja zerwała z tradycją państwa rządzonego albo co najmniej nadzorowanego przez armię; otworzyła się na Zachód (rozpoczęto negocjacje członkowskie z UE). Gospodarka wzrosła trzykrotnie, a wzrostem po raz pierwszy mogła się cieszyć prowincja turecka (w tym szczególnie obszary dotknięte dziś trzęsieniem ziemi). Turcja stała się aktywnym podmiotem polityki międzynarodowej, m.in. prowadząc aktywność polityczną, gospodarczą i militarną na trzech kontynentach, gotowa konfrontować się z USA, Unią czy Rosją.

21 lat rządów AKP to także karuzela projektów tożsamościowych: rugowanie kemalizmu (republikańskiej i świeckiej idei państwowej Mustafy Kemala Atatürka, który sto lat temu stworzył Republikę), promocja islamu, dziedzictwa osmańskiego, (euro)azjatyizmu i resentymentów antyzachodnich. A wszystko po to, by odtworzyć mocarstwową ideę państwa.

To także – od około roku 2013 – kurs na autokrację z krwawym tłumieniem protestów obywatelskich, z zakrojonymi na potęgę skalę represjami po nieudanym puczu w 2016 r., z kontrolą sądów i mediów, z więźniami politycznymi (wśród nich lider reprezentowanej w parlamencie prokurdyjskiej partii HDP, skądinąd zagrożonej dziś delegalizacją). To także zarzuty arogancji i drenażu majątku państwowego oraz awanturnictwa w kosztownej polityce międzynarodowej →

→ (w tym zarzut megalomanii na Bliskim Wschodzie i samobójczej konfrontacji z Zachodem). W ostatnich latach to narastający kryzys finansowy i społeczno-gospodarczy z inflacją wynoszącą w styczniu 58 proc. (w październiku ub.r. było to 85 proc.).

Przedwyborczy poker

U progu roku 2023 sytuacja obozu rządzącego była zła, choć nie beznadziejna. Sondaże dawały AKP od 29 do 40 proc. poparcia (ze średnią ok. 33 proc.), a sojuszniczej („przystawkowej”) Partii Ruchu Narodowego MHP wynik na granicy progu wyborczego (tj. do 7 proc.). Bardziej dramatyczna była sytuacja w rankingach prezydenckich: będąc najbardziej popularnym kandydatem, w drugiej turze Erdoğan przegrywałby z każdym wspólnym kandydatem opozycji (niezależne sondaże dały mu 30-40 proc. poparcia).

Na tym tle doskonale wypadła opozycja. Jej główna siła, kemalistowska Republikańska Partia Ludowa (CHP), dobiła do 30 proc. poparcia, sporadycznie dystansując AKP. Kolejna – nacjonalistyczna Dobra Partia (İYİ; to rozłamowcy z MHP) – mogła liczyć na 12-19 proc. głosów. Oba ugrupowania wraz z kolejnymi czterema (wśród nich partie byłych liderów AKP) stworzyły porozumienie (tzw. Stół Sześciu), co dawało im kolejnych kilka procent. Poza Stołem Sześciu jest jeszcze kurdyska i lewicowa Demokratyczna Partia Ludów HDP (do 10 proc. poparcia).

Jeszcze lepiej wyglądała perspektywa zjednoczenia wszystkich głosów opozycyjnych w wyborach prezydenckich: każdy z potencjalnych kandydatów – tj. lider CHP Kemal Kılıçdaroğlu, mer Ankary Mansur Yavaş z CHP, a zwłaszcza mer Stambułu Ekrem İmamoğlu (także z CHP) – wygrywałby z Erdoğanem. Przy czym wymienieni merowie udowodnili siłę, pokonując rządowych kandydatów w wyborach lokalnych w 2019 r.

Zanim zastrzęsła się ziemia

Wynik nie był jednak przesądzony. Wcześniej w każdych wyborach AKP wygrywała, prowadząc do końca intensywną kampanię i korzystając z atutów rządzenia i dominacji w mediach. Teraz, w ostatnich tygodniach przed trzęsieniem, spadła inflacja i ruszyły programy socjalne – jak można sądzić dzięki m.in. tajemniczemu przelewom z państw Zatoki

Katakлизм kładzie się cieniem nad rządami AKP:

zwały się miasta uosabiające modernizację i spełnienie nadziei o awansie prowincji.

Perskiej i dzięki Rosji (tj. preferencjom na rosyjski gaz i skokowemu wzrostowi wymiany handlowej z Rosją).

Silną kartą Erdoğan'a zawsze była efektywna polityka zagraniczna: pryncypialne podejście do bezpieczeństwa Turcji (np. walka z terroryzmem PKK, zarówno w Syrii, jak i w Szwecji przy okazji jej wchodzenia do NATO), podmiotowości (twarde targi z USA, presja na Grecję) oraz pragmatyzm (bardzo zyskowne relacje z izolowaną i osłabioną Rosją; perspektywa porozumienia z Syrią – i odesłania tam uchodźców).

Tymczasem nominalnie silna opozycja targana była konfliktami personalnymi i programowymi, bez wspólnej listy (to pewna utrata głosów mniejszych partii) i bez wspólnego kandydata na prezydenta. W grudniu ub.r. İmamoğlu otrzymał wyrok, który – uprawomocniony – wyeliminowałby go z wyścigu do pałacu prezydenckiego, co zaostriżyło napięcie. Ostatecznym ciosem była zapowiedź Erdoğan'a o przyspieszeniu wyborów na 14 maja – w miejsce 18 czerwca, co jeszcze bardziej dezorganizowało opozycję.

Trzęsienie ziemi – „czarny łabędź” spoza wszelkich kalkulacji – zmieniło wszystko.

Za wcześniej na prognozy

Z dzisiejszej perspektywy zwycięstwo wyborcze AKP zdaje się zakrawać na cud. Katakлизм kładzie się cieniem nad sprawnością państwa, nad całym sukcesem rządów AKP – zwały się wszak miasta uosabiające modernizację kraju i spełnienie nadziei o awansie cywilizacyjnym prowincji.

Nawet jeśli obszary dotknięte katastrofą (w większości wierne AKP) przyłgną do władzy, nawet jeśli skalkulują, że nowy rząd nie zatroszczy się o nie tak jak AKP, to reszta kraju ma powody do zwątpienia: prognozy mówią, że do 2030 r. może dojść do potężnego trzęsienia ziemi w Stambule (15 mln ludzi), i chciałoby się wyższego poczucia bezpieczeństwa niż obecnie.

Przypominane jest trzęsienie z 1999 r., które zdemolowało ówczesną scenę polityczną. Moment jest ciężki, co czuje Erdoğan, który dla odmiany dąży do opóźnienia wyborów na jesień albo najlepiej na przyszły rok. Żeby to jednak nastąpiło, musiałby mieć większość dwóch trzecich w parlamencie, której nie ma i mieć nie będzie.

Na twarde prognozy wyborcze jest jednak za wcześnie. Kampania będzie zapewne zdominowana przez katakлизм, co mocno gra przeciw władzom. Ale Erdoğanowi nie zabraknie determinacji (dla niego nie ma życia po prezydenturze), wciąż ma silne instrumenty (i pieniądze państwowe, i media, i zdolność narzucania agendy politycznej). Wreszcie – jak się uważa – ma możliwość nieczystej gry wyrokami sądowymi albo liczeniem wyborczych głosów (czego zresztą nikt ostatecznie nie udowodnił).

Opozycja jest jeszcze mocniej podzielona przez rozbudzone nadzieje, co AKP będzie rozgrywać. W każdym wariancie kampania będzie ostra, w każdym wariancie wyniki wyborów będą kwestionowane, co wobec polaryzacji społeczno-politycznej może znaleźć ujście w protestach ulicznych, a w konsekwencji w represjach wobec przegranych.

Dwie drogi

Otwarte pozostaje więc pytanie, czy wraz z trzęsieniem ziemi doszło do przesunięcia płyt tektonicznych w polityce tureckiej. Zwycięstwo opozycji byłoby zakończeniem eksperymentu z Nową Turcją AKP i godnym świętowaniem stulecia Republiki. Proces demontażu i przebudowy państwa AKP, społeczeństwa i gospodarki, zwrotu ku Zachodowi, a także odbudowy demokracji byłby jednak długotrwały, burzliwy i dyskusyjny. Turcji zrobiłoby się też mniej na świecie, ku uldze wielu.

Dalece nie spokojniejsze byłoby utrzymanie się obecnego układu rządzącego – pokusa ucieczki do przodu, nasilenia tego, co dziś istotne w polityce wewnętrznej (znowu: Nowa Turcja) i zagranicznej (marzenie o jeszcze większej podmiotowości, co oznacza napięcia z Zachodem).

Turecka polityka godna jest Hitchcocka: najpierw trzęsienie ziemi, a potem napięcie rośnie...

© KRZYSZTOF STRACHOTA

Francuski wyjątek

SZYMON ŁUCYK Z BEAUVAIS
(DEPARTAMENT OISE, FRANCJA)

Protestując przeciw reformie podwyższającej wiek emerytalny, Francuzi bronią swojego modelu państwa opiekuńczego. O jego demontaż oskarżają prezydenta Emmanuela Macrona.

LUTOWE POPOŁUDNIE, SŁUPEK RTĘCI ledwo powyżej zera. W Beauvais, 70 km na północ od Paryża, mimo dotkliwego chłodu w kolorowym pochodzie maszeruje kilka tysięcy osób – bardzo dużo jak na prowincjonalne miasto, liczące raptem ponad 50 tys. mieszkańców.

Sandrine ma 44 lata i jest opiekunką w szpitalu psychiatrycznym. Nie należy do żadnego związku, choć dziś ma na sobie pomarańczową kamizelkę syndykatu CFDT, prezent od kolegów z pracy. Demonstruje przeciw podniesieniu wieku emerytalnego do 64 lat wraz z nastoletnim synem, żeby – jak mówi – zobaczyć, że to walka także o jego przyszłość.

– Nie wyobrażam sobie, że w moim szpitalu mogłabym wytrzymać jeszcze 20 lat w tej pracy, już teraz wiele moich rówieśników cierpi na wypalenie zawodowe, a z przemocą psychiczną i fizyczną spotykamy się na co dzień – wyrzuca z siebie brunetka z kręconymi włosami i koleczkiem w nosie.

W jej głosie słychać zniecierpliwienie: – Maszerujemy pokojowo, jest nas dużo, ale szczerze mówiąc, jeśli nie zaczniemy czegoś rozwalać, to Macron nas zignoruje. Żółtych Kamizelek też nie słuchał, zanim nie zaczęły rozrabiać.

Związkowcy: zablokujemy kraj

Francuzi dobrze pamiętają początki rewolty Żółtych Kamizelek w listopadzie 2018 r. Nie zapomnieli też, że liberalny prezydent Emmanuel Macron i premier



Protest przeciwko planom podniesienia wieku emerytalnego. Paryż, 11 lutego 2023 r.

Edouard Philippe ustąpili wobec żądań manifestantów dopiero po tym, jak w Paryżu i całym kraju doszło do gwałtownych zamieszek i starć z policją (manifestanci zdewastowali m.in. Łuk Triumfalny, rozbijali witryny sklepów na Płachach Elizejskich, podpalali auta).

Od miesiąca w całej Francji odbywają się średnio raz w tygodniu masowe manifestacje i strajki przeciw podwyższeniu wieku emerytalnego z obecnego 62. do 64. roku życia. „Macronie, krótka sprawa / nie przejdzie ta ustawa!” – skandują manifestanci. W tłumach widać tu i ówdzie ludzi w żółtych kamizelkach. Groźne memento dla rządzących.

Mobilizacja nie słabnie: w pierwszym ogólnokrajowym proteście 19 stycznia wzięło udział ponad 1,1 mln ludzi (według MSW), a w czwartym z kolei – 11 lutego – blisko milion manifestantów (też wg policji).

Na ulicznych protestach się nie kończy. W całym kraju organizowane są strajki na kolei, w metrze, szkołach, szpitalach, rafineriach. Philippe Martinez, lider jednego z największych związków CGT, zapowiada, że jeśli rząd nie wycofa projektu reformy emerytalnej, to 7 marca protestujący „zablokują Francję”. Co to dokładnie oznacza, nie precyzuje. Można się spodziewać, że związkowcy nie poprzestaną na

→ standardowych nad Sekwaną strajkach w transporcie kolejowym czy lotniczym.

Przypomnijmy, że jesienią 2022 r. strajki związkowców CGT z koncernu TotalEnergies (wywołane żądaniem podwyżek) doprowadziły do braku paliw na stacjach benzynowych. Z kolei w styczniu najbardziej radykalni syndykaliści z branży energetycznej w proteście przeciw reformie emerytalnej wstrzymali na krótko dostawę prądu w kilku miejscowościach.

Teraz, gdy ustawa emerytalna trafiła do parlamentu, groźba paraliżu znów wisi nad krajem.

Macron: musimy pracować dłużej

W oczach obcokrajowców, zwłaszcza Anglosasów, Francuzi uchodzą za wiecznych kontestatorów. To wizerunek bliski prawdy, przynajmniej z perspektywy stolicy. Ulicami Paryża niemal dzień w dzień ciągną pochody: piekarzy protestujących przeciw podwyżkom cen energii, lekarzy niezadowolonych z nowych przepisów czy nawet policjantów.

Ale od 30 lat to właśnie emerytury mobilizują największe protesty. Tak było w 1995 r., gdy premier Alain Juppé próbował znieść przywileje emerytalne pracowników budżetówki, w tym kolejarzy i pracowników paryskiego metra. Strajki zablokowały wtedy reformę. Jednak w 2010 r. prezydent Nicolas Sarkozy, na przekór protestom, przeforsował podwyższenie wieku emerytalnego z 60. do 62. roku życia.

Obecna reforma Macrona idzie w tym samym kierunku: przewiduje podniesienie progu o kolejne dwa lata. Ma się to dokonać stopniowo, do 2030 r. Rząd zamierza też wydłużyć z 42 do 43 lat okres płacenia składek emerytalnych, wymagany do uzyskania pełnej emerytury (miałoby to wejść w życie od 2027 r.) i zlikwidować przywileje emerytalne pewnych grup zawodowych (pracowników energetyki, sektora gazowego i paryskiej komunikacji miejskiej).

Tę trudną do przełknięcia dla Francuzów zmianę próbowano łagodzić obietnicami, m.in. rewaloryzacji niskich emerytur do 1200 euro brutto (ale tylko dla tych, którzy płacili składki przez całe zawodowe życie).

Macron, który w ostatnim orędziu noworocznym powtarzał co chwila słowo „praca”, powierzył przeforsowanie reformy pani premier Elisabeth Borne,

Związki nie ustąpią, jeśli rząd nie wycofa się z podwyższenia wieku emerytalnego.

Premier nie chce o tym słyszeć. Trwa pat.

byłej socjalistce. Podkreśla ona – powołując się na raport niezależnych ekspertów – że jeśli nie nastąpi żadna zmiana, w najbliższych latach system emerytalny wpadnie w deficyt. Natomiast dzięki reformie uda się załatać dziury kas emerytalnych, do końca tej dekady szacowane na kwotę 13,5 mld euro.

Władze wysuwają ponadto dwa inne argumenty. Pierwszy: niski wzrost demograficzny i starzenie się społeczeństwa. Inaczej mówiąc: osób aktywnych zawodowo jest zbyt mało, by mogły ze swoich składek gwarantować świadczenia emerytalne. Wniosek: skoro nie chcemy podwyższyć składek ani obniżyć emerytur, musimy pracować dłużej.

Drugi argument to porównanie z sąsiadami: Francuzi wyróżniają się na tle innych krajów Europy, gdzie wiek emerytalny jest wyższy, np. w Niemczech czy Włoszech 67 lat, w Hiszpanii 66 lat (a do 2027 r. wzrośnie stopniowo do 67 lat). Pora wziąć przykład z sąsiadów – twierdzi rząd i wspierający go ekonomiści o liberalnych poglądach.

Piketty: to niesprawiedliwość

Takie argumenty nie przekonały większości. Aż 70 proc. Francuzów (sondaż ośrodka BVA dla radia RTL z połowy lutego) odrzuca tę reformę jako niesprawiedliwą, a dwie trzecie wspiera protesty. Co więcej, wszystkie liczące się związki zawodowe – w tym dwa największe, na ogół konkurujące ze sobą: CFTD i CGT – tym razem stanęły murem przeciw ustawie.

Podwyższeniu wieku emerytalnego sprzeciwiają się też niektórzy ekonomiści, w tym autorytet lewicy Thomas Piketty, autor bestselleru „Kapitał w XXI wieku”. Na łamach dziennika „Le Monde” określił on reformę w wersji Macrona jako „głęboko niesprawiedliwą” i „oderwaną od rzeczywistości”. Piketty sprzeciwił się też, by Francja szła tu śladem innych krajów – jego zdaniem europejskie systemy emerytalne nie kierują się zasadą równości.

Prof. François Dubet, socjolog i badacz ruchów społecznych, mówi „Tygodnikowi”, że Francuzi odczuwają reformę jako niesprawiedliwą z dwóch powodów. – Podniesienie progu emerytalnego dla wszystkich uderza najmocniej w najcięższe kategorie zawodowe, np. robotników czy pracowników budowlanych, którzy z powodu trudnych warunków pracy żyją statystycznie krócej niż osoby innych zawodów. Po drugie, reforma pogorszy sytuację osób w wieku przedemerytalnym, mających dziś 55-62 lata, które już teraz mają wielki problem z utrzymaniem się na rynku pracy – mówi Dubet.

I dodaje: – Francja odstaje od innych krajów za sprawą niskiego odsetka zatrudnionych seniorów. Pracodawcy chcą się ich często pozbyć, gdyż seniorzy mają wyższe płace, a ich kompetencje nie zawsze nadążają za rynkową rzeczywistością.

Francuski model

Jak zauważa tygodnik „L’Obs”, reforma Macrona jest też niekorzystna dla kobiet. Mimo że nad Sekwaną ten sam próg emerytalny obowiązuje kobiety i mężczyzn, statystyczna Francuzka przechodzi na emeryturę o 7 miesięcy później niż Francuz (z powodu macierzyństwa i przerw w karierze zawodowej), a średnia wysokość jej świadczenia wynosi 1150 euro, podczas gdy mężczyzny ponad 1900 euro. Podniesienie wieku emerytalnego – twierdzi gazeta – pogłębi te różnice.

Część obserwatorów widzi w tych protestach obronę modelu państwa socjalnego *à la française*, wyjątkowego na tle Europy. Modelu, na który składają się takie elementy jak wciąż obowiązujący 35-godzinny tydzień pracy, hojna pomoc socjalna, rozbudowana polityka prorodzinna i – *last but not least* – niższy wiek emerytalny. W przekonaniu licznych Francuzów polityka Macrona zmierza do redukcji usług publicznych oraz likwidacji francuskiego państwa opiekuńczego.

François Dubet: – Obecne protesty są sumą niezadowolenia, jakie skrytykowały się w sprawie emerytur. Wynikają w równej mierze z obawy przed odsunięciem w czasie emerytury, co z ogólnego pogarszania się warunków pracy. Do tej pory panowała powszechna zgoda: jeśli pracuję w ciężkich warunkach, to mogę przejść na emeryturę wcześniej od innych. Reforma podważa tę społeczną umowę.

Co z wolontariatem?

Ubocznym skutkiem podniesienia wieku emerytalnego może być osłabienie wolontariatu, którego filarem są tu przede wszystkim emeryci.

Joëlle, była pracowniczka organizacji pozarządowych i wolontariuszka kilku stowarzyszeń w Beauvais i okolicy, jest przykładem tego zjawiska. Razem ze swoimi koleżankami-emerytkami udziela lekcji francuskiego cudzoziemcom, zajmuje się pomocą dla imigrantów w lokalnym kolektywie, współtworzy lokalny oddział sieci Repair Café (w jej skład wchodzi miejsca, gdzie wolontariusze reperują zużyty sprzęt, aby sprzeciwić się jego wyrzucaniu na śmietnik). A w czasie wolnym od licznych zajęć – chodzi na manifestacje przeciw reformie emerytalnej.

– Jeśli ta reforma wejdzie w życie, będzie to wielka strata dla stowarzyszeń, które opierają się na seniorach. Nie można do tego dopuścić! – unosi się Joëlle, w okragłych czerwonych okularach i wełnianej czapeczce w kolorach tęczy.

Na moją uwagę, że Francuzi pracują wciąż mniej niż ich sąsiedzi, ripostuje: – Wiem, że jesteśmy pod tym względem nieco uprzywilejowani. Ale uważam, że wszyscy powinniśmy się bić, by nie odbierano nam naszych praw! Ja sobie poradzę, ale co z tymi, którzy harowali przez lata jako dekarze, murarze, kobiety sprzątające? Jak oni mają doczekać w pracy 64 lat? No po prostu czasem myślę, że Macron kpi z nas w żywe oczy – irytuje się Joëlle.

La douce vie

W tym sporze o emerytury chodzi zapewne nie tylko o obronę „odwiecznych” praw socjalnych, ale też o swoisty stosunek do pracy we Francji.

Spotkany na manifestacji w Beauvais 45-letni Sébastien, pracownik logistyki w szpitalu w Clermont (Oise) i związkowiec syndykatu UNSA, sprzeciwia się podniesieniu wieku emerytalnego, bo uważa, że uderza to „w najsłabszych i pracujących w najgorszych warunkach”. Po czym zwierza się: – Mam plany na życie po sześćdziesiątce, liczne hobby, lubię majsterkować, uprawiać ogródek, mam hodowlę psów. Będę miał co robić na emeryturze! Czy mamy pracować dwa lata dłużej tylko dlatego, że tak się podoba rządowi? Chyba każdy ma ochotę trochę skorzystać z emerytury, tak czy nie? – pyta Sébastien.

No cóż, praca pracą, ale – biorąc przykład Sébastiena – można powiedzieć, że smak życia (czy nawet *la douce vie*, słodkiego życia) – docenić można naprawdę na emeryturze. Pod warunkiem, że nie przyjdzie za późno.

Gdzie jest wyjście?

Niezależnie od protestów i strajków, parlament debatuje nad projektem ustawy emerytalnej. Rząd Elisabeth Borne przyjął przyspieszony tryb jego rozpatrywania: 50 dni, tak aby przegłosować ustawę w końcu marca.

Macron ma jednak podstawowy kłopot: brak bezwzględnej większości w parlamencie. Żeby przyjąć ustawę, musi pozyskać poparcie parlamentarzystów tradycyjnej prawicy – Republikanów. Wynik głosowania jest niepewny. Dwie największe siły opozycyjne w Zgromadzeniu Narodowym – blok lewicowy Nupes, zdominowany przez radykalną Francję Nieujarzmioną (LFI) Jeana-Luca Mélenchona, oraz nacjonalistyczna partia Marine Le Pen – chcą odrzucenia reformy.

Zadania rządzącym nie ułatwia to, że nawet wśród macronistów nie ma pełnej zgody co do reformy w obecnym kształcie. Co prawda rząd Borne ma w ręku tzw. opcję atomową – artykuł 49.3 konstytucji, który w ściśle określonych warunkach pozwala przyjąć ustawę w drodze dekretu. Takiego scenariusza Macron chciałby jednak za wszelką cenę uniknąć, gdyż groziłby nieobliczalnymi następstwami.

Kluczową sprawą jest uspokojenie nastrojów i uniknięcie zaostrzenia protestów. Leży to w interesie tak rządu, jak i central związkowych.

– Liderzy związków obawiają się, że jeśli manifestacje uliczne osłabną, to nasilą się gwałtowne spontaniczne strajki w transporcie czy blokady rafinerii, co sprawi, że opinia publiczna obróci się przeciw postulatom związkowym. Także rząd lęka się, że na ulice powróci chaos, jak w czasach Żółtych Kamizelek – twierdzi prof. Dubet.

I zauważa: – Mamy patową sytuację. Związkowcy nie ustąpią, jeśli rząd nie wycofa się z podwyższenia wieku emerytalnego. A pani premier Elisabeth Borne, wysłana przez Macrona na pierwszą linię emerytalnego frontu, nie chce o tym słyszeć. Na razie więc nie rysuje się żaden kompromis.

Jak pisze tygodnik „L’Obs”, forsując błyskawiczną reformę Macron liczył zapewne na to, że Francuzi, zniechęceni zimnem, drożyzną i inflacją, nie wyjdą masowo na ulice. Jeśli tak kalkulował, to mocno się pomylił. Teraz prezydent musi bardzo uważać, by rozłuszczona ulica nie wysłała go na polityczną – przymusową – emeryturę.

© SZYMON ŁUCYK

TP

Nasza reporterka nominowana!

ANNA GOC, autorka książki reporterskiej „Głusza”, została nominowana w **IX edycji Nagrody Newsweeka im. Teresy Torańskiej** – w kategorii „literatura faktu”.

Serdecznie gratulujemy wszystkim nominowanym i trzymamy kciuki za wynik głosowania.



FOT. GRAŻYNA MAKARA / OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Do czego strzelali Amerykanie

MICHAŁ GIKOWSKI

Choć pierwsze zbudowano 250 lat temu, balony wciąż są dla wojska bezcenne. Choć ich bezkarność właśnie się kończy.

NIC NIE WSKAZUJE NA TO, ŻE MAMY do czynienia z Obcymi czy działalnością pozaziemską” – tak rzeczniczka Białego Domu Karine Jean-Pierre podsumowała zestrzelenie trzech niezidentyfikowanych obiektów, które wtargnęły w przestrzeń powietrzną USA i Kanady w ciągu 72 godzin. W ciągu jednego weekendu amerykańskie myśliwce zestrzeliły je nad Alaską, kanadyjskim Jukonem i jeziorem Huron.

Kilka dni wcześniej myśliwiec F-22 zniszczył chiński balon szpiegowski dryfujący wysoko nad Myrtle Beach w Karolinie Południowej. Aparatura, która znajdowała się na pokładzie, doskonale nadawała się do prowadzenia nasłuchu transmisji radiowych – nawet tych ze smartfonów – i namierzania ich źródeł. Platforma z czujnikami była wielkości samolotu pasażerskiego.

Niewidoczne, podsłuchują

Trzy zestrzelone później obiekty są bardziej zagadkowe. Piloci myśliwców twierdzili, że były mniejsze, miały różne kształty i przynajmniej na pierwszy rzut oka nie posiadały szpiegowskiej aparatury. Mogły być zwykłymi balonami naukowymi albo reklamowymi. Amerykanie nie strzelają do wszystkich niezidentyfikowanych obiektów latających w swojej przestrzeni powietrznej. Balon znad Myrtle Beach przełaził czarę.

Pentagon twierdzi, że flota chińskich balonów szpiegowskich operuje nad półkulą północną od co najmniej kilku lat. Tylko nad Tajwanem zaobserwowano co



Wylądowanie szczątków balonu szpiegowskiego z oceanu u wybrzeży USA, 5 lutego 2023 r.

MATERIAŁY PRASOWE U.S. NAVY

najmniej kilkadziesiąt podobnych obiektów. Balonów wypatruje też Europa. W styczniu gen. Stephane Mille, szef sztabu francuskich sił powietrzno-kosmicznych, przestrzegał: „Czy na pewno chcemy, żeby balon wysłany przez wroga siły wisiał nad Paryżem, obserwując nasze wszystkie poczynania, bez możliwości przeciwdziałania z naszej strony?”.

Kiedyś uważane za „satelity szpiegowskie dla biedoty”, dziś balony ponownie uchodzą za jedno z najefektywniejszych narzędzi w szpiegowskich arsenalach. Są tanie, można też wypuszczać je w dowolnym momencie, podczas gdy tor lotów satelitów można przewidzieć co do milisekundy. Mogą utrzymywać się nad celem przez dłuższy czas (satelita przemknie nad nim w ciągu kilku minut) i przenosić czujniki o możliwościach większych niż satelity. Są przy tym tańsze i, co udowodniły ostatnie wydarzenia, bardzo trudne do wykrycia. Podglądają, podsłuchują, mogą też stanowić przekaźniki dla wojskowej komunikacji czy naprowadzać ataki z pomocą precyzyjnych rakiet. Całkiem nieźle, jak na technologię sprzed niemal ćwierć tysiąclecia.

Co więcej, mimo ogromnych rozmiarów, balony są trudne do wychwycenia przez nawet nowoczesne systemy radarowe. Mylar, z którego zrobione są balonowe czasze, jest niemal przezroczysty dla radaru. Fale radiowe mogą odbijać co najwyżej cząstki pyłu, lodu czy wody osadzające się na balonie. Radar powinien wypatrzeć podwieszony pod balonem pakiet czujników, ale to też nie jest łatwe.

System obrony przeciwlotniczej USA jest nastawiony na szukanie szybkich, rozgrzanych do białości celów, takich jak pod- i naddźwiękowe bombowce, rakiet balistyczne czy pociski hipersoniczne. Aby je wykryć, w system wbudowane są filtry, które mają za zadanie eliminować zbędne informacje lub fałszywe, radarowe echa. Powolny, unoszący się bardzo wysoko balon mógłby zostać uznany właśnie za jedno z takich fałszywych wskazań radaru wywołanych np. chmurą. Przeszukiwanie nieba w podczerwieni też nie dałoby żadnego skutku w przypadku urządzenia, które porusza się bez silników, niesione jedynie podmuchami wiatru.

Balony nie będą już bezkarne

Po incydencie dowódca NORAD, amerykańsko-kanadyjskiego systemu obrony powietrznej, gen. Glen VanHerck, przyznał w rozmowie z dziennikarzami: „Nie wykryliśmy tych zagrożeń. To obiekty o bardzo, bardzo małym echu radarowym, poruszające się niezwykle wolno, w zasadzie z prędkością wiatru”.

Bezkarność chińskich zwiadowczych balonów może jednak dobiegać końca. USA zebrały w ostatnich dniach cenne dane, które mają pozwolić namierzać je nawet bez oglądania się na radary. Amerykanie będą w tym celu nasłuchiwać transmisji, jakie latające szpiedzy wysyłają do bazy. Pentagon zapowiedział, że podzieli się niezbędnymi danymi z sojusznikami. Kończą się czasy niewidzialnych, unoszących wiatrem zwiadowców. ©

JACEK

Podsiadło:

Meczbole i symbole



ODMÓWIŁEM NIEDAWNO PODPISANIA podsunętej mi w tym właśnie celu „Umowy licencyjnej na wykorzystanie utworu literackiego”, zawierającej punkt brzmiący: „Licencjodawca oświadcza, że nie jest podmiotem,

o którym mowa w art. 7 ustawy z dnia 13 kwietnia 2022 r. o szczególnych rozwiązaniach w zakresie przeciwdziałania wspieraniu agresji na Ukrainę”. Nie wiem albowiem, co prawodawca miał na myśli, kiedy myśl swą cyzelował, i czy, biorąc rzecz najściślej, to nie o mnie jest tam mowa. Na zawody Mistrzostw Świata w Katarze nie wpuszczano widzów, w których strojach ochrona dopatrzyła się kolorów tęczy. Z kolei z widowni Mistrzostw Świata w Zapaleńiu Płuc wypraszano osoby z wyeksponowaną na tiszercie literą Z. A w związku z wejściem w życie putinowskiego prawa o zakazie „propagandy LGBT” petersburski Festiwal Teatralny „Tęcza” zmienił nazwę na Festiwal Teatru Młodych Widzów im. A.A. Briancewa. Kim był A.A. Briancew i czy był anonimowym alkoholikiem, tego nie wiem. Wiem, że nowe czasy wymagają nowego rodzaju bohatera, i wiem, że powinien to być bohater na miarę naszych możliwości.

Potrzeba nam bohatera, który byłby nikim. Anonimowego, bezpłciowego impotent, totalnego zera. Takiego, który nic w życiu nie zdziałał. Żeby w tym życiu, choćby je wzdłuż i wszczeg przejrzały Instytuty Pamięci i Ministerstwa Prawdy, nie dało się znaleźć niczego. Nie „niczego niepożądanego”, nie takiego czy innego „odchylenia”. W ogóle niczego! Wiadomo przecież, że kiedy wiatr historii obróci chorągiewkę, to, co pożądane, okaże się niepożądanym, a to, co było przychyleniem się, stanie się odchyleniem i od nowa zacznie się bajzel choćby z przewracaniem pomników i przywracaniem ulicom Ponurego imienia Janka Krasickiego. Bohater współczesny powinien także być goły, żeby elementy jego stroju przypadkiem czegoś nie znaczyły i nie wyrażały. Jako osobowość bezpłciowa nie będzie miał czym epatować. Tak, całkiem nieźle go pomyślałem, tego bohatera.

Byliście kiedyś w Sopocie, szliście Monciakiem? I co wtedy? Czy myśl Wasza pobiegła ku zboczom Monte Cassino i czerwonym makom, które zamiast wody piły polską krew? Założę się, że nie. Zamiast o gen. Andersie, ofierze z krwi i makach pod Monte Cassino, chodziło Wam po głowie kasyno, wino i tańce na murze, widzę Wasze myśli nadmorskie bardzo wyraźnie. Najślynniejszy deptak w Polsce jest miejscem, gdzie bezkarnie depcze się pamięć!

Z drugiej strony, ten Anders, jakby go dobrze prześwietlić... On na przykład w rozkazie wzywającym do ataku na Monte Cassino oprócz użycia właściwych zwrotów mówiących o Bogu, hOnorze i ojczyźnie nie zwrócił się do żołnierzy także słowami: „Niech lew mieszka w Waszym sercu”. Moim zdaniem wymaga to zbadania przez Instytucje Pamięciowe, czy generał nie uległ zgubnym wpływom ideologii rastafariańskiej i czy poza tym, że palił się do walki, nie palił jeszcze czegoś innego.

Ja nie tylko w Sopocie byłem. Wjechałem też kiedyś na rondo. Musiałem je trzy razy wkoło objechać, żeby odczytać całą nazwę. Bo nazwy, żeby były sprawiedliwe, też muszą być ściśle. Muszą zatem być coraz dłuższe. Na przykład tę ulicę im. Bohaterów Monte Cassino, żeby już nie szukać innych przykładów, należy przemianować na ulicę im. Bohaterów Monte Cassino z Wyjątkiem Bohaterów z Odchyleniem Lewicowym, Nowozelandczyków i Hindusów, No i z Zaznaczeniem, że Klasztor na Monte Cassino to Naprawdę Niepotrzebnie Został Zbombardowany.

Najlepiej by było, gdyby ten bohater naszych czasów nie miał też imienia. Już ulica imienia Bohatera Bez Imienia brzmi nieźle. A można by też po amerykańsku posługiwać się zamiast nazwisk numerami: PESEL, w ostateczności kombinacjami numerów telefonu i legitymacji partyjnej łamanych przez kombinację numerów buta i kołnierzyka. Cyfry nie kłują w oczy tak jak nazwy.

Czytam sobie dalej tę ustawkę z 13 kwietnia i co widzą moje oczęta? Ona zabrania „stosowania, używania lub propagowania symboli lub nazw wspierających agresję Federacji Rosyjskiej”. Czyli w pierwszej kolejności tej fatalnej litery Z! A literę prawa należy brać literalnie, zatem używając Z choćby w niniejszym felietonie łamię prawo!

Wysoka Sondo, już nie będę, obiecuję! To naczy, że i że wolno, tak? Moim daniem uważam, że w mojej opinii powinniśmy dać ostatnią szansę inkryminowanej literze, kiedy wykauje się ona użytecznością w tworzeniu głosek typu zi, rz, sz, cz i dz. Natomiast przynaję samokrytycznie, że samej wiadomej litery trochę mi żal, ale to wskutek mego łego pochodzenia. Po prostu pochodzę z poko..., sorki, spoko lenia wychowanego na serialu „Nak Orro”, dlatego nie od rau pojęłem, że potrafimy się doskonale obejść be wiadomej litery. Mamy mnóstwo innych liter: a, b, ą, ę, yyy... W asadzie polszczyzna wiele by yskała, gdyby literę, którą mam na myśli, całkowicie wyrugować. Nie wolno gryźć Sondy, która nas karmi!

A co do tych barw tęczy, to niech sobie boczenie abierają swoje pedalskie kolorki. Mamy przecież od groma kolorów niewystępujących w tęczy, a to prawdziwie polskich: biały, czarny, szary, popielaty, beżowy, siwy... I flagę naszą trzeba mienić, Wysoka Sondo. Maki makami, ale czerwony to przecież kolor komuchów, a w tęczy też występuje. Biała na górze może ostać, jednak na dole to ja bym postulował piasek pustyni.

©

SZTUKA CIERPLIWOŚCI

Ledwie minęła pandemia, zaczęła się wojna, której końca nie widać.
Okres Wielkiego Postu może nas nauczyć, jak reagować na trudną rzeczywistość.

PIOTR SIKORA



MISTRZOWIE MÓWIĄ, ŻE UCZEŃ Z PRAW-
dziwie otwartym sercem nigdy
nie jest pozbawiony nauczycielki, ucze-
nica o otwartym umyśle ma zawsze przy
sobie nauczyciela. Dzień w dzień istnieje
ten (ta), z którym (z którą) żyję pod
jednym dachem, co jakiś czas wymaga-
jącym remontu; co rano gorąca kawa
i potem motorniczy tramwaju zamyka-
jący drzwi przed nosem (lub ten drugi,
który czeka kilkanaście długich sekund,
aż dobiegnę zdyszany); nie rzadziej niż
raz na tydzień jakaś zgubiona w praniu
bluzka albo szklanka soku spadająca
z brzegu stołu na świeżo umytą podłogę;
a gdy rozglądnę się uważnie wokół
– ptak tańczący na wietrze nad drzewa-
mi, gdy pierwsze kropelki mżawki (lub
pierwsze promienie słońca po deszczu)
docierają do skóry na policzkach.

Ciężkie czasy

Ostatnio przybyło jeszcze więcej belfrów
od życia – coraz wyższe ceny, coraz bar-
dziej uparta wojna, zmęczenie coraz głę-
biej wnikaające w synapsy i stawy. Ostat-
nio? Kiepski żart...

Choroby i nagłej a niespodziewa-
nej śmierci boimy się już od dawna. Po
kilku latach pandemii rok temu przyszła
do nas (na ekranach smartfonów i na
ustach ukraińskich uciekinierów) opo-
wieść o wielkiej wojnie tuż za naszą gra-
nicą. Choć przecież sama wojna do nas
nie dotarła: możemy o niej z przejęciem
rozmawiać w kawiarni w galerii handlo-
wej rozświetlonej blaskiem reklam, a nie
wybuchów.

Jak długo jeszcze? Jak długo jeszcze bę-
dziemy ponownie rozumieć modlitwę,
którą regularnie wznosili ku niebu nasi

przodkowie, a która – liczyliśmy na to
nie bez racji – miała być co najwyżej eg-
zotycznym rytuałem z przeszłości, po-
wtarzany, jak tradycja nakazuje, tylko
podczas liturgii w Wielki Piątek: „Od po-
wietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj
nas Panie!”.

„Nie ma sensu gniewać się na bieg
wypadków – zauważył już dwa tysiące
lat temu Marek Aureliusz – nic ich to
bowiem nie obchodzi”. Przenikliwie mą-
dra uwaga filozofa nie zmienia jednak
tego, że rodzą się w nas frustracja, nie-
pokój, złość. I że to także należy do na-
turalnego biegu rzeczy. Akcja rodzi re-
akcję. Trudno przyjąć szczególnie dziś
namacalną prawdziwość rytualnej frazy
– z prochu powstałem/am i w proch się
obrócę. Ale nawet jeśli ogarnia nas smu-
tek, lęk albo gniew, warto posłuchać
pouczeń rzeczywistości, dać się popro-
wadzić tej szorstkiej przewodniczce
– bo osobista czasoprzestrzeń pomię-
dzy „powstałeś/aś” a „rozsypiesz się”
może być różna – zależnie od tego, jaką
uczennicą (jakim uczniem) każda/y z nas
będzie.

Można więc narzekać, a można i nie.
Można wymyślać wielkopostne cwi-
czenia (*askesis* – ascezę), można po pro-
stu ćwiczyć hantlami, które do ręki
wkłada nam świat. Można płacić za sesje
coachingu, na których dowiadujemy się
od siebie, w którą stronę wyjść ze strefy
komfortu. Można uznać fakt, że strefa
komfortu po prostu zniknęła i żyć trzeba,
nie wiedząc, kiedy pojawi się znowu.

Gdy uważnie słucham, czego rzeczy-
wistość chce nas dziś nauczyć, przycho-
dzi mi do głowy jedno słowo: cierpli-
wość.

Cierpliwy post

Ćwiczenie cierpliwości wymaga postu od
złudzeń. Zaprzestania karmienia umysłu
mnóstwem rozpraszczy, przesłaniają-
cych rzeczywistość taką, jaka jest. Mamy
tendencję, by uciekać od trudnych wyda-
rzeń i bolesnych emocji. Tak być może zo-
staliśmy nauczeni: „nic się nie stało” – sły-
szeliśmy dziecięcymi uszami, gdy z roz-
bitego kolana lała się krew; „nie boli, nie
boli” – gdy rana piekła okropnie; „weź
prześtań, nie becź już” – gdy płacz szar-
pał ciało.

→

*Podróżni oczekujący przed dworcem
Warszawa Centralna. 14 marca 2022 r.*



A przecież stało się, bolało i smutek był całkiem na miejscu. Teraz też staje się, boli i wolno się smucić. Dobrze to uznać. Odrzucić zasłony używek, alternatywnego życia w rzeczywistości jedynie wirtualnej. Stanąć ze światem twarzą w twarz. Obnażyć się przed sobą. Poczuci strach, smutek, także złość. Wziąć kilka głębszych, powolnych wdechów i sprawdzić: co było pierwsze, które uczucie.

Dość często jest tak, że w trudnych sytuacjach dominuje złość. Zarówno w odczuciach, w przestrzeni świadomości, jak i w działaniach, reakcjach. Gdy się jednak przyjrzeć bliżej całej sytuacji, u podłoża jej leży przykrość, strata, zagrożenie. I gdy jeszcze bardziej wyostrzyć wzrok ducha, można dostrzec, że przed złością pojawił się w nas – choćby na mgnienie oka – smutek albo strach. Złość, gniew zjawily się później – przywołane osądem: co (kto) mnie zasmuca albo mi zagraża – złe jest. Albo: zły jest sam smutek lub strach. Albo nawet: zła/y jestem, która/y się smucę, boję. Trzeba więc, zaczynamy myśleć i czuć, walczyć, zniszczyć zło.

Iść za tym impulsem? Posłuchajcie przypowieści: „Królestwo niebieskie podobne jest do człowieka, który posiał dobre nasienie na swej roli. Lecz gdy ludzie spali, przyszedł jego nieprzyjaciół, nasiał chwastu między pszenicę i odszedł. A gdy zboże wyrosło i wypuściło kłosa, wtedy pojawił się i chwast. Słudzy gospodarza przyszedli i zapytali go: »Panie, czy nie posiałeś dobrego nasienia na swej roli? Skąd więc wziął się na niej chwast?«. Odpowiedział im: »Nieprzyjaczny człowiek do sprawił«. Rzekli mu słudzy: »Chcesz więc, żebyśmy poszli i zebrali go?«. A on im odrzekł: »Nie, byście zbierając chwast nie wyrwali razem z nim i pszenicy. Pozwólcie obojgu rósć aż do żniwa; a w czasie żniwa powiem żęcom: Zbierzcie najpierw chwast i powiążcie go w snopki na spalenie; pszenicę zaś zwieźcie do mego spichlerza«” (Mt 13, 24-30).

Gniew pchający do walki, dający do niej siłę, znacznie łatwiej znieść niż smutek i strach. Gniew, złość dają poczucie kontroli. Walcząc, niszcząc zło łatwo jednak – ostrzega przypowieść – zniszczyć to, co wcale nie jest

Cierpliwe działanie nie zatrzymuje się w przeszłości i nie wybiega w przyszłość.

Posuwa się w tym samym tempie, co bieg zdarzeń.
Jest tym ruchem, który właśnie trzeba zrobić.

złe, wyrwać nawet to, co konieczne do życia. Niezbędne do życia są zaś m.in. wszystkie emocje – także smutek i strach. Nie jest dobrze tłumić je gniewem. Spróbujcie inaczej: pozwolić, by były, obdarzyć uwagę, przyznać: mają sens.

W życiu – poucza inna jeszcze przypowieść – nie da się uniknąć strzały bólu: choroby, rozstania, śmierci, konfliktu, utraty. Jesteśmy zranieni, ale często sami wbijamy we własną ranę drugą strzałę: opór, unikanie, walkę z tym, co nieuchronne. Czysty ból zmienia się w jęczące się cierpienie. Cierpliwość to zdolność akceptacji rany. Bez udawania, że jej nie ma. Bez dłubania w niej kolejną strzałą.

Cierpliwość potrzebuje jednak również postu od narzekania i „nakręcania się” negatywnymi aspektami rzeczywistości. Warto pamiętać o ewolucyjnym skrzywieniu naszego umysłu. Jesteśmy potomkami ludzi, którzy słysząc szelest w zaroślach zwykle uciekali, nie zwracając uwagi na przyjemne brzmienie tego dźwięku. Beztroscy esteci najczęściej bezpotomnie ginęli – pożarci przez drapieżniki. Została nam po przodkach wrażliwość na zagrożenia, tendencja do interpretowania niejasnych sygnałów jako zwiastunów nieszczęścia. Potrzebne jest równoważące ćwiczenie – spokojne, cierpliwe wyszukiwanie rzeczywistych (choćby i drobnych) pozytywnych: życzliwości ze strony innych ludzi, przyjemnych doznań, nawet małych osiągnięć, satysfakcji z podejmowanego wysiłku.

Cierpliwa modlitwa

Cierpliwość nie jest zatem zaciskaniem zębów i trwaniem w nieszczęściu siłą woli napiętą do granic. Można na nią popatrzeć jak na wiązkę umiejętności.

Akceptacja pierwszej strzały bez wbijania w ranę strzały drugiej, odpuszczenie walki, gniewnego niszczenia wszystkiego, co jawi się nam jako złe, wspomagane jest innymi zdolnościami.

Po pierwsze, skupieniem uwagi na tym, co się dzieje teraz. Cierpliwość kojarzy się najczęściej z długim trwaniem, znoszeniem czegoś, co – wbrew naszym chęciom – nie chce minąć (czyż sam wyżej nie pisałem w ten sposób o sytuacji, w której się znajdujemy – o latach pandemii, wojny, niepewności ekonomicznej?). Tak naprawdę jednak trudna jest tylko ta chwila. Tylko jedna. Ból – fizyczny, psychiczny, egzystencjalny – w rzeczywistości trwa krótko: błysnie, trzaśnie i przemija.

Iluzja długiego trwania cierpienia wywoływana jest przez nasze myśli. Wspominamy, co trudne było, co bolało kiedyś. Pozwalamy – najczęściej nieświadomie – pochłonąć się wspomnieniem, zapominając, że to tylko wspomnienie. Tworzymy scenariusze przyszłych katastrof i zapominamy, że to tylko fikcyjne opowieści naszej zatruwanej świadomości.

Ugrzęźnięcie w czasach, które nie istnieją, ma swoje przyczyny. Bywa, że Igniemy do nich, gdyż mają nas jakimś urokiem, czasami przewrotnym. Bywa też inaczej: toczymy z nimi walkę, próbując je odepchnąć. Tak czy inaczej, Ignąć albo odpychając przykuwamy do nich uwagę i w ten sposób karmimy nasze wyobrażenia własną wewnętrzną energią. Im bardziej się w nich zatracamy lub im bardziej z nimi walczymy, tym silniejsze się stają, tym wyraziściej roztaczają iluzję, że przeszłość i przyszłość realnie istnieją, a ból trwa długo.

Rozwiązaniem jest odwiązywanie. Odwiązywanie (albo może lepiej: odwiązywanie) się od myśli, wyobrażeń, emocji. Takie oddalenie od nich uwagi, które pozwala rozpoznać ich prawdziwą naturę. Postrzegać wspomnienia jako wspomnienia – czyli obrazy czegoś, czego już nie ma; przewidywania jako przewidywania – myśli o czymś, czego nie ma jeszcze. Oddalenie uwagi umożliwia dostrzeżenie szerszej perspektywy, a w niej siebie, która/y nie jest strumieniem myśli przepływających przez świadomość. Pozwala zobaczyć ulotność każdej myśli: pojawia się ona, nabiera kolorów,

chwilę dłuższą bądź krótszą staje przed oczami duszy – i niczym iskra z ogniska, liść na rzece, bańka mydlana – rozprasza się w nicłość.

Podobna cierpliwość należy się emocjom. Każda ma naturę fali. Wzbudzona – narasta, dochodzi do szczytu swojej siły (bardzo często zauważamy ją dopiero wtedy), a następnie – jeśli nie karmimy jej swoim zaangażowaniem albo walką – opada i gaśnie sama. Sztuka cierpliwości polega na tym, by emocję zobaczyć, obdarzyć życzliwą uwagą, zrozumieć, co ją wzbudza, ale też dostrzec, że jest w nas więcej niż tylko ona – a więc że może potrwać trochę i wycofać się, jak morska fala z plaży.

Rzeczywistość – zdarzenia, myśli, emocje, cielesne procesy – jest jak oddech. Przychodzi, odchodzi. Cierpliwa uwaga, bez domieszki sądu, próby odrzucenia albo przywiązania, jest modlitwą – otwarciem na Boga. Wszak Pismo nazywa Go początkiem – *arche* świata (por. Kol 1, 18), wypełniającym wszystko (por. Ef 1, 23); wszak mówi On poprzez Widzącego: „Ja jestem Alfa i Omega, Źródło/Początek i Cel/Spełnienie/Koniec, który jest, który był, przychodzący” (Ap 1, 8).

Cierpliwa dobroczynność

Cierpliwość nie jest bezczynnością. Ma w sobie post – rezygnację z rozpraszczenia zasłaniających rzeczywistość i przyjęcie tego, co jest. Ma w sobie modlitwę – uwagę swobodną, bez domieszki sądu, czyli odrzucenia oraz przywiązania. Uwagę jednocześnie skupioną na chwili obecnej, z której wynurza się Ten/Ta, Który/a Jest. Ma też jednak w sobie działanie. Albowiem pełne otwarcie na świat usuwa blokady przeszkadzające we właściwej reakcji na wydarzenia.

Tak utknięcie w przeszłości, jak i ucieczka w przyszłość nie pozwalają odpowiednio zareagować teraz na to, co akurat się dzieje. I tylko rozpoznanie, która emocja pojawia się pierwsza – w reakcji na to, jaki świat jest i co nam robi, zanim zaczniemy go sądzić według przez nas samych ustanowionego prawa – tylko to rozpoznanie pozwala właściwie wykorzystać emocjonalną energię. Uczucia wzbudzone przez nasze osądy prawdopodobnie zaprowadzą nas na manowce. Jeśli sądzimy – ostrzega Mistrz – będziemy sądzeni. A sąd polega na tym – Mistrz wyjaśnia – że światło zaświeci i okaże się, że zgubiliśmy drogę i nasze czyny nie pasują

do świata, są jak oranie morza, zarzucanie sieci na turniach, kładzenie cegły na dawno pokruszonym fundamencie.

Cierpliwe działanie nie zatrzymuje się w przeszłości i nie wybiega w przyszłość. Posuwa się w tym samym tempie, co bieg zdarzeń. Jest tym – i tylko tym – ruchem, który właśnie teraz trzeba zrobić. Jest i świadomością tego właśnie ruchu, nieprzesłoniętą niecierpliwym oczekiwaniem rezultatu, nierozproszoną porównaniem do działania dziejącego się teraz gdzie indziej.

Cierpliwe działanie nie jest walką, niszczeniem zła. To raczej tworzenie: „podobne jest do siewcy, który wyszedł siał” (por. Mt 13, 3-8). Albo porządkowanie i szukanie zguby: podobne jest do kobiety, która „zapala światło, wymiata dom i szuka uważnie, aż znajdzie” zaginioną drachmę (por. Łk 15, 8-9). Albo łatanie dziur świata: „Byłem głodny, a daliście mi jeść, byłem spragniony, a daliście mi pić” (Mt 25, 35).

Cierpliwe działanie rozszerza naszą uwagę i wydostaje nas z kokonu własnego bólu. Ucisza krzyk: „Jak długo jeszcze?”. Delikatnie otwiera świadomość: „Co teraz?”.

©© PIOTR SIKORA

Zamów „Tygodnik” w prenumeracie

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Chmielowski w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy
Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate

TYGODNIK
POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALES||manago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



KUNSTHISTORISCHES MUSEUM W WIEDNIU

Rozpusta i fałszywa pobożność

MAGDALENA ŁANUSZKA

Słynne przedstawienia „Walki karnawału z postem” są bardziej satyrą niż moralitetem. Krytykują zarówno Reformację, jak i Kościół.

NIEKTÓRE Z DZIEŁ SZTUKI DAWNEJ SĄ tak znane, że sam ich temat – nawet jeśli nie był wyjątkowy – funkcjonuje jako tytuł automatycznie kojarzony z jedną, najpopularniejszą realizacją. Wielokrotnie słyszałam odniesienia do „rzeźby Dawida” albo do „Piety” z założeniem, że oczywiście chodzi o konkretne dzieła Michała Anioła Buonarrotiego, tak jakby nie istniały dziesiątki innych Piet czy figur biblijnego Dawida. Na hasło „Ostatnia Wieczerza” większość natychmiast myśli o malowidle Leonarda da Vinci; co

ciekawe, to właśnie dzieło bardzo często również bywa reprodukowane na obrazkach będących pamiątką Pierwszej Komunii, mimo że jest to Ostatnia Wieczerza, która akurat nie pokazuje ustanowienia Eucharystii, lecz zapowiedź zdrady Judasza.

Do takich dzieł kojarzonych po samym tytule należy również „Walka karnawału z postem”. Oczywiście pierwsze skojarzenie to obraz Pietera Bruegla Starszego (ok. 1526/30-1569), namalowany w 1559 r. i najprawdopodobniej zakupiony w po-

czątku XVII wieku przez cesarza Rudolfa II Habsburga; dziś znajduje się w Kunsthistorisches Museum w Wiedniu (il. 1).

Drugim skojarzeniem mogą być liczne kopie tego dzieła, które wyszły z warsztatu syna artysty, Pietera Brueghla Młodszego (1564-1638). Jedna z nich, prawdopodobnie XVII-wieczna, była nawet w Muzeum Narodowym w Krakowie, lecz nieestety jest stratą wojenną. Obraz ten, pochodzący ze zbiorów Stanisława hrabiego Ursyn Rusieckiego, 5 grudnia 1939 r. został z Muzeum Narodowego w Krakowie zrekwirowany do dekoracji siedziby niemieckich władz Dystryktu Krakowskiego, która znajdowała się w Pałacu pod Baranami. Siedzibę tę zajmował baron Otto von Wächter, zaś dzieła sztuki do dekoracji wnętrz wybierała jego żona Charlotte, która po wojnie wróciła z dziećmi do Salzburga. Zabrała z Krakowa przynajmniej część dzieł zgromadzonych w Pałacu pod Baranami – po „Walce karnawału z postem” słuch zaginął.

Jednak „Walka karnawału z postem” to temat, który podejmowali nie tylko Bruegel i jego syn.



RIJKSMUSEUM W AMSTERDAMIE



RIJKSMUSEUM W AMSTERDAMIE

Zaginione pierwowzory

Twórczość Pietera Bruegla Starszego była osadzona w tradycji niderlandzkiej sztuki wcześniejszych pokoleń – przede wszystkim trzeba tu przywołać dzieła Hieronymusa Boscha (ok. 1450-1516). Artysta ten słynął z fantastycznych (chciałoby się rzec: „surrealistycznych”) kompozycji o złożonej symbolice, najczęściej interpretowanych jako przedstawienia mizernej kondycji ułomnej ludzkości, przemijania, grzechów, ludzkiej głupoty i słabości. Twórczość Boscha cieszyła się dużą popularnością (nie był wcale artystą-szałem ani odrąconym przez świat outsiderem).

Wielkim fanem twórczości Boscha i kolekcjonerem jego dzieł był hiszpański król Filip II Habsburg (1527-1578); stąd najwięcej dzieł tego artysty znajduje się dziś w Muzeum Prado w Madrycie. W inwentarzach pojawia się obraz na płótnie pędzla Boscha, który zdołał pałacyk myśliwski Filipa, a przedstawiał alegorie karnawału i postu – niestety, nie przetrwał. Nawiasem mówiąc, Medyceusze także mieli we Florencji flamandzki obraz na płótnie, ukazujący personifikację postu

z tańczącymi wokół postaciami (zapewne była to satyra na post), który również się nie zachował.

Przez długi czas zakładano, że niezachowaną kompozycję Boscha ze zbiorów Filipa znamy z kilku późniejszych kopii, z których jedna znajduje się w Noordbrabants Museum w 's-Hertogenbosch (utrzymana w skali szarości, datowana na lata 40. XVI wieku), następna w Rijksmuseum w Amsterdamie (z końca XVI wieku, il. 2), podobna w Museum Mayer van den Bergh w Antwerpii (2 poł. XVI wieku), a kolejne w prywatnych kolekcjach. Dziś jednak badacze odrzucają tę hipotezę; raczej są to powtórzenia jakiegoś antwerpskiego dzieła, zapewne z pierwszej połowy XVI wieku, stworzonego przez jednego z naśladowców Boscha.

Przedstawienie zawiera pewne absurdalno-fantastyczne elementy charakterystyczne dla twórczości Boscha: jak chociażby grupę postaci schowanych w rozprutej sakwie gigantycznych dud. Dudy były instrumentem kojarzonym z męskimi genitaliami; w sztuce średniowiecznej występowały często w groteskowych

przedstawieniach odnoszących się do rozputy, słabości, grzechu. W tym obrazie zresztą personifikacja karnawału – czyli człowiek niesiony na stole, odziany w szaty zakonnik – również gra na dudach. Całą salę wypełniają biesiadnicy – pijący, tańczący, śpiewający, oddający się rozpuście. Post zapewne reprezentuje postać w długiej sukni, niosąca na głowie stół z rybami – niemal nikt jednak nie zwraca na nią uwagi.

Tańczące na pierwszym planie osoby duchowne zostały z czasem zinterpretowane jako przedstawienie Marcina Lutra i jego żony (byłej zakonnicy) Katarzyny von Bora; w obrazie w Rijksmuseum widnieje podpis „Oto taniec Lutra i jego zakonnic”. Taka inskrypcja nadaje przedstawieniu charakter antyprotestancki, ale pierwotnie mogło być na odwrót; mnisi oddający się rozpuście i pijaństwu pojawiali się także w antykatolickich przedstawieniach czasów Reformacji. Wydaje się, że to właśnie religijno-społeczny kontekst rozdartych przez Reformację Niderlandów XVI stulecia stał się kluczowym czynnikiem popularności przedstawień „Walki karnawału z postem”.

Świętowanie Ostatków

Sama koncepcja personifikacji Postu i Karnawału, stających do pojedynku, ma korzenie w zabawach ludowych oraz ostatkowych spektaklach ulicznych. Każda ze stron mogła mieć zresztą swoją armię. Grafika projektu Fransa Hogenberga (1535-1590), wydana w Antwerpii przez Hieronymusa Cocka (1510-1570), ukazuje na pierwszym planie kobiety walczące ze sobą przy użyciu żywności; pani od strony Karnawału wymachuje udźcem, podczas gdy jejmiejsc od Postu wywija rybą (il. 3). W roli Karnawału

→ występuje mężczyzna siedzący na beczce, w naszyjniku z kielbas, z różnem w dłoni; Post zaś uosabia kobieta siedząca na kamieniach, trzymająca ruszt z rybami. Obie personifikacje jadą na wozach ciągniętych przez uczestników zabawy. Grafika ta została wydana w roku 1558, czyli na rok przed tym, gdy Pieter Bruegel Starszy ukończył swój słynny obraz.

Zachowane zapiski dotyczące ludowych sztuk karnawałowych mówią o przedstawieniach walki między Cebulą i Śledziem a Kielbasą i Szynką. Post, Księżniczka Poszczących i Pokutujących napomina Karnawał, Cesarza Pijków i Obżartuchów, aby nie zapominał o swej duszy w czasie zabaw. Ostatecznie spór zostaje rozstrzygnięty w ten sposób, że Post otrzymuje władzę przez 40 dni w roku, plus dwa dni w każdym tygodniu: w środę i piątek.

Najczęściej satyra karnawałowa wymierzona była w obżarstwo. Dla ówczesnych odbiorców naturalne było skojarzenie postaci na beczce z personifikacją grzechu nieumiarkowania w jedzeniu i piciu. Znakomitym przykładem takiego przedstawienia (bez związku z karnawałem) jest fragment, który niegdyś należał do tryptyku zawierającego alegorie siedmiu grzechów głównych. W scenie „Nieumiarkowania...” – a jest to dzieło samego Hieronymusa Boscha, datowane na koniec XV wieku (Yale University Art Gallery, il. 4) – tłusty jegomość na beczce gra na instrumencie dętym.

Późnośredniowieczne zabawy karnawałowe, mimo religijnej otoczki zbliżającego się Wielkiego Postu, miały głównie charakter świecki i rzeczywistość związane były z obżarstwem, opilstwem i nierzadko rozpustą. Zgodnie z prawną tradycją u schyłku zimy, ale jeszcze przed początkiem wiosennej wegetacji, w większości kultur pogańskich (na przykład germańskich czy słowiańskich) obchodzono święta mające na celu przywołanie wiosny: palono oczyszczające ognie, a także starano się obłaskawić groźne bóstwa władające gromami (przed nadejściem wiosennych burz). Obca nam już chyba idea niepożywanej konsumpcji mięsa, po której następuje okres postu, związana była z doświadczeniem pożywienia w określonych okresach roku: zgromadzone na święta mięsiwa trzeba było dojeść, a potem następował głodowy przednówek.

Karnawałowe szaleństwa były oczywiście piętnowane przez kaznodziejów – Kościół katolicki grzmiał, zalecając pokutę, posty i jałmużny, a także promując kupowanie odpustów. A potem przyszła Reformacja.

Burzliwy wiek XVI

Późnośredniowieczny rozkwit sztuki i kultury w Niderlandach przypadł na czasy, gdy tereny te znajdowały się pod rządami książąt Burgundii z bocznej linii Kapetyngów. Niestety ostatni z nich, Karol Śmiały, zginął na polu walki w roku 1477, nie pozostawiając męskiego potomka. Po jego śmierci francuskie części jego państwa (Burgundia, Pikardia i Artois) wróciły na mocy prawa pod władzę królów Francji, zaś Niderlandy odziedziczyła jedyna córka Karola, Maria Burgundzka. Wyszła za mąż za Maksymiliana Habsburga – i to właśnie Habsburgowie przejęli władzę nad tym regionem. Ostatecznie do domeny habsburskiej włączył Niderlandy Karol V, król hiszpański i cesarz rzymski.

Niderlandy tworzyło siedemnaście prowincji – niderlandzkie miasta były niezwykle zamożnymi, silnymi ośrodkami politycznymi, dążącymi do autonomii, co przez cały okres władzy książąt burgundzkich skutkowało ciągłymi konfliktami z dworem. Po śmierci Karola Śmiałego wojna domowa zmusiła Marię Burgundzką i Maksymiliana Habsburga do ustępstw i zatwierdzenia przywilejów poszerzających tę autonomię. W dynamicznie rozwijających się miastach niderlandzkich często pojawiali się cudzoziemcy i szybko rozwinęło się poparcie dla rewolucyjnych propozycji Lutra; jednocześnie katolickie władze robiły wszystko, aby Reformację zdusić. Karol V już w 1522 r. doprowadził do ustanowienia działalności Inkwizycji w Niderlandach – i wkrótce pierwsi męczennicy Reformacji spłonęli na stosach.

Nie zatrzymało to jednak zmian; od lat 40. XVI wieku coraz większą popularność w Niderlandach zyskiwał kalwinizm, a walka o wolność wyznania łączyła się z walką o uwolnienie się spod władzy Habsburgów. Powstanie przerodziło się w wojnę, co w drugiej połowie XVI wieku doprowadziło nie tylko do powstania Holenderskiego Kościoła Reformowanego, ale także do uzyskania niepodległości przez północne prowincje i utworzenia



protestanckiej Republiki Zjednoczonych Prowincji. Społeczno-religijne tło jest, jak się wydaje, ważne dla zrozumienia popularności przedstawień „Walki karnawału z postem” w sztuce niderlandzkiej XVI i XVII wieku.

Istnieją mniejsze kompozycje, uważane za pochodne słynnego obrazu Bruegla Starszego z 1559 r. – zredukowane do centralnych postaci Karnawału i Postu i kilku osób z ich otoczenia. Jest co najmniej osiem wersji tego przedstawienia, w domach aukcyjnych takich jak Christie's czy Sotheby's ostrożnie opisywanych jako krąg lub naśladowca Pietera Brueghla Młodszego, datowanych najczęściej na XVII wiek (il. 5). Museum of Fine Arts w Bostonie trzyma się dawnej atrybucji, przypisując swój obraz warsztatowi Pietera Bruegla Starszego, podczas gdy w opisie wersji ze Stedelijk Museum Vander Kelen-Mertens w Leuven pojawia się nazwisko Martena van Cleve (ok. 1527-przed 1581) – malarza współczesnego Brueglowi i znajdującego się pod jego silnym wpływem.

Byłabym zresztą ostrożna w określaniu tej akurat – najwyraźniej dość popularnej – kompozycji jako zredukowanej wersji wiedeńskiego wielkiego dzieła Bruegla. Temat „Walki karnawału z postem” nie był wcale wyjątkowy, zbyt dużo jest też różnic w przedstawieniu głównych bohaterów. Post, choć uosobiony przez zakonnicę, siedzi okrakiem na beczce i w do-



5 PRYWATNA KOLEKCJA



4 YALE UNIVERSITY ART GALLERY

datku nieprzyzwoicie odsłania nogę. Wydaje się, że obie personifikacje ukazane są tutaj równie satyrycznie i trudno mówić o moralizatorskim nawoływaniu do porzucenia grzesznego życia i zwrócenia się ku pokucie.

Satyra na dwie strony

Właściwie we wszystkich przywołanych powyżej przedstawieniach „Walki karnawału z postem” można doszukać się satyry czy wręcz krytyki obu stron konfliktu. Oczywiście Karnawał jest obżartuchem i pijakiem, a w jego orszaku znajdziemy rozpustników i hazardzistów. Postacie w maskach otaczające Karnawał niosą skojarzenie z sezonowymi maskaradami, ale mogą także symbolizować ludzi nieuczciwych, dwulicowych, fałszywych albo wręcz personifikować herezję. Niektórzy badacze uważają, że „karnawałowa” strona tych obrazów kryje karykaturę protestantyzmu w ujęciu katolickiej propagandy. Przeciwnieństwem budynku kościoła po stronie Postu jest tawerna po stronie Karnawału, a luteranie bywali oskarżani o przenoszenie teologicznych dysput do niegodnej przestrzeni karczm.

Post natomiast w tak rozumianym konflikcie uosabia Kościół katolicki, który podkreślał kluczową rolę pokutowania za grzechy, poszczenia, dawania jałmużny. Protestanci, wychodząc z założenia, że zbawienie osiąga się nie przez uczynki, lecz przez wiarę, odrzucali te właśnie

aspekty. Protestancka propaganda często przedstawiała katolicyzm jako fałszywego proroka, który na pokaz otacza się dewocyjnymi dekoracjami, pości i modli się godzinami, a w rzeczywistości jest zakłamanym i w tajemnicy oddaje się rozpuście. Zresztą ul (umieszczony na głowie Postu w wielu przedstawieniach) był jednym z symboli Kościoła katolickiego.

Pierwsze skrzypce po stronie Postu (zwłaszcza w obrazie Bruegla) gra margines społeczny: żebracy, którzy właśnie w czasie Wielkiego Postu mogli liczyć na największe jałmużny. Z punktu widzenia mieszczańskich protestantów, wysoko ceniących sobie etos pracy, owi żebracy (niezwykle tworzący półświatka przestępczy) to, najdelikatniej mówiąc, pasożyty społeczne, których nie należało wspierać. Obecne we wszystkich obrazach dzieci – czy to bawiące się w karnawałowym orszaku, czy hałasujące postnymi kołatkami – symbolizują słabość i grzeszność obu stron konfliktu. Dziecięce zabawy w sztuce dawnej najczęściej interpretuje się jako metaforę słabej moralnej kondycji ludzkości, głupoty oraz niedojrzałości całego społeczeństwa.

Taka interpretacja przedstawień „Walki karnawału z postem” najlepiej wpisuje się w atmosferę wszechobecną i wielopłaszczyznowych konfliktów w społeczeństwie XVI-wiecznych Niderlandów. Już Erazm z Rotterdamu pod koniec lat 20. XVI wieku oceniał, że

sytuacja się pogarsza: jak twierdził, wszędzie mówi się o ortodoksji i herezji, o katolikach i o naśladowcach antychrysta, ale nigdzie nie widać samego Chrystusa. W kolejnych dekadach niderlandzcy intelektualiści zauważali, że konflikty nie prowadziły do konstruktywnego dialogu. Flamandzki geograf, kartograf i historyk Abraham Ortelius pisał w grudniu 1567 r. w liście do kuzyna, że żyje w bardzo niespokojnych czasach, co się prędko, jak sądził, nie poprawi. Mianem chorób określił katolickie zło, gorączkę Gezów, dyzenterię hugenotów, pomieszane z innymi utrapieniami. Jak podsumował: jesteśmy wszyscy pełni dumy i ambicji, każdy chce być powołany, ale nikt nie chce być dobry; każdy chce pouczać innych, ale nikt nie chce żyć w pokorze.

Ta interpretacja wcale nie zabiera wspomnianym przedstawieniom uniwersalnego charakteru. Rozpusta oraz fałszywa pobożność są przecież obecne i w naszych czasach. Jeśli chodzi o ambicję, egoizm, zaślepienie czy głupotę, też w zasadzie nic się nie zmieniło. Być może tylko zatraciliśmy umiejętność docenienia równowagi pomiędzy ekscesami cielesnych przyjemności Karnawału a oczyszczeniem, które niesie Post. Współczesne wytyczne diety nie zalecają wszakże ani tymczasowego świątecznego obżarstwa, ani zbyt restrykcyjnej przednówkowej głodówki.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

Szpiczaste czapki braci

MACIEJ MÜLLER

Chrześcijaństwo nie tylko nie chroniło przed antysemityzmem, ale wręcz do niego prowadziło – wynika z książki abp. Grzegorza Rysia.

PROCES PROWADZIŁY WŁADZE ŚWIECKIE. Kościół – wbrew pozorom – nie sądził w sprawach o świętokradztwo, co najwyżej wysyłał potrzebnych w postępowaniu ekspertów. Materia była poważna: oto po Wrocławiu krążyła opowieść o tym, jak Żydzi przekupili zakrystiana, który pozwolił im wykraść z kościoła konsekrowaną hostię. Następnie kłuli ją nożami, chcąc sprawdzić, czy popłynie krew.

Część zeznań wydobyto torturami: człowiek z przypalonym bokiem bądź miażdżonymi stopami zwykle powie wszystko, co chce usłyszeć przesłuchujący. Z ponad trzystu przesłuchanych Żydów czterdziestu jeden skazano na śmierć, z czego dwunastu, oskarżonych o bezpośredni udział w profanacji, miało umierać długo, wśród tortur. Resztę spalono na stosach.

Proces wrocławski z 1453 r. znany jest głównie z tego, że uczestniczył w nim św. Jan Kapistran, głoszący wówczas w mieście kazania. Akurat we Wrocławiu mówił niewiele o Żydach (choć tak w ogóle od tej tematyki nie stronił): głównie potępiał czczą rozrywkę, a zafascynowani słuchacze podpalali potem na ulicach „stosy próżności”, do których wrzucali plansze do warcabów, kości, zwierciadła czy zbytkowe ubrania. Kapistran w procesie wystąpił tylko jako ekspert. Potem jednak doradził Władysławowi Pogrobowcowi, królowi Czech i Węgier, by wygnał Żydów ze Śląska. Król dołączył do rzeszy władców europejskich, którzy skazywali na wygnanie „starozakonnych”.

Sądowy mord we Wrocławiu nie był w ówczesnej Europie czymś szczególnym. Krążące od Lizbony po Kraków opowieści o cudach eucharystycznych sprawiły, że wątek ten przeniknął do li-czących już setki lat stereotypów antysemickich. Dotychczas Żydów sądzono (lub urządzano ich pogromy) za porywanie dzieci, wykorzystywanie krwi chrześcijańskiej do produkcji macy, zatrucie studni i roznoszenie czarnej śmierci. W XV w. doszły do tego oskarżenia o profanowanie hostii.

Pomścicie mnie

Chrześcijaństwo nie tylko nie chroniło przed antysemityzmem, ale wręcz do niego prowadziło – wynika z książki abp. Grzegorza Rysia „Chrześcijaństwo wobec Żydów”. Metropolita łódzki, profesor historii, opisał 15 wieków kształtowania się podejścia Kościoła do Żydów. Jego książka jest pełna cytatów z dokumentów papieskich, nauczania Ojców Kościoła czy uchwał synodalnych i soborowych. Jeśli czegoś w niej brakuje, to ludzkich historii (o Janie Kapistranie i sprawie wrocławskiej znajdziemy tam jedno zdanie).

„Są ślepi, bo nie rozumieją tego, co czytają. Zachowują Prawo cielesnie, co do ciała, a nie co do ducha. Nie rozumieją Pisma – i nie dzieje się to bez ich winy”. To nauczanie św. Augustyna z IV-V w. nie było przełomowe: największy zachodni Ojciec Kościoła jedynie podsumował formowaną od niemal początków chrześcijaństwa teologię zastępstwa. Według tej – odrzuconej dopiero przez Sobór Watykański II – teorii Żydzi mieli utracić sta-

tus narodu wybranego, który przeszedł na Kościół.

Powody podawano różne: przede wszystkim zabicie Chrystusa, ale wskazywano też np. kult złotego cielca pod Synajem. Wtedy bowiem – głosił Pseudo-Barnaba – Mojżesz „wypuścił z rąk tablice i rozbiło się ich Przymierze”. Tertulian uważał Żydów za gorszych od pogan. Ci drudzy bowiem, przekonywał, „oddali się pogańskim bałwanom i służyli gorliwie bożkom, porzuciwszy Boga”, natomiast chrześcijanie, „odrzucając bożki, którym dawniej służyli, nawrócili się do tegoż Boga, od którego odstąpił Izrael (...)”. Tak zatem lud młodszy, czyli późniejszy, przewyższył lud starszy, kiedy stał się godny Bożej łaski wezwania, od której Izrael został odsunięty.

Św. Jan Chryzostom grzmiał: Żydzi są „odrostami świętego korzenia, lecz zostali odcięci”, „komentowali proroków, a ukrzyżowali Tego, którego prorocy zapowiedzieli”. I konkludował: żaden Żyd nie wielbi Boga, bo Ojca zna i czci jedynie ten, kto zna i czci Syna. Św. Augustyn postawił kropkę nad „i”, zaliczając Żydów do niewiernych, czyli grzeszących przeciwko wierze. Miało to „poważne konsekwencje: w średniowiecznej christianitas niewierni (czyli również poganie, heretycy i schizmatycy) nie będą mieć – na równi z wiernymi – wszystkich praw publicznych” – wskazuje abp Ryś.

Straszne konsekwencje miały również słowa Augustyna rozciągające na współczesnych mu Żydów odpowiedzialność za ukrzyżowanie Chrystusa: „wy w ojcach waszych poprowadziście [Go] na



JAROSŁAW KUBALSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

„Mord rytualny” Karola De Prevot w katedrze sandomierskiej był zasłonięty przez osiem lat. Odsłonięto go po umieszczeniu tablicy informującej, że wydarzenia na nim przedstawione nie są zgodne z prawdą historyczną. Sandomierz, 16 stycznia 2014 r.

śmierć”. Abp Ryś podkreśla: „w tekście Augustyna to zaledwie akapit, w dziejach relacji Kościoła i Izraela – kamień uruchamiający wielowiekową lawinę oskarżeń Żydów o »bogobójstwo« i »bratobójstwo«”.

W XII w. powstała legenda, według której ostatnie słowa Chrystusa na krzyżu miały brzmieć: „Pomścicie mnie”.

Coraz wyższe mury

W 315 r. cesarz Konstantyn Wielki zakazał konwersji na judaizm. Od tego czasu możemy datować postępującą izolację obu religii – dotychczas nie było czymś nieoczywistym zjawisko judeochrześcijaństwa. Za zakazem zmiany religii wkrótce poszedł zakaz małżeństw mieszanych – początkowo państwowy, a w końcu wzmocniony orzeczeniem kościelnym: w 535 r. synod w Clermont zagroził łamiącym go chrześcijanom ekskomuniką „z racji na permanentny związek z wrogami Kościoła”. Do muru dzielącego oba wyznania dokładano kolejne cegły: ekskomuniką obrzucano za obdarowywanie Żydów lub przyjmowanie od nich prezentów, za spożywanie wspólnych posiłków. Zwolennicy tych zakazów mogli się podierać nauczaniem choćby św. Ambrożego (IV w.), który przestrzegał: „nawet pogawędka stanowi [dla chrześcijanina] wielkie skażenie”.

Za tym wszystkim poszło odbieranie Żydom dostępnych innym praw: nie mogli sprawować urzędów ani szukać w sądach sprawiedliwości przeciw chrześcijanom. W XI-wiecznym zbiorze prawa kanonicznego Burcharda z Wormacji za większość przestępstw grozi siedem lat pokuty, za zabicie Żyda – 40 dni postu. W końcu Sobór Laterański IV każe Żydom znakować swoje stroje (musieli nosić spiczaste czapki, przyszywać do ubrania żółte kołka itp.). Jak podkreśla abp Ryś, „pogromy nie spadły na Europę jak grom z jasnego nieba – były raczej konsekwencją wcześniejszego podejścia izolacyjnego”.

Papież wydawał bulle zakazujące prześladowań, argumentując, że przecież Bóg zachowuje Żydów do zbawienia i że „choć

ich wiarołomność jest na wiele sposobów udokumentowana, to jednak – skoro przez nich nasza wiara jest dowodzona – nie powinni być przez wiernych ponad miarę uciemienieni”. Oddziaływanie bulli było jednak znikome: ich zapisy nie były wcielane w życie przez Kościoły lokalne.

Chrzest i stos

„Żydom należy głosić Słowo i trzeba to czynić z miłością” – stwierdził św. Augustyn. Wtórował mu papież Grzegorz Wielki: „Z pomocą Bożą [trzeba] przyprowadzić ich na łono matki Kościoła, wykazując to, czego nauczamy z ich ksiąg”. Z tego – wydawałoby się – niegroźnego podejścia wynikała trwająca wiele stuleci tragedia. Synod w Toledo z VII w. nakazał, by „nikt odtąd nie był siłą przymuszony do wierzenia. Albowiem Bóg komu chce, okazuje łaskę, a kogo chce, czyni ztwardziałym. (...) Trzeba wszakże, aby ci, którzy już wcześniej zostali przymuszeni do wiary chrześcijańskiej, zostali zmuszeni do zachowania wiary przyjętej pod wpływem siły lub konieczności”.

Te dwa zdania będą przewijały się w dokumentach kościelnych przez całe średniowiecze. Pierwsze wprawdzie zakazuje chrzczenia pod przymusem – ale powtarzanie tego zakazu świadczy przecież o tym, że powszechnie go łamano. Z drugim łączy się historia żydowskich konwertytów, których niejednokrotnie czekał los równie tragiczny jak Żydów. Nie ufały im społeczności lokalne. Na Półwyspie Iberyjskim doszło wręcz – zauważa abp Ryś – do wykształcenia się średniowiecznej odmiany rasizmu: pojawiło się tam pojęcie „czystości krwi”, która miała cechować jedynie chrześcijan z dziada pradziada. Pańskie pouczenia pełne cytatów z Pisma Świętego („w jednym Duchu zostaliśmy ochrzczeni”) trafiały w próżnię.

Przyjęcie chrześcijaństwa wydawało się rozsądną alternatywą wobec zagrożenia pozbawieniem praw, majątku, a nawet wygnaniem. Już w IX w. papież Leon VII radził: „jeśliby uwierzyć nie chcieli, to ich z waszych miast na mocy naszego autorytetu wypędźcie!”. Jak się okazało, chrzest nie gwarantował niczego, nawet podstawowego bezpieczeństwa. Konwertyci, obrzucani oskarżeniami o potajemne sprawowanie porzucanych kultów, ginęli w masakrach albo trafiali przed trybunały inkwizycyjne, a potem nierzadko na stos.

Przed trybunałem

Już w XIII w. papież postawił przed inkwizycją zadanie ścigania fałszywych „przechrztów”. Słynny (i znany z „Imienia Róży”) dominikański inkwizytor Bernard Gui pisał o tych, „którzy po tym, jak zostali nawróceni z wiarołomstwa Żydów do wiary Chrystusa, powrócili do wymiocin judaizmu”. Tragedii konwertytów nie byli w stanie zapobiec papież, zwłaszcza że w ich wystąpieniach brakowało konsekwencji. „W 1477 r. Sykstus IV zabronił jakiegokolwiek dyskryminacji konwertytów pod karą ekskomuniki, a niespełna 20 lat później Aleksander VI całą serią decyzji dotyczących wielu kościelnych podmiotów opowiedział się za czymś przeciwnym” – wskazuje abp Ryś.

Dodajmy, że ten niesławnej pamięci papież, chwalcąc Izabelę Katolicką i Ferdynanda Aragońskiego za wygnanie wszystkich Żydów z Hiszpanii w 1492 r., napisał: „nie zaprzestajecie i z ukrytych, wewnętrznych, wrogów [wiary] owe królestwa oczyszczać – [tych mianowicie], którzy pod imieniem chrześcijańskim oklamując Chrystusa, zakazają Lud Pański żydowską wiarołomnością i obrzydliwym zabobonem”. Chwalił też hiszpańską inkwizycję za ściganie „wiarołomnych” konwertytów. Czynił to dekadę po tym, jak jego poprzednik potwierdził przywileje Żydów hiszpańskich. Wszystko to nie przeszkadzało Borgii chronić „właśnych”, rzymskich Żydów.

Pięcioro dzieci młynarza

W lesie nieopodal angielskiego Norwiche w 1144 r. odnaleziono zwłoki zamordowanego 12-letniego Williama. Wkrótce potem pewien benedyktyn upowszechnił plotkę, że chłopca porwali Żydzi, torturowali, ukoronowali cierniem, po czym ukrzyżowali. To pierwsza pełna – pisze abp Ryś – średniowieczna opowieść o mordzie Żydów na chrześcijańskim dziecku. Podobne jej szybko zaczęły się mnożyć w całej Europie, przy czym wątki się zmieniały: początkowo chodziło o porwania i morderstwa, potem doszły oskarżenia o utaczanie ofiarom krwi do celów rytualnych, a pod koniec średniowiecza celem żydowskich złoczyńców – o czym wspominałem na początku – stały się konsekrowane hostie.

Za plotkami na ogół szły pogromy – np. w 1235 r. w Fuldzie spalono na stosie trzydziestu czterech Żydów, których

→ oskarżono o zamordowanie pięciorga dzieci młynarza. I znowu – na nic się zdały papieskie potępienia takich czynów. „Nie wolno oskarżać ich o to, że w swoich obrzędach używają ludzkiej krwi, skoro przecież już w Starym Testamencie zostało im przykazane, że nie tylko ludzkiej, ale żadnej krwi nie mogą używać” – pisał trzeźwo Innocenty IV. Papież, biskupi ani tacy kaznodzieje jak Bernard z Clairvaux nie byli też w stanie powstrzymać pogromów inspirowanych przez podążających do Ziemi Świętej krzyżowców.

Na kredyt u Żyda

Innym źródłem niechęci wobec Żydów były ekonomiczne sukcesy niektórych przedstawicieli ich społeczności. Dokumenty Soboru Laterańskiego IV głoszą: „Im bardziej religia chrześcijańska usiłuje powstrzymać praktykę lichwy, tym bardziej zawzięcie tę niegodziwość uprawiają Żydzi”. Sobór i papież uważali lichwę za godne pogardy narzędzie uciskania chrześcijan. Trochę szkoda, że autor nie poświęca temu zagadnieniu osobnego rozdziału. Lichwa była jednocześnie potępiana i niezbędna: gospodarka średniowieczna, tak jak i współczesna, potrzebowała zastrzyków finansowych. Ponieważ Biblia i kościelne kanony zakazywały pożyczania na procent, Kościół uznał, że mogą się tym parzyć Żydzi (na zasadzie, że przecież i tak zostaną potępieni). Dodajmy, że średniowieczny rynek kredytowy był okrutny: odsetki sięgały 60 proc.,

a dłużnik miał na spłatę np. trzy lata. W rezultacie pod zarząd Żydów przechodziły gospodarstwa, kamienice i inne majątki.

Z jednej więc strony Kościół, dopuszczając żydowską lichwę, wykonywał teologiczne salto mortale (pomińmy już fakt, że działalność kredytową z powodzeniem prowadziły choćby zakony rycerskie), z drugiej – kredyt „u Żyda” był instrumentem finansowym bardziej toksycznym niż dzisiejsze chwilówki z parabanków. Wszystko to, rzecz jasna, nie usprawiedliwia pogromów, niemniej – to słowa innego mediewisty, dominikanina Tomasza Gałuszki – „pomaga zrozumieć korzenie antysemityzmu, bo tak, jak dziś nikt chyba nie staje w obronie biednych, niesprawiedliwie krytykowanych dyrektorów banków, tak samo wtedy nikt nie bronił Żydów”.

Papieże i naziści

W ostatnim rozdziale abp Ryś wspomina o publikacji „The Holocaust and the Christian World” z 2000 r., która zestawia ustawodawstwo Kościoła i III Rzeszy. Kościół zabraniał małżeństw mieszanych, naziści wydali przepisy o czystości rasy. Kościół zakazywał Żydom wychodzenia z domów w święta chrześcijańskie, naziści zakazali im pojawiania się na ulicach w uroczystości partyjne i państwowe. Sobór Laterański IV nałożył Żydom żółte czapki, naziści kazali znakować ubrania gwiazdą Dawida. I tak dalej.

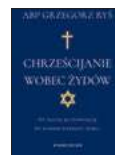
„Teologia niechęci do Żydów, zaczynająca się od zabrania im tytułu wybrania,

ta teologia, która oznaczała eliminację ze świata Żydów i odseparowywania od reszty chrześcijan, przygotowała grunt pod antysemityzm nowoczesny” – podkreślił podczas jednego z paneli na temat książki prof. Paweł Śpiewak.

Bo nie da się napisać historii relacji żydowsko-chrześcijańskich, nawet dotyczącej średniowiecza, ignorując pytanie o odpowiedzialność Kościoła za kształtowanie się antysemityzmu i – w końcu – za Holocaust. Abp Ryś zaznacza już we wstępie, że nie zamierza przekraczać granic średniowiecza, niemniej lektura jego książki nie pozwala pozostawać w „strefie komfortu”. „Antysemityzm nazistowski nie jest wytworem chrześcijańskim, ale chrześcijaństwo nie ochroniło Żydów przed działaniami zbrodniczymi” – mówi autor książki.

Do współczesnego dialogu z Żydami Kościół musi przystępować z pełną świadomością tego, że – uwięziony w teologicznych stereotypach, bezradny wobec wypaczeń religijności ludowej – przez prawie dwa tysiąclecia zawodził starszych braci w wierze. I że wielu jego świętych teologów i papieży posługiwało się językiem, który dziś określamy po prostu mianem mowy nienawiści.

© MACIEJ MÜLLER



Abp Grzegorz Ryś
CHRZEŚCJAŃSTWO WOBEC ŻYDÓW. OD JEZUSA PO INKWIZYJCĘ. XV WIEKÓW TRUDNYCH RELACJI
WAM, Kraków 2023

Weź oddech, żyj dobrze

Ostatnie lata zweryfikowały wiele słów z naszego języka. Niektórych musimy używać inaczej niż dotąd, bo inaczej myślimy i żyjemy. Na tej nowej ścieżce potrzebujemy przewodniczek i przewodników. W tym wydaniu specjalnym „Tygodnika Powszechnego” szukamy odpowiedzi na pytanie, jak wziąć oddech i żyć dobrze.

„Dobre życie” w promocji z wydaniem specjalnym „Moc kobiet” opisującym doświadczenie kobiecej wspólnoty i siostrzeństwa. Słoneczna torba w prezencie.

Zamów na zamowienia@tygodnikpowszechny.pl
z dopiskiem „Oddech”



WOJCIECH

Bonowicz: O świcie



KIEDY NIE WIEM, CO ROBIĆ, SIĘGAM PO WIER-
sze. Czytam, rozmyślam, czasem się dzielę.
Najczęściej tutaj.

Od kilku miesięcy moją stałą lekturą są „Collected Poems” Raymonda Carvera, które przysłała mi Alice Lyons. Do środka włożyła pocztówkę przedstawiającą stado owiec pasących się u podnóża góry Benbulbin w hrabstwie Sligo. „Mam nadzieję, że pokochasz tę książkę tak samo jak ja”, napisała. „Nawet okładka jest piękna”. Na okładce jest reprodukcja drzeworytu Ohary Kosona: wielki czarny kruk siedzący na gałęzi kwitnącej wiśni.

Więc czytam, to znaczy tłumaczę.

*Obudziłem się z plamą krwi
nad okiem. Zadrapanie
prawie na pół czoła. A przecież
ostatnio sypiam sam.
Dlaczego u licha człowiek miałby podnosić rękę
na siebie, nawet podczas snu?
Na to i podobne pytania
próbuję odpowiedzieć tego ranka.
Kiedy przyglądam się swojej twarzy w oknie.*

Carver nie zawsze jest tak zwięzły. Ale ja najbardziej lubię te jego małe obrazki, w których opisuje jedno drobne zdarzenie albo jedną myśl, która zjawiała się z tego czy innego powodu. Zwięzłość sprawia, że to, co wydaje się oczywiste, zaczyna prowokować do kolejnych interpretacji. Skąd ta plama? Skąd to zadrapanie? Znak na czole kojarzy się z piętnem Kaina. Czyżby we śnie stało się coś niezwykłego? Ale przecież sypiam sam, mówi podmiot. Nie było w nocy żadnej awantury, żadnego szamotania się. Dlaczego więc podniosłem rękę sam na siebie? Zauważmy, że wiersz wspomina o innych „podobnych pytaniach”

– ale poznajemy tylko to jedno. I jeszcze zakończenie. Bohater wiersza widzi swoją twarz odbitą nie w lustrze, lecz w oknie. Zadrapanie jest więc poniekąd czymś, co zjawia się między nim a zewnętrznym światem. To również odsyła do Kaina, którego piętno miało chronić przed niebezpieczeństwem. Ale scena może mieć też inny sens: człowiek staje naprzeciwko świata z jakąś raną, skaleczeniem, rysą nieznanego pochodzenia. Patrząc na świat, nie może jednocześnie zapomnieć o tej ranie, którą być może sam sobie zadał.

W wierszach Carvera odbija się jego dramatyczne życie: alkoholizm, zniszczone, nieudane związki, relacje, których nie umiał uratować. Notuje też momenty zachwyty, ulgi, uspokojenia. Ten konfesyjny, rozrachunkowy wymiar jego twórczości byłby nużący, gdyby nie wspomniana lakoniczność. Carver lubi proste, zdecydowane zdania. Można niemal poczuć ten moment, w którym szybko notuje to, co przyszło mu do głowy.

Z tego powodu lubię np. jego wiersz zatytułowany „Deszcz”. Sceneria jest właściwie ta sama: łóżko, okno, poranek. I bohater, który nie wie jeszcze, co zrobić z rozpoczętym dniem.

*Obudziłem się dziś rano z silną
pokusą, by ten dzień spędzić w łóżku
i czytać. Przez chwilę zmagalem się z tą myślą.*

*Potem spojrzałem przez okno na deszcz.
I poddałem się. Oddałem się całkowicie
w ręce tego deszczowego poranka.*

*Czy chciałbym przeżyć swoje życie raz jeszcze?
Popęłnić te same niewybaczalne błędy?
Tak, gdyby istniał choć cień szansy. Tak.*

Nie napisałem do Alice przez kilka miesięcy. A kiedy w końcu wysłałem maila z przeprosinami, nie ma odpowiedzi. Lubię ten wiersz Carvera, bo lepiej niż inne godzi mnie z życiem takim, jakie jest, a nie takim, jakie mogłoby być. Ci, którzy posiadli umiejętność godzenia się z tym, co ich spotyka, na ogół niechętnie o tym mówią.

Sięgam po wiersze wtedy, kiedy nie wiem, co robić. To znaczy – codziennie. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ
CZAS!

- **LUBLIN**, czwartek 23 lutego, wieczór autorski Wojciecha Bonowicza, „O rzeczach wielkich i małych” /stacjonarne/
- **LUBLIN**, piątek 24 lutego, spotkanie z prof. Andrzejem Friszkiem, „Życie historii” /stacjonarne/
- **BIELSKO-BIAŁA**, sobota 25 lutego, spotkanie z Barbarą Niedzwiedzka, „Wiara – Kościół – ekologia” /stacjonarne/

- **KATOWICE**, poniedziałek 27 lutego, Projekcja filmu „Nowicjusz” wraz z dyskusją i spotkaniem z reżyserem, o. Łukaszem Wosiem /stacjonarne/
- **ZIELONA GÓRA**, środa 1 marca, spotkanie z ks. diakonem Dominikiem Szczepańskim „Czy inny katolicyzm jest możliwy?” /stacjonarne/

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



KLUBTYGODNIKA.PL

STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZAwięcej informacji
na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

WIECZNE PIÓRA

Większe, o długości 15,5 cm, robiono dla panów.
Damskie miały 12,5 cm. To, które Janina miała przy sobie
12 sierpnia 1944 r., pasuje do kobiecej dłoni.
Po prawie 80 latach właśnie wróciło do rodziny.

EWELINA KARPIŃSKA-MOREK

JANINA KESLER MIAŁA DWA WIECZNE pióra. W kieszeni lub w torebce. Nie wiadomo dokładnie gdzie, bo było lato, niemal połowa sierpnia. Może w kieszeniach zwiewnej szmizjerki, może w jakiejś lekkiej narzutce czy przewiewnym sweterku. Pióra były zgrabne, niewielkich rozmiarów. Jedno w odcieniach szarości i beżu, drugie – kolorowe, marmurkowe.

Tego dnia Janka nie miała przy sobie nic więcej. W przeciwieństwie do młodszych sióstr – Zosi i Irki.

Urodziny

4 sierpnia 1944 r., a był to piątek, Zofia Kesler obchodziła swoje 38. urodziny. Dzień później na Woli – dzielnicy Warszawy, w której Zosia się urodziła i mieszkała – zaczynała się właśnie rzeź, odwet na mieszkańcach za rozpoczęcie powstania. Eksterminacją ludności dowodził SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth – wówczas 41-letni gnieźnianin, adwokat i notariusz, syn pruskiego sędziego, mąż Heidi, ojciec 11-letniego Petera i 8-letniej Inge.

Jego oddziały, wcielone do Korpsgruppe von dem Bach – nazwanej tak, bo dowodził nią gen. Erich von dem Bach-Zelewski – miały odegrać istotną rolę w stłumieniu powstania i zrównaniu stolicy z ziemią. Wczesnym rankiem 5 sierpnia odbyła się odprawa, podczas której omówiono plan unicestwienia miasta. Szturm

na Wolę rozpoczął się o siódmej rano. Był to początek „czarnej soboty”.

Zabijano bez opamiętania, bez planu, chaotycznie. Cywile ginęli wszędzie. Tak wyglądała pierwsza połowa dnia. Druga była już masakrą zorganizowaną. Mordowanie mieszkańców Warszawy na ulicach, w domach, piwnicach zmieniono na równie bestialskie mordowanie w wyznaczonych miejscach egzekucji. Ludzi spędzano do fabryk, na dziedzińce kamienic, tereny wokół kościołów.

Najwięcej, bo około 7 tysięcy osób, zamordowano właśnie tego dnia na terenie Zakładów Mechanicznych Ursus (ul. Wolska 55). Około 5 tysięcy naprzeciwko garbarni Pfeiffera, 4,5 tysiąca w rejonie Górczewskiej i Moczydła, około 5 tysięcy w fabryce Franaszka, około 3 tysięcy osób w Domu Zakonnicy i Domach Kolonii Wawelberga, 2 tysiące w domach Hankiewiczza, 2 tysiące w fabryce Kirchmajera i Marczewskiego, 1500 w parku Sowińskiego. Ta lista miejsc jest długa. Gdzieś przy jej końcu jest sierociniec przy parafii prawosławnej św. Jana Klimaka, w którym wymordowano personel wraz z dziećmi.

Instalacja

Widzę Warszawę z lotu ptaka. Tak jak widzieli ją Niemcy latający nad miastem w czasie powstania warszawskiego i po jego upadku. Bo to ich zdjęcia lotnicze, znajdujące się w zasobach The National



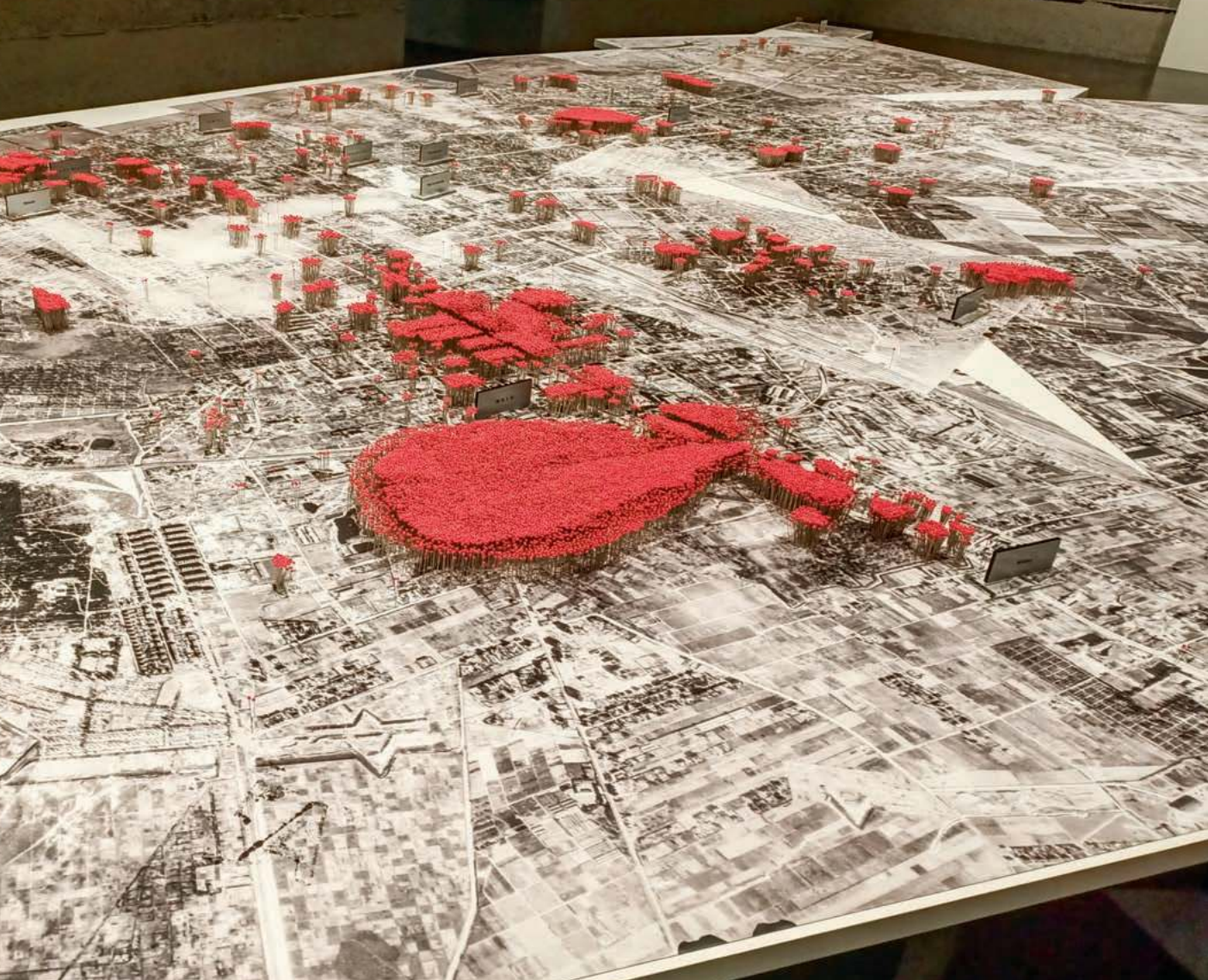
Archives w College Park pod Waszyngtonem, zostały opracowane przez Zygmunta Walkowskiego na potrzeby ekspozycji „Śmierć miasta” w Izbie Pamięci przy Cmentarzu Powstańców Warszawy.

Gdy patrzy się na tę makietę z pewnego oddalenia, widać na niej trójwymiarowe czerwone obszary. Jest ich wiele. Wystarczy podejść bliżej, by zmieniły się w „lasy”. To tysiące szpilek z czerwonymi główkami, powbijanych w tkanę miasta. Tak oznaczono poświadczane w źródłach historycznych miejsca egzekucji oraz prowizorycznych grobów ludności cywilnej i powstańców.

Instalacja pokazuje skalę zbrodni. Największa plama znajduje się na Woli.

W kieszeni

Co nosi się w kieszeni, gdy jest wojna? Co chce się mieć przy sobie w chwili, gdy niebo może zaraz runąć na głowę? Co wtedy ściska się w dłoni?



EWELINA KARPÍŃSKA-MOREK

Instalacja „Śmierć miasta” w Izbie Pamięci przy Cmentarzu Powstańców Warszawy, styczeń 2023 r.

12 sierpnia, gdy trwa zmasowany atak na Stare Miasto, Janina ma przy sobie dwa kolorowe pióra wieczne. Jedna z jej młodszych sióstr – Zofia – medalik na łańcuszku i różaniec. Najmłodsza Irka ma najwięcej, bo różaniec, medalik i jeszcze elegancki zegarek kieszonkowy – z miśternie zrobionymi, niemal koronkowymi wskazówkami.

Różańce różnią się nieznacznie, żeby to stwierdzić, trzeba im się dokładnie przyjrzeć – mają inne złobienia na paciorkach. Stan na dziś: widoczne ślady użytkownika, rdza.

Tego dnia, gdy siostry Kesler – 44-letnia Jasia, 38-letnia Zosia i 35-letnia Irka – zostają zatrzymane przez Gestapo, do niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz dociera pierwszy transport warszawiaków zatrzymanych po wybuchu powstania i przewiezionych najpierw do obozu przejściowego w Pruszkowie.

Jest bardzo prawdopodobne, że na jakiś czas trafiają tam także siostry Kesler. Później zostają wywiezione do kobiecego obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Są razem, wiemy to na pewno. Pierwsza w ewidencji więźniów pojawia się najmłodsza Irena – od teraz numer 56568. Później Zosia i Janka, czyli kolejno 56569 i 56570.

Porządek

W obozie Niemcy zabierają to, co kobiety mają przy sobie. Ostatnie ślady normalnego życia. Wraz z utratą tożsamości i godności zostają pozbawione własności. I gdy one trafiają do baraków, ich rzeczy osobiste trafiają do kopert, a te do depozytu. Wszystkie dokładnie opisane, by było wiadomo, komu je zabrano.

Ułożone równo, pewnie i tam – jedna obok drugiej. W rzędzie innych przedmiotów należących do więźniów. W no-

menklaturze te rzeczy to *Effekten* (staroniemieckie określenie bagażu podróżnego).

Czy wyraz „szaleństwo” wystarczy, by odpowiednio nazwać kontrast między traktowaniem ludzkiego życia a rzeczy materialnych? A może lepiej, z gorzką ironią, uznać to za „porządek”? Bo jak inaczej zrozumieć fakt, że wojnę przetrwały rzeczy osobiste więźniów – depozyty, które przewożono z miejsca na miejsce, podczas gdy więźnia w koszmarnych warunkach gnano z jednego obozu do drugiego?

Kiedy zbliżał się koniec wojny, Niemcy próbowali niszczyć dokumenty, zacierać ślady zbrodni. Z dzisiejszej perspektywy decyzja szefa administracji obozowej KL Neuengamme Christopha-Heinza Gehringa, który zlecił swojemu podwładnemu Franzowi Wulfowi znalezienie kryjówek na zrabowane mienie, wydaje się naiwna. Wulf ukrył bowiem rzeczy →

→ więźniów w swojej rodzinnej miejscowości Lunden, w kregielni pubu.

Aliantom bardzo szybko udało się odkryć to miejsce, a odzyskane depozyty przekazać instytucjom w celu odnalezienia właścicieli lub ich krewnych. Wiele z tych przedmiotów zostało zwróconych, ale 2,5 tys. takich kopert z mieniem byłych więźniów wciąż czeka w archiwum [patrz ramka – red.]. Wśród nich do niedawna były pióra Janiny, różańce, medaliki i zegarek jej młodszych sióstr – kobiet wyszarpanych z umierającego miasta.

Zobaczyć siostry

Gdy Małgorzata Przybyła z Wydziału Poszukiwań Arolsen Archives, Międzynarodowego Centrum Badania Zbrodni Nazistowskich, zaczyna szukać rodziny sióstr Kesler, wie, że dwie z nich – Irka i Zosia – przeżyły wojnę. Obie wyszły za mąż. Nie wiadomo jednak, co stało się z Janiną, która w chwili zatrzymania miała przy sobie dwa pióra.

Prowadzone w ramach kampanii #StolenMemory poszukiwania doprowadzają

ją do drzewa genealogicznego, w którym pojawia się Zofia Kesler. I tak po nitce do kłębka – dociera do Ewy Szymańczak, której babcia była siostrą mamy Janiny, Ireny i Zofii. Pani Ewa jest zaskoczona, że takie rzeczy, zabrane w czasie wojny, jeszcze istnieją.

17 stycznia w Izbie Pamięci przy Cmentarzu Powstańców Warszawy na Woli Ewa Szymańczak bierze po raz pierwszy



w swoje ręce rzeczy ukochanych cioci. Przywozi też rodzinne fotografie. Siostry Kesler, zamienione w numery najpierw w obozie Ravensbrück, a następnie podobozie KL Neuengamme, zaczynają „wracać”. Powoli wyłaniają się z pojedynczych informacji.

Na jednej z rodzinnych fotografii Zosia i Irka pozują do zdjęcia z misiem. Mają na sobie eleganckie sukienki w kratę.

Kamienica

– Po wojnie ciocie Zosia i Irka mieszkają przy Wolskiej 151, na wprost kościoła św. Wawrzyńca. Były bardzo przyjazne, ciepłe i rodzinne. Nie wiem, dlaczego

żadna nie miała dzieci... Wyszły za mąż za wdowców. Ciocia Irka miała przyszywanego, dorosłego już syna. A ten syn też miał syna, z którym ja się bawiłam, kiedy nas ciocia Irka gościła – wspomina Ewa Szymańczak.

I dalej: – Ciocia Zosia, nawet gdy byłam już w liceum, przychodziła do nas, opiekowała się nami i zajmowała domem. Nie miała dobrego zdrowia: utykała, obie miały problemy z sercem. Ale to była niezwykła osoba. Bardzo ładnie szyła. A ciocia Irka pracowała w Skali. Ta Skala była na tyłach budynku przy Wolskiej 151. Ciocia pracowała tam jako brakarka.

Wolska 151, gdzie mieszkała rodzina pani Ewy, to znany adres w przedwojennej Warszawie. Mieściła się tam wtedy słynna fabryka rowerów Adama Kamińskiego. Tych, które w 1939 r. przystosowano na potrzeby wojska i wojsku przekazano.

Rodzice pani Ewy, a także jej dziadkowie ze strony taty oraz ciocie Zosia i Irka, znali się z Kamińskimi. Wszystkich po 1945 r. łączyła ta jedna kamienica – miejsce, w którym podczas rzezi Woli Niemcy zamordowali prawie 400 osób. Wśród zastrzelonych był 8-letni brat pani Ewy i cioteczna siostra, wtedy nastolatka, która akurat przyszła w odwiedziny. Z całej kamienicy uratowały się tylko dwie osoby – mama pani Ewy i jakiś mężczyzna. Taty wtedy nie było w domu – brał udział w powstaniu.

Jasia

Tylko na jednym ze zdjęć jest Jasia. Co się stało z Jasią? Nie ma tego w dokumentach, które zachowały się w archiwum.

Okazuje się, że zginęła w Ravensbrück. Jako przyczynę śmierci podano tyfus – dowiadujemy się od odnalezionej krewniej.

– Jasia, Zosia i Irka miały jeszcze jedną siostrę, która zmarła w wieku piętnastu lat. I miały jeszcze brata – dodaje pani Ewa. – Był w wojsku i mieszkał gdzieś na wschodzie. Jak zachorował na tyfus, to jego mama pojechała się z nim zobaczyć. On się wyleczył, natomiast ona zmarła. Ciocie, wtedy młode dziewczyny, zostały zupełnie same. Już przed wojną miały ciężkie życie – mówi pani Ewa.

Ciocia Zosia jest pochowana na Cmentarzu Powstańców Warszawy, a ciocia Irka na Bródnie.

Jak szukać bliskich

W ZNAJDUJĄCYM SIĘ w Bad Arolsen w Niemczech archiwum przechowywanych jest 30 mln dokumentów dotyczących ofiar niemieckich nazistowskich prześladowań. Założone początkowo przez aliantów jako Międzynarodowa Służba Poszukiwań, archiwum gromadziło dokumenty świadczące o prześladowaniach

oraz umożliwiające odnalezienie się krewnym rozdzielonym wojną. Na siedzibę Międzynarodowej Służby Poszukiwań wybrano tę miejscowość, ponieważ leżała na styku trzech ówczesnych stref okupacyjnych, była doskonale skomunikowana i posiadała sprawnie działającą linię telefoniczną. Zbiory archiwum, które dziś funkcjonuje pod nazwą Arolsen Archives, są regularnie digitalizowane. Większość materiałów jest już dostępna online. Każdy zainteresowany sprawdzeniem losów bli-

skiej osoby może wysłać specjalny wniosek przez internet, a pracownicy Wydziału Poszukiwań zrealizują bezpłatną kwerendę i skany zachowanych dokumentów prześlą mailem. Rocznie do Arolsen Archives dociera 20 tys. wniosków poszukiwawczych. Poniżej link do formularza, który można przesłać do archiwum, by sprawdzić dokumenty na temat swoich bliskich:

<https://arolsen-archives.org/pl/wyszukiwanie-nawigacja/tania/pastwa-zapytanie>

© EKM



Od lewej: Ewa Szymańczak pokazuje fotografie z rodzinnego archiwum; Irena i Zofia Kesler

Skarb

– Jakie najcenniejsze depozyty znajdują się w Arolsen Archives? – pyta jeden z uczniów ósmej klasy szkoły w Słomnikach podczas lekcji, na której opowiadałam o prowadzonych w ramach kampanii #StolenMemory poszukiwaniach.

– Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, bo one w większości nie mają wartości materialnej, natomiast mają niezwykłą wartość emocjonalną dla rodzin, które je odzyskują – odpowiadam. To taki bardzo symboliczny powrót do domu. Nagle w naszym życiu pojawia się – za pośrednictwem przedmiotu, z którego istnienia nie zdawaliśmy sobie sprawy – ktoś bardzo nam bliski. Zaczynamy go widzieć lub staramy się go sobie wyobrazić. Wertujemy rodzinne albumy, zaczynamy się tym interesować. I to jest ta największa wartość – pamięć.

Kawuska

Po styczniowym spotkaniu na Woli, gdzie doszło do oficjalnego przekazania pamiątek, dzwoni Janusz Dziano, pasjonat historii Warszawy, a zwłaszcza tej jednej dzielnicy. Podejrzewa, że jedno z piór Janiny jest niezwy-



ARCHIWUM RODZINNE EWY SZYMAŃCZAK

kle cenne, ale musi to jeszcze sprawdzić. Po kilku godzinach okazuje się, że to kolekcjonerski rarytas – pióro marki Kawuska.

– Kawuska była pierwszą polską firmą podejmującą produkcję wiecznych piór. Powstała w 1895 r. w Warszawie na Woli, przy ul. Płockiej 29. Założył ją Konrad Wasilewski. A tak wyglądające pióro mogło wyjść tylko z tej fabryki – zaznacza Janusz Dziano, który od lat interesuje się historią Kawuski i zna szatę graficzną piór oraz rozmaite modele. Z pasją opowiada historię rozwoju przedsiębiorstwa. Zwraca uwagę na fakt, że pióro Janiny nie ma stalówki. Ponieważ była wy-

konana z czternastokaratowego złota z końcówką z irydu, jest możliwe, że szybko znalazła swojego amatora w obozie – sugeruje.

Za pióra Kawuski, te z górnej półki i sprzedawane w zestawach, trzeba było przed wojną zapłacić nawet 48 zł (obecnie równowartość 400-500 zł). Pióro z depozytu jest właśnie tym z górnej półki, o czym świadczą trzy złote paski.

Kawuska, która początkowo produkowała mniejsze elementy wyposażenia biurowego, zaczęła się błyskawicznie rozwijać. Wasilewski postawił na eksport na wschód. Podbił serca mieszkańców carskiej Rosji. Zamożni ludzie z Moskwy, Odessy czy Władywostoku pisali właśnie eleganckimi kawuskami.

Do kobiecej dłoni

– O bardzo wysokiej jakości tych piór świadczył fakt, że firma na wszystkie swoje wyroby dawała aż 25 lat gwarancji. Najbardziej skomplikowana i pracochłonna była produkcja stalówek. Zwiększenie precyzji wykonania uzyskiwano dzięki coraz lepszym i nowocześniejszym urządzeniom. Jednak wykończenie należało do wysoko wykwalifikowanych rzemieślników. Każda stalówka po wykonaniu była poddawana testom – podkreśla Janusz Dziano.

Pióra miały też różne rozmiary. Większe, o długości ok. 15,5 cm, były robione dla panów. Damskie miały ok. 12,5 cm długości.

Pióro, które Janina miała przy sobie 12 sierpnia 1944 r., tyle właśnie ma. Pasuje idealnie do kobiecej dłoni. Dziś do dłoni pani Ewy. Jest zgrabne. I wieczne.

© EWELINA KARPİŃSKA-MOREK



Na poprzedniej stronie: różnianie Zofii Kesler.

Pióra wieczne Janiny Kesler, które trafiły do depozytu.

TIM HUNT / B&W // MYN / BRETT LEWIS / B&W //
TIM HUNT / B&W // PAUL VAN HOOF / B&W

STWORY Z WYSPY WĘŻOWEJ

W mitologii naszych wschodnich sąsiadów odgrywały rolę opiekunów rodzin.
Łatwo je spotkać w całej Europie, mogą być sojusznikami człowieka w walce ze szkodnikami.
Co warto wiedzieć o zaskrońcach?

MARTA PANAS-GOWORSKA ANDRZEJ GOWORSKI

DLA STAROŻYTNYCH BYŁA TO WYSPA Achillesa lub Bohaterów, bo miał na niej się znajdować grób herosa z wojny trojańskiej. Na dawnych mapach pojawia się też jako Biała (Leuke). Nie jest specjalnie lubiana przez faunę – większość stworzeń ją omija, choć w okolicy występuje kilkadziesiąt gatunków ryb i krabów, którymi można by się najeść.

Jeszcze rok temu o tym skrawku ukraińskiej ziemi na Morzu Czarnym wiedziało niewiele. Dopiero po rosyjskiej inwazji Wyspa Wężowa trafiła na usta wszystkich.

Plama za uszami

Autorem bodaj najwcześniejszych relacji o obecności w tym miejscu gadów, od których wyspa wzięła swą dzisiejszą nazwę, był aleksandryczyk Dionizjos Periegeta. W II w. pisał on, że ziemię tę nazywa się Leuke, „ponieważ węże są tam białe”.

Jeszcze w połowie XX w. mieszkający na niej zaskrońce (*Natrix natrix*), ale jeśli dziś natknęlibyśmy się na jakiegoś, trzeba by założyć, że przyplął z lądu, niesiony nurtem Dunaju, który uchodzi do morza ok. 30 km od wyspy. Zaskrońce nie są węzami morskimi (*Hydrophiidae*), jednak potrafią pływać i nurkować nawet do pół godziny bez wylania się na powierzchnię.

Nazwa tych węży wywodzi się od tego, co gad ma – jak byśmy to antropomorficznie określili – za skroniami; w niektórych krajach mówi się raczej o uszach, których formalnie nie posiada. W różnych językach spotkamy też określenia „wąż zwyczajny” lub „pospolity”, pojawiają się także nazwy nawiązujące do środowiska ich życia (ang. *grass snake* to „wąż żyjący w trawie”, ale ten sam gatunek bywa w tym języku nazywany także „węzem wodnym” – *water snake*). Gady te mają sporą grupkę krewniaków (podrodzina zaskrońcowatych), których wyróżnikiem są ostrzegawcze – żółte, pomarańczowe, czasem białe – plamy. Rzucają się one w oczy, dlatego ich posiadacz jest po-

tencjalnie narażony na ataki wrogów. Nie są jednak wyłącznie obciążeniem – ich główną funkcją jest zmylenie agresora. W świecie zwierząt takie jaskrawe barwy często sygnalizują toksyczność.

Jeśli więc wyobraźmy sobie zielonkawę czy zielono-szare, obłe i wijące się wężowe ciało, wybijającym się akcentem będzie jedynie ów „zauszny” kołnierz. Najbardziej jaskrawy jest on u najmłodszych, czyli najbardziej bezbronnych osobników. Szwedzki badacz gadów Thomas Madsen w latach 80. XX w. przeprowadził eksperyment, w którym umieścił w trawie modele sztucznych węży. Połowa z nich miała jaskrawe plamy, druga była wybarwiona na ciemno. Okazało się, że kolorowe okazy były znacznie rzadziej atakowane przez drapieżne ptaki, które – jak skonstatował Madsen – prawdopodobnie interpretowały kolorowe węże jako niesmaczne. W toku ewolucji wyróżniające się jaskrawymi barwami węże mogły zyskiwać na tym, że ubarwieniem przypominały niejadalne gatunki owadów.

Zalety bycia czarnym

Kolor tych węży zależy od ilości melaniny w ich skórze. Im jest jej więcej, tym ciemniejsze ciało. Co ciekawe, ciemniejsze osobniki (a więc mające więcej melaniny) na ogół są także większe. To sugeruje, że ubarwienie musi przekładać się na ich vitalność. Ten efekt jest bardziej widoczny u samic niż u samców, w myśl zasady sformułowanej przez Andersa Forsmana i Luccę Luisellego. Głosi ona, że w tej grupie zwierząt płęć, która ponosi większe koszty reprodukcji (to samice więcej zasobów energetycznych inwestują w wyprodukowanie jaja), powinna odnosić większe korzyści z bycia czarnym, a co za tym idzie, ciemniejsze osobniki powinny osiągać jeszcze większe rozmiary w porównaniu z tymi o jaśniejszym ubarwieniu. Dlatego odsetek ciemnych osobników w populacji także powinien być większy niż u drugiej płci, nieponoszącej tak dużych kosztów reprodukcji.

Na czym mogą polegać korzyści z ciemnej kolorystyki (i dużej ilości melaniny)? Choć nie poznano jeszcze wszystkich potencjalnych atutów zaskrońców, biolodzy sugerują, że wysoka zawartość melaniny w skórze może wiązać się m.in. z większą odpornością na promieniowanie UV, lepszą termoregulacją, większą ciepłotą ciała (co jest ważne dla zwierząt

zmiennocieplnych), a także z większym stężeniem hormonów płciowych. Inną ciekawą funkcją ciemnego wybarwienia może być lepsza ochrona przed patogenami. Jak przekonywali w 2001 r. Alexandre Roulin z Uniwersytetu w Bernie i współpracownicy, omawiane węże nie są wyjątkami. Podobne zjawisko obserwuje się u innych jajorodnych, np. niektórych sów.

O ile zwłaszcza ciemniejsze zaskrońce są w stanie poradzić sobie z niechcianymi pasożytami, o tyle same stanowią zrzęcną i pojemny transportowiec dla groźnych dla człowieka pasażerów na gapę, takich jak *Salmonella*. Za nieprzyjemne biegunki, wymioty czy bóle brzucha wywołane przez pałeczki tej bakterii w okresie wakacyjnym obwiniamy najczęściej lody, ciasta czy kremy, do przygotowania których użyto nieprzebadanych jaj. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że za część z tych zakażeń mogą odpowiadać gady. Najbardziej narażone na infekcje są dzieci, kobiety w ciąży i osoby starsze.

Zarażenie tzw. RAS, czyli gadzią salmonellą, czy też REPAS, a więc salmonellą związaną z gadami i egzotycznymi zwierzętami, może być groźne dla zdrowia i życia. Nosicielami tych bakterii jest znaczna część gadów hodowanych w celach kolekcjonerskich. Występują one jednak także u zwierząt żyjących na wolności. Ten wątek podjęli m.in. polscy naukowcy pod kierunkiem Mariusza Cichonia z Instytutu Nauk o Środowisku UJ i Gabrieli Bugli-Płoskońskiej z Uniwersytetu Wrocławskiego, którzy przeprowadzili badania wyselekcjonowanych zaskrońców z okolic Krakowa i Puszczy Białowieskiej – a właściwie ich odchodów. Obok bakterii *Salmonella*, u przeszło 20 proc. osobników znaleziono trzy inne bakterie potencjalnie niebezpieczne dla człowieka (*Aeromonas hydrophila*, *Proteus vulgaris* i *Morganella morganii*), a u mniejszego odsetka jeszcze kilkanaście kolejnych.

Zaskrońce mają więc znaczenie epidemiologiczne, choć nie ma powodu do paniki – te niejadowite węże są dla nas bezpieczne, jeśli będziemy pamiętać o stosowaniu się do zasad higieny i zdrowego rozsądku. Natomiast poważnym zagrożeniem dla tych węży – poza naturalnymi agresorami, jak bociany – są ludzie. Co kilka lat wzbiera zaskrońcofobia – np. na miejskich ogródkach działkowych dochodzi do

→ samosądów nad tymi pozostającymi pod ochroną zwierzętami.

Samice mają trudniej

Postępujące ocieplenie klimatu przekłada się na zmianę wielkości zaskrońców, które stają się mniejsze, bo zbyt wysoka temperatura ciała może być dla zmiennocieplnych zwierząt niebezpieczna. I choć kilka lat temu media obiegało zdjęcie z Ukrainy przedstawiające prawie dwupółmetrowy okaz zaskrońca, to w dzisiejszych czasach będzie to raczej ewenement.

Stanisław Bury z Instytutu Zoologii i Badań Biomedycznych UJ, który także uczestniczył we wcześniej wspomnianych badaniach zaskrońców spod Krakowa, po innej publikacji tłumaczył agencji PAP, że „mały rozmiar ciała pozwala łatwiej i szybciej pozbyć się nadmiaru ciepła z organizmu”. Dlatego, jak dodał, może „być korzystny w zmieniających się warunkach środowiska”. Badacze zauważyli także, że w ciągu ostatnich 40 lat spadł odsetek samic zaskrońców w populacji. Obecnie jest ich tyle samo co samców, wcześniej to one licznie przeważały. Prawdopodobnym powodem znów jest wyższy koszt życia i reprodukcji, jaki ponoszą samice w porównaniu z samcami. Nie bez wpływu na populację pozostaje malejąca liczba płazów. M.in. pod kołami samochodów ginie ogromna liczba żab, naturalnego przysmaku zaskrońców, i tym samym grozi im śmierć z braku pożywienia.

Czy zatem rozwiązaniem problemu zmniejszającej się populacji tych gadów byłoby zaproszenie ich do naszych ogrodów? To wbrew pozorom sprawdzony sposób walki z różnymi szkodnikami – od gryzoni po ślimaki – zwłaszcza u naszych sąsiadów z Ukrainy i Białorusi.

Goszczenie tych niejadowitych gadów może mieć i inną, choć nieudowodnioną empirycznie zaletę. Wiadomo, że węże w Azji kojarzone są ze szczęściem, mniej mówi się za to o węzowej mitologii bliższych nam krajów bałtyckich. Na Litwie archeolodzy wciąż odnajdują artefakty związane z kultem węży (ofiolaria). Te najstarsze, z epoki kamienia, były najczęściej bezgłowe, z czasem zyskiwały głowę,

a nawet symboliczne dwa łby i rozdzielone paszcze. Wciąż jednak pozostawały stworzeniami przychylnymi człowiekowi, zwłaszcza dzieciom, i dopiero wraz z ekspansją chrześcijaństwa oraz starotestamentowych przypowieści stały się rozsiewającą grzech *persona non grata*. Ale w pierwotnych tradycjach właśnie zaskrońców, na Litwie znany jako *žaltys*, przybierał niekiedy postać pięknego młodzieńca i na nieboskłonie opiekował się Matką Słońcem. Innym znów razem goszczony był miseczką mleka, stawianą często i pod małżeńskim łóżem, by przynieść domostwu i rodzinie powodzenie.

Zainspirowany litewskim folklorem Mickiewicz wplótł ten motyw do poematu „Grażyna”:

A przecież, jeśli do domowych progów / Wąż zaproszony gościem od człowieka, / Jeśli dla chwały nieśmiertelnych bogów / Litwin mu chleba nie skąpi i mleka, / Wtenczas gad swojski pełźnie w jego ręce, / Społem wieczerza, z jednych kubków pija / I nieraz senne piersi niemowlęce / Mosiężnym wiankiem bez szkody obwija.

Czy ten niezrozumiały w czasach szkolnych fragment nie nabral ostatecznie racjonalnego znaczenia?

Zbrodnia i kara

Po 1948 r. Związek Sowiecki przejął od Rumunii Wyspę Wężową i rozpoczął tu przebudowę infrastruktury. Wtedy też wybito ostatecznie zaskrońce, które na niej żyły. A przecież litewska mitologia ostrzegała, że jeśli ktoś targnie się na życie tego gada, skazany będzie na nieszczęście. Przy czym węże symbolizowały tam sprawiedliwość i zanim wydały wyrok, starannie ważyły winy. Jeśli oskarżony był niewinny, gady potrafiły wylać zatrute mleko. Jeśli natomiast potwierdzała się krzywda, to ginał nie tylko złoczyńca, ale też wszyscy jego krewni.

I oto nastał rok 2022, Rosja dokonała pełnoskalowej inwazji na Ukrainę, której jednym z symboli stało się najpierw ostrzelanie Wyspy Wężowej przez krążownik „Moskwa”, a później zatonięcie tej jednostki. Czy nie wpisuje się to w prastarą przypowieść o zaskrońcu?

© MARTA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI

Kiedy zaczęła się epoka kamienia

ŁUKASZ KWIATEK

Nowe odkrycia przekonują, że wytwarzanie narzędzi jest starsze niż człowiek. A to komplikuje obraz naszej ewolucji.

BY OPOWIEDZIEĆ O POCZĄTKACH RODZAJU ludzkiego, musimy się cofnąć do... roku 1964. Louis Leakey ze współpracownikami opisują wtedy w „Nature” znalezione w Wąwozie Olduwaj w Tanzanii skamieniałości i nadaje im nową nazwę gatunkową *Homo habilis* (człowiek zręczny). W tej okolicy rodzina Leakeyów rozpoczęła wykopaliska wiele lat wcześniej (żona Louisa – Mary Douglas Leakey, a także ich syn Richard wraz z żoną Meave G. Leakey i ich córką Louise Leakey, księżną de Merode, również zapisali się w historii paleoantropologii), a ich poprzednie prace zaowocowały m.in. odkryciem prostych kamiennych narzędzi (sprzed niespełna dwóch milionów lat), uznawanych wtedy za najstarsze na świecie. Louis Leakey nazwał te wyroby kulturą olduwajską, a gdy później trafił na wspomniane skamieniałości nieco bardziej przypominające ludzi niż małpy, uznał, że to właśnie *Homo habilis* musiał być pierwszym rzemieślnikiem epoki kamienia. Tak ugruntował się pogląd, iż to, co odróżnia człowieka od innych stworzeń, to właśnie zdolność do wytwarzania narzędzi.

W następnych dekadach XX w. odkryto więcej skamieniałości *Homo habilis* i przykładów narzędzi olduwajskich. Te znaleziska przesunęły granicę powstania naszego rodzaju i początku epoki kamienia o kilkaset tysięcy lat wstecz – do ok.



DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

Paranthropus – rekonstrukcja w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie.

2,4-2,6 mln lat temu. Ustalono także, że bardziej zaawansowane narzędzia – tzw. kultury aszelskiej – pojawiają się w zapisie archeologicznym ok. 1,8 mln lat temu (przez pewien czas równolegle występują narzędzia aszelskie i olduwajskie), a najczęściej towarzyszą im szczątki naszych bardziej nowoczesnych anatomicznie przodków – *Homo erectus* – wyróżniających się m.in. większymi rozmiarach ciała i mózgu.

NAZWĘ HOMO HABILIS podsunął Leakeyom Raymond Dart, który jeszcze w pierwszej połowie. XX w. znalazł w południowej Afryce skamieniałości australopiteków. Te istoty wydawały się jakimś pośrednim ogniwem ewolucji od małpy do człowieka. W tamtych czasach nie powiązano z australopitekami żadnych narzędzi, choć sam Dart był przekonany, że skoro w pobliżu ich szczątków znajdowały się potrzaskane kości innych zwierząt, to już australopiteki mogły używać m.in. właśnie kości czy rogów jako broni. Jego zdaniem właściwą, ludzką epokę

kamienia poprzedzała więc stworzona przez małpy człowiekowate tzw. kultura osteodontokeratyczna (jej nazwa pochodzi od greckich i łacińskich słów oznaczających kości, zęby i rogi).

Hipotezy Darta o australopitekach polujących na duże zwierzęta przy pomocy zaostrzonych kości do dzisiaj nikomu nie udało się potwierdzić, jednak możemy być już pewni, że narzędzia kultury olduwajskiej nie są najstarsze na świecie. W 2015 r. Sonia Harmand i współpracownicy opisali w „Nature” odkryte na stanowisku Lomekwi w Kenii ledwo obrobione bryły kamienia, mające ok. 3,3 mln lat. Ponieważ nikt nie znalazł dotąd aż tak starych szczątków, które można by przypisać do rodzaju ludzkiego, paleoantropolodzy musieli przyjąć, wbrew przekonaniu Louisa Leakeya, że kamienne narzędzia nie są typowo ludzkim wynalazkiem.

A to stawia pod znakiem zapytania sens klasyfikowania wczesnych afrykańskich hominidów o małych mózgach (o objętości ok. pół litra), takich jak wspomniany *Homo habilis* czy *Homo rudolfensis* (to znalezisko młodszej pary Leakeyów) do rodzaju ludzkiego. O tej klasyfikacji nie zdecydowały w końcu wyłącznie względy anatomiczne – rozstrzygnęło przekonanie, że wytwórcami narzędzi z kamienia mogli być wyłącznie ludzie. Być może więc początki naszego rodzaju należy wiązać raczej z młodszym *Homo erectus*? Granica między pierwszymi ludźmi i australopitekami nigdy nie była wyraźna – obecnie staje się zupełnie rozmyta.

TA GRANICA nie staje się ani trochę wyraźniejsza w świetle nowych badań zespołu Thomasa W. Plummera z Queens College w Nowym Jorku – raport z nich opublikował na początku lutego magazyn „Science”. Nad kenijskim wybrzeżem Jeziora Wiktorii odkryto setki narzędzi wykonanych techniką olduwajską między 2,6 i 3 mln lat temu. To znacznie skraca dystans między kulturą lomekwijską i olduwajską – do zaledwie 300 tys. lat. W pobliżu narzędzi leżały kości dużych zwierząt, m.in. prehistorycznych hipopotamów. Część z nich miała wyraźne ślady nacięć. Nie jest jasne, czy zwierzęta zostały upolowane przez twórców tych narzędzi, czy jedynie uctwowali oni na palinie.

Kim byli ci smakosze mięsa hipopotamów? Z tej samej okolicy i podobnego okresu pochodzą zęby małpy człowiekowatej z rodzaju *Paranthropus* (czyli „prawie człowiek”), nazywanych czasem masywnymi australopitekami (w odróżnieniu od bardziej wysmukłych „właściwych” australopiteków). Nikt już nie wie, czy istnieje biologiczne uzasadnienie, by dzielić te małpy na dwa osobne rodzaje (Louis Leakey chciał nawet dołożyć kolejny – *Zinjanthropus*), w której grupie znaleźli się nasi przodkowie i jak długo się z pozostałymi małpami krzyżowali. Dziś te dwa rodzaje wyróżnia się głównie z powodów historycznych. W każdym razie nie ma wątpliwości, że jeszcze zanim małpy nabrały bardziej ludzkich kształtów i rozmiarów, powszechnie wytwarzały kamienne narzędzia. Nie należy więc automatycznie zakładać, gdy znajdziemy takie narzędzia, że mamy do czynienia z dokładnie tą samą gałęzią ewolucji, na której końcu również my zasiadamy.

KAMIEŃ MOGĄ NAS ZMYLIĆ nie tylko gdy mówimy o odległej o 2-3 mln lat przeszłości człowieka. Także wtedy, gdy weźmiemy pod uwagę zaledwie ostatnie kilkadziesiąt tysięcy lat. Jednym z gorących tematów współczesnej paleoantropologii jest termin pierwszej kolonizacji Ameryki przez człowieka. Czy stało się to przed tzw. maksimum ostatniego zlodowacenia (miało miejsce 20-26 tys. lat temu), gdy lodowiec zablokował drogę z Azji na Alaskę i w głąb Ameryki, czy już po nim? Dowody archeologiczne nie są jednoznaczne.

Najstarsze kamienne narzędzia z regionu Pedra Furada we wschodniej Brazylii mogą mieć nawet 50 tys. lat. Ale paleoantropologów dziwiło to, że nie widać w tym miejscu technologicznego postępu. Po kilkunastu tysiącach lat twórcy narzędzi z Pedra Furada posługiwali się dokładnie tą samą, prymitywną techniką obróbki kamienia. Z czego wynikał ich konserwatyzm? Prawdopodobne wyjaśnienie tej zagadki zaproponowali pod koniec zeszłego roku Agustín Agnolín i współpracownicy – ich zdaniem kamienie z Pedra Furada to wytwory kapucynek, a nie ludzi. Współczesne populacje tych małp także tworzą proste narzędzia z kamieni – nieodróżnialne zdaniem wspomnianych badaczy od kamieni z Pedra Furada. ©

CO JEST WE KRWI

DAMIAN KOCUR, REŻYSER FILMOWY:

Teraz zapuszczam się w miejsca,
w których wcześniej nie byłem. Dawniej w moim mieście
było dużo fizycznej przemocy, po prostu się bałem.
Nie dość, że małe miasto, to dodatkowo zawężał je strach.



URSZULA HONEK: Wstydił się Pan swojego pochodzenia?

DAMIAN KOCUR: Chyba nie. Może czasami miałem poczucie, że z powodu pochodzenia nie należę do jakiegoś świata, ale uczyniłem z tego walor. Pamiętam, że gdy opowiadałem ludziom o moim pochodzeniu, zawsze byli zainteresowani. Nigdy też nie byłem, i nie chciałem być, w środowisku, które prowincję stygmatyzuje. Środowiska akademickie i artystyczne często nie mają kontaktu z klasą robotniczą, a potem się dziwią, dlaczego ludzie głosują tak, a nie inaczej.

Bańki?

Tak, jesteśmy przyzwyczajeni do bańki, w której żyjemy, i poczucia, że nasz świat jest jedyny, a wystarczy zrobić niedaleką wycieczkę i zobaczyć, że może wyglądać zupełnie inaczej. Nagle zdajemy sobie sprawę, dlaczego ludzie myślą tak, a nie inaczej, dlaczego mają taki, a nie inny stosunek do obcych. Myślę, że o tym opowiadał Didier Eribon w „Powrocie do Reims”; o doświadczeniu jego rodziny, która stała się elektoratem Marine Le Pen i skrajnej prawicy we Francji. Lewica jest w ogóle osłabiona, a już w Polsce... Dominuje ta intelektualna i kawiarniana. Dlatego, również na poziomie populistycznym, prawica zawłaszczyła elektorat.

Trudno było wyrwać się z prowincji?

Nie. Mam jedynie żal, że nie trafiłem wcześniej na rzeczy związane z kulturą. Ale może właśnie to spowodowało, że miałem później większy jej głód? Na przykład: pojawiła się u mnie duża potrzeba odkrywania literatury. Miałem przy tym sporo szczęścia, bo znalazła się osoba, która mi pewne rzeczy pokazała. W mojej miejscowości było sporo ograniczeń. Pochodzę z robotniczej rodziny, bez intelektualnych tradycji, w moim

domu w ogóle nie było kultury. To bardzo ciekawe, że w warunkach, w których nikt nam niczego nie zaszczepia, udaje się znaleźć potrzebę, żeby szukać samemu. Ale przede wszystkim mieć poczucie, że istnieje coś poza tym naszym akwariem. To dotyczy i rodziny, i przestrzeni.

Wraca Pan?

Regularnie, bo w moim mieście mam rodzinę. Może nie na długo, zazwyczaj na kilka dni i głównie po to, żeby się odciąć od nadmiaru bodźców. Teraz mam ich dużo, bo od pół roku cały czas gdzieś jeżdżę. Choć, z drugiej strony, może to w ogóle doświadczenie wielu ludzi żyjących w metropoliach. Prowincja redukuje ilość bodźców, pozwala się uspokoić, znaleźć chwilę, żeby przyjrzeć się sobie i temu, co się właściwie czuje.

Rodzinna miejscowość przyciąga i odpycha?

Odpychała, gdy byłem studentem filologii germańskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wracałem tam jednak, bo jednocześnie miałem poczucie odrzucenia przez wielkie miasto i świat akademicki. Ale prawdę mówiąc, dopiero teraz zacząłem poznawać moje miasto z zupełnie innej strony. Zapuszczam się w miejsca, w których wcześniej nie byłem. Pamiętam, że moje wycieczki po mieście ograniczały się do tak zwanego kwadratu; najwyżej do kilku domów i bloków. W moim mieście było dużo fizycznej przemocy, po prostu się bałem. Nie dość, że było małe, to dodatkowo zawęzał je strach.

W „Chlebie i soli” przywołuje Pan zapamiętane obrazy?

W moim filmie cofnąłem się do momentu, w którym byłem nastolatkiem, czyli z dwadzieścia lat wstecz. Film rzeczywiście pokazuje obrazy, które pamiętam. Po to robi się kino, żeby coś pokazać, a nie po to, żeby o tym mówić. Kino robi się też z jakiegoś sentymentu, obraz ma nieść emocje i treści, które są poza tekstem.

Ale w kinie unika Pan sentymalizmu.

Bo kino często bywa – ach, prowincja! – sentymentalne albo krzywdzące dla mieszkańców małych miejscowości. Film jest sztuką skierowaną raczej do ludzi wywodzących się z klasy wyższej lub

średniej. Miałem szczęście, że udało mi się wyjechać z małego robotniczego miasta, w którym dostęp do kultury był właściwie zerowy. Wydaje mi się, że potrafię nie egzotyzować prowincji, bo jest częścią mojego doświadczenia. Opowiadał o sobie i swoich korzeniach.

Portretuje Pan, szczególnie w krótkich metrażach, mikroświaty i opowiada historie zwykłych, prostych ludzi. Skąd ta skala i ci ludzie?

Kino jest sztuką redukcji. Dla chaosu doświadczeń i informacji trzeba poszukać formy, która je pomieści. Po drugie: na prowincji wszystko jest zredukowane, czytelne; tam po prostu więcej widać.

Co widać?

Ostatnio czytałem w wywiadzie z Rubenem Östlundem, że mamy tendencję do idealizowania i nadawania szlachetnych cech ludziom biednym. Uważamy, że są bardziej czysti, a przeświadczenie to wynika z chrześcijańskiego spojrzenia. Sporo ludzi przecież twierdzi, że jeżeli ktoś jest bogaty, to na pewno jest zły. W moim kinie nie chciałbym idealizować ludzi prostych.

Jak znajdował Pan bohaterów do krótkich metraży? Na przykład Michała Romanowicza, Karolinę Kalemę czy Pawła Blocha.

To są bardzo różne historie, niektórych poznałem przypadkiem, inni są znajomymi moich znajomych. Michał Romanowicz był bohaterem mojego filmu dokumentalnego „21 sekund” – UH], a potem fabularnego „Nic nowego pod słońcem” – UH], Karolina Kalemba była dziewczyną bohatera jednego z moich filmów, a Pawła Blocha poznałem w okolicznościach pozafilmowych. Potem pomyślałem, że jest człowiekiem, z którym warto spróbować zrobić film.

I wszyscy się bardzo przed Panem odstonili.

Bo to jest relacja, która wykracza poza *stricte* zawodową. Jesteśmy często w relacjach koleżeńskich, a nawet przyjacielskich. W ogóle wydaje mi się, że jeżeli chce się robić takie filmy jak ja, to należy być w relacji, która wykracza poza życie zawodowe i pracę na planie. Inaczej nie osiągnie się wiarygodności. Praca z aktorem nieprofesjonalnym wymaga zaufania, →

DAMIAN KOCUR (ur. 1983)

jest reżyserem i scenarzystą filmowym. Laureat wyróżnień na festiwalach w Antalyi, Cottbus, Gijón i Kairze. Jego pełnometrażowy debiut fabularny „Chleb i sól”, który miał właśnie kinową premierę, jest inspirowany tragedią w Ełku, gdzie tunezyjski pracownik baru śmiertelnie ranił Polaka. Zdobył nagrodę specjalną na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji w 2022 r.

→ bo tylko wtedy staje się on naturalny. Jest parę takich twórców i twórczyń, jak Pedro Costa czy Valeska Grisebach, która zrobiła kilka lat temu piękny film „Western”. Potem została żoną swojego filmowego bohatera. A to był prosty facet, hodowca koni spod Berlina. Życie tych twórców, tak jak i moje, łączy się z życiem bohaterów.

Wróć jednak do Karoliny Kalemby z filmu „Nic nowego pod słońcem”. To historia samotnego hodowcy krów, który poznaje dziewczynę przez internet. Ona w końcu przyjeżdża, ale – najtagodniej mówiąc – nie spełnia jego estetycznych oczekiwań. To musiało być emocjonalnie trudne dla bohaterki.

Jest o wiele łatwiej, gdy relacja opiera się na zaufaniu. Można o wielu sprawach szczerze porozmawiać, bez oceniania. Ludzie, którzy u mnie występują, wiedzą, w jakiej funkcji są obsadzani, a jeśli nawet do końca nie wiedzą albo nie rozumieją tej funkcji, finalnie nie czują się skrzywdzeni. Moi bohaterowie i moje bohaterki czują się dobrze na planie i po skończonej pracy. Nigdy nie miałem sytuacji, żeby ktoś zobaczył się na ekranie i powiedział: „Nie, nie podoba mi się”. Reakcje były zupełnie inne. Paweł Bloch [bohater m.in. „Dalej jest dzień” – UH], krótko po tym, gdy film otrzymał Lajkonika na Krakowskim Festiwalu Filmowym, powiedział: „Super film, ale te najlepsze sceny powyżrzucałeś”. Uważał, że lepiej by go zmontował. Czasami ktoś mnie pyta, czy trudno było przekonać ludzi do gry w filmie, i zawsze odpowiadam, że nie. W zasadzie było banalnie.

Aż tak?

Ludzie potrzebują rozmowy – taki skutek atrofii relacji społecznych. Może przez pandemię, a może media społecznościowe. W pierwszym momencie kontakt często wywołuje strach, ale ludzie są zdolni się otwierać, szczególnie na prowincji. Kiedy robiłem dokumentację do paru filmów w małych miejscowościach, to ludzie często byli niepewni. No bo wiadomo, że jak przyjeżdża samochód na miejskich blachach, trudniej zaufać. Szybko się jednak okazywało, że mają bardzo dużą potrzebę podzielenia się swoim doświadczeniem. Jeżeli w miejscowości jest kilkanaście osób i wszyscy znają się od dziecka, to łatwiej jest opo-

W języku zaczyna się tyle złego. Trzeba na niego uważać, bo nawet nieświadomie źle użyty może spowodować spustoszenie albo krzywdę.

A w najlepszym przypadku przykrość.

wiedzieć o sobie i własnych lękach komuś z zewnątrz.

Paweł Bloch, mój bohater, doświadcza ogromnej samotności; jestem z nim w kontakcie. Zresztą wszyscy moi bohaterowie właśnie z tym się mierzą, niezależnie od tego, gdzie żyją. Ale to właśnie samotność potrafi być na prowincji bardzo dojmująca. Widać to w statystykach: największa liczba samobójstw jest wśród mężczyzn z małych miejscowości.

Dlaczego uczynił Pan samotność tematem swojego kina?

Nawet gdy próbowałem robić film o czymś innym, albo wydawało mi się, że będzie o czymś innym, to orientowałem się, że znów opowiadam o samotności. Jeżeli robi się coś szczerze, czerpie z własnego doświadczenia, w końcu dociera się do samego siebie, czyli tam, gdzie ona jest. Tak, mam lęk przed samotnością. Może jest on motorem napędowym dla ludzi zajmujących się kinem? Andrzej Wajda na przykład mówił, że nie lubi być sam i dlatego kręci filmy. Wtedy jest wokół dużo ludzi. Wydaje mi się, że mam podobnie.

Czuje się Pan częścią świata swoich bohaterów?

Może jest tak, że niezależnie od tego, kim jesteśmy, wszyscy mamy takie same potrzeby? Ostatnio miałem śmieszną sytuację, byłem w Rwandzie i prowadziłem warsztaty filmowe. Ludzie pytali, jak wygląda codzienne życie reżysera, bo mieli poczucie, że chodzi o nie wiadomo jakie życie. Powiedziałem, że wstaję rano, idę z psem na spacer, wracam do domu, jem śniadanie. Nie mogli uwierzyć, że tak może wyglądać dzień osoby, która robi filmy i ma zdjęcie z Cate Blanchett. Ale niby dlaczego miałyby się różnić od życia ludzi, którzy idą co rano do fabryki?

W „Chlebie i soli” decyduje się Pan opowiedzieć historię ostentacyjnie czerpiąc z realizmu.

Dla mnie rzeczywistość jest bezgranicznie pojemna i nie trzeba jej metaforyzować, symbolizować. Wychodzę z założenia neorealistów włoskich, że ze zwykłej historii oddawania buta do szewca można zrobić prawdziwy film. Wystarczy popatrzyć na klasykę, na przykład na „Złodziei rowerów”. Reżyser opisuje powojenne Włochy z perspektywy małej rodziny i błędnego zdarzenia. Całość sprowadza się do skradzionego roweru, ale w tym jest wszystko, bo właśnie ta rzecz decydowała o przetrwaniu bohaterów.

„Chleb i sól” w zadziwiający sposób się uniwersalizuje, bo ludzie o kompletnie innych doświadczeniach kulturowych dobrze go rozumieją, a przede wszystkim odnajdują w nim siebie sprzed lat, rozpoznają swoje własne lęki. Rzeczywistość jest na tyle pojemna, że wystarczy wiedzieć, gdzie ustawić kamerę, i obraz będzie już w stanie sam się opowiedzieć. Na wszystkich szerokościach geograficznych będzie znaczył dla ludzi podobne rzeczy, znajdują w nim własne doświadczenia.

Pamięta Pan moment, w którym usłyszał o zabójstwie w Elku? Cała Polska wtedy usłyszała.

Od razu pomyślał Pan, że to temat na film?

Pomyślałem najpierw, że może warto się przyjrzeć tej sprawie. Pojechałem tam i jednak okazało się, że to nie jest temat, który mnie interesuje. Potem zrobiłem kilka krótkich metraży. Zorientowałem się, że nie mam języka, nie wiem, jak o tym opowiedzieć. Zarzuciłem ten temat i wróciłem do niego po kilku latach.

Przemoc w „Chlebie i soli” wydaje się naturalna, jakby bohaterowie mieli ją we krwi.

Każdy z nas ma ją we krwi. To, że profesorowie akademicki nie leją się po mordach, nie znaczy, że nie są przemocowi. Przemoc nie jest zarezerwowana dla chłopaków z osiedlowej ławki. Doświadczenie przemocy może być różne, ma wiele wymiarów, ale większość z nas chciałaby stanąć po stronie ofiary, bo trudno nam przyznać, że sami byliśmy tej przemocy źródłem. W moim filmie również język



TOMASZ WOŹNICZKA / STUDIO MUNK / MATERIAŁY PRASOWE

jest rezerwuarem przemocy, język kumuluje agresję. W języku tyle złego się zaczyna, trzeba na niego uważać, bo nawet nieświadomie źle użyty może spowodować spustoszenie albo krzywdę. A w najlepszym przypadku przykrość.

Pan to wszystko zna ze słuchu, obserwacji i udziału?

Tak.

I był Pan zarazem oprawcą i ofiarą?

Nigdy nie byłem oprawcą w fizyczny sposób; nie miałem na to nigdy wystarczającej siły, ale przede wszystkim potrzeby. Myślę, że jeżeli byłem oprawcą, to w taki sposób jak mój bohater, Tymek.

On nie reaguje na przemoc i jest bierny. Dlaczego?

To interpretacja postaci, której wołałbym nie podawać. A co pani przychodzi do głowy? Nie reaguje, bo co?

Strach.

No właśnie. W wielu sytuacjach ludzie nie reagują ze względu na konsekwencje. Nie każdy się przecież przyzna, że był świadkiem przemocy, jak na przykład Tymek w autobusie, i nie zareagował.

Dlaczego zatem finalna scena przemocy w „Chlebie i soli” dzieje się poza kadrem?

Uważam, że mamy zbyt łatwy dostęp do literalnych obrazów przemocy, nawet

odcinania głów. Czy gdybyśmy widzieli, że Jacek jest zabijany nożem, to zadziałoby na nas lepiej i mocniej? Od początku był pomysł, aby tę scenę opowiedzieć za pomocą przemysłowych kamer wideo. Przecież przy ich pomocy często ogląda się wypadki czy napaści.

Kiedy Pan wraca do rodzinnego miasta, to czasami myśli, że któryś z kolegów z ławki mógłby żyć lepiej? Miałby ich oceniać?

Może: przejawiać troskę?

Dawniej rzeczywiście się zastanawiałem, dlaczego ktoś nie może być taki jak ja, ale później zrozumiałem, że ludzie mogą mieć inne doświadczenia i perspektywy. Nie można im mówić, gdzie mają żyć albo gdzie mają mieszkać. Mogę jedynie próbować zrozumieć ich zachowania, które wynikają choćby z polityki, ale też bardzo osobistych doświadczeń; zarówno tych z teraźniejszości, jak i przeszłości.

Pokazuje Pan męski świat. Jednak czegoś tam brakuje – figury ojca.

Może jego brak jest przyczyną tego, co wydarzyło się w ostatniej scenie? Obecność matki również jest bardzo ograniczona. Zależało mi, żeby przyrzeć się tym chłopakom i dziewczynom bez klasycznych klisz. Chciałem uniknąć scen, gdy matka rozmawia z synem, jak to jest źle; oszczędzić widzowi wyciągania problemów na zewnątrz. Matka w polskim ki-

DEBIUTUJĄCY (NARESZCIE!) w pełnym metrażu Damian Kocur potrafi łączyć brzmienie romantycznych nokturnów z hiphopowym freestyle'em. Jego „Chleb i sól” (na zdj. obok kadr z filmu) to tragiczny wariant kina kumpelskiego, gdzie rządzi lęk nasz powszedni przed wszystkim, co obce. Wszelka inność staje się solą w oku, bo przypomina, że sami jesteśmy inni. Tak udanego debiutu dawno w naszym kinie nie było. „Chleb i sól” jest filmem nie tylko przemyślanym (intelektualnie i filmowo), lecz i zapewne głęboko przeżytym. Naturalność aktorskich „prawdziwków”, zaufanie dla improwizacji, ucho do języka i pewna ręka, jaką reżyser inscenizuje w długich ujęciach życie codzienne, robią wrażenie. *Anita Piotrowska „Kebab i horoskop”, Tygodnik Powszechny nr 5/2023*

nie często jest przedstawiana jako osoba utyskująca i dająca dobre rady. A u mnie tej matki nie ma. Moi bohaterowie i bohaterki są pozostawieni sami sobie.

Silne jest braterstwo.

To jest siła, której nie znam, bo nigdy nie miałem brata. Mam młodszą siostrę i to jest inny rodzaj relacji. Ta siła jednak mnie fascynuje i być może ją idealizuję. Przed realizacją filmu nawet bracia Biesowie nie byli tak blisko ze sobą, mój film spowodował zacieśnienie ich więzi. W wywiadach często się powtarza, że bracia Biesowie byli moimi przyjaciółmi, ale przed filmem nie byliśmy jakoś szczególnie blisko. Owszem, znaliśmy się, ale zajmowaliśmy innymi rzeczami i widywaliśmy się kilka razy w roku. Trudno było nazwać tę relację przyjacielską. Przy realizacji „Chleba i soli” zaczęliśmy się tak naprawdę poznawać lepiej. Najpiękniejsze w robieniu kina jest to, że można poznać ludzi i budować nowe relacje.

Sporo w Pana kinie osobistych wątków. To odważne o tym mówić.

Zadałem sobie wiele trudu, żeby wrócić do swojej przeszłości i móc o niej opowiedzieć. Ale nie, to nie jest kwestia odwagi. Mogę się dzielić moim doświadczeniem z innymi, bo nie ma w tym nic złego. Myślę, że potrzebuję teraz czasu, żeby odpocząć i zastanowić się, kim byłem, jestem i kim będę.

© Rozmawiała URSZULA HONEK



MACIEJ ZANIEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE MCK

Z cyklu „Wyjście z Egiptu”, 2021 r.

Tryb życia

PIOTR KOSIEWSKI

Małgorzata Mirga-Tas przedstawia swoich najbliższych i przyjaciół w ich codziennym otoczeniu. Podczas rodzinnych spotkań, przy zwyczajnych pracach, w chwilach odpoczynku. Tam się zaczyna cały świat.

TERAZ JEJ TWÓRCZOŚĆ ZOSTAŁA UZNANA ZA jedno z najdonioślejszych zjawisk na współczesnej scenie artystycznej Polski i Europy. Jeszcze kilka lat temu było zupełnie inaczej. „Skladałam propozycje wystawy własnej lub naszej grupy Romani Art i słyszałam: nie mamy dla pani czasu ani wolnego miejsca. Lub proponowano mi zwrócenie się do muzeum etnograficznego” – wspominała w rozmowie dla „Tygodnika Powszechnego”. I dodawała: „Odnosiłam wrażenie, że nie patrzono na prace, tylko na to, kto je zrobił. A skoro jestem z mniejszości etnicznej, do tego romską artystką, to moja twórczość jest częścią etnografii”.



PAWEŁ MAZUR / MATERIAŁY PRASOWE MCK

Małgorzata Mirga-Tas „Wędrujące obrazy”, fragment ekspozycji w MCK w Krakowie, listopad 2022 r.

Niesmutne

W 2022 r. prace Małgorzaty Mirgi-Tas, nawiązujące do słynnego XV-wiecznego cyklu fresków z Palazzo Schifanoia w Ferrarze, znalazły się w polskim pawilonie na Biennale Sztuki w Wenecji. Na odbywających się w tym samym roku documenta w Kassel pokazała cykl wielkoformatowych kolaży z tkanin, „Wyjście z Egiptu”, w którym na nowo opowiada historie Romów przedstawione na XVII-wiecznych akwaforach Jacques’a Callota. Niewiele artystkom czy artystom udało się w jednym roku wziąć udział w dwóch najważniejszych wydarzeniach poświęconych sztuce współczesnej, przyciągających ogromną publiczność.

W 2020 r. uczestniczyła w berlińskim Biennale Sztuki Współczesnej. Otrzymała także Paszport „Polityki” za ten rok. I zaczęła stałą współpracę z Fundacją Galerii Foksal, jedną z najbardziej wpływowych prywatnych galerii w Polsce, z którą związani są m.in. Paweł Althamer, Wilhelm Sasnal i Monika Sosnowska.

Jej złożona tożsamość i przywiązanie do rodzimej tradycji (uznawane nie tak dawno za przeszkodę) teraz stały się ogromnym atutem: w Wenecji reprezentowała Polskę, a w Kassel jej prace pokazano w ramach „RomaMoMA”, czyli „Romskiego Muzeum Sztuki Współczesnej”. Jednocześnie dokonała podwójnego przekroczenia konwencji dominujących w mainstreamowym obiegu sztuki.



Małgorzata Mirga-Tas „Wizyta rodzinna”, 2022 r.



PAWEŁ MAZUR / MATERIAŁY PRASOWE MCK

→ Pierwsze z tych przekroczeń dotyczy używania materiałów i technik uznanych za „gorsze”. Tworzyła z tektury, wosku, a przede wszystkim sięgnęła po tkaninę, uważaną za właściwą dla sztuki użytkowej, a nie „wyższej”. Dziś jednak coraz częściej współczesne artystki i artyści rehabilitują tkaninę, czego przykładem chociażby gobeliny Goshki Macugi czy zaangażowane, haftowane prace Moniki Drożyńskiej. Przekroczenie drugie związane jest z „etnicznością”. Mirga-Tas opowiada o swojej społeczności tak, jak ona sama ją widzi. „Pomyślałam, że moje obrazy nie powinny być smutne – mówiła, „Tygodnikowi”. – Przeciwnie, musi być w nich przepych, mocne kolory, złoto. Muszę wręcz je przerysować. Wiem, że może się to kojarzyć z folklorem, egzotycznością, etnicznością. Zaczęłam tworzyć takie prace trochę na przekór temu wszystkiemu”.

Osobiste

„Wędrujące obrazy” w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie to pierwsza wystawa Małgorzaty Mirgi-Tas po jej prezentacji w Wenecji. Pokazano na niej prace powstałe od 2017 do 2022 r., co pozwala dobrze poznać jej dotychczasowy dorobek – mimo że zabrakło „Ćwiczeń ceroplastycznych” (2018), wstrząsającej pracy, w której artystka wykorzystała fragmenty zniszczonego przez nieznaną sprawcę pomnika Romów zamordowanych w 1942 r. w Borzęcinie Dolnym (wzniesionego według jej projektu w 2011 r.). Jednocześnie jest to opowieść o społeczności romskiej, o tym, jak ją sobie wyobrażano i przedstawiano, i jak widzi się ona sama.

Wystawy nie otwierają jednak prace artystki. Kuratorzy Wojciech Szymański i Natalia Żak poświęcili pierwszą salę postrzeganiu Romów od XV po XX wiek. Opowieść, złożoną z oryginalnych dzieł, ale też z reprodukcji (ważna w tym przypadku jest wartość ikonograficzna przedstawienia, a nie oryginalność dzieła), podzielili na trzy części. „Kostium” zajmuje się wyobrażeniami na temat wyglądu Romów, ich strojów, ale też fizjonomii, jaką im przypisywano. „Malowniczość” zbiera przedstawienia tej społeczności jako żyjącej blisko natury. Trzecia część, „Dłoń”, odwołuje się do wróżenia, zajęcia często łączonego z Romami, ale też kradzieży, czy szerzej problemu dotyku, fizycznego kontaktu. Wszystkie te przedstawienia,

MAŁGORZATA MIRGI-TAS:

„Moje obrazy nie powinny być smutne. Przeciwnie, musi być w nich przepych, mocne kolory, złoto. Wiem, że może się to kojarzyć z folklorem, egzotycznością, etnicznością. Zaczęłam tworzyć takie prace trochę na przekór temu wszystkiemu”.

tworzone czasami przez bardzo znanych twórców, jak Albrecht Dürer, Caravaggio, Maksymilian Gierymski czy Édouard Manet – jeżeli nawet nie odwołują się do stereotypów, to kreują wyobrażenia społeczności innej, obcej, odrębnej.

Na wystawie są też fotografie z lat 80. ubiegłego stulecia pochodzące ze zbiorów rodzinnych artystki. One również przedstawiają romską społeczność, ale widzianą z własnej perspektywy. Tworzone przez nie-Romów obrazy i te niepozorne zdjęcia pokazują problem kluczowy dla Małgorzaty Mirgi-Tas: w jaki sposób romska społeczność ma o sobie opowiadać, ale też co zrobić z przedstawieniami, niejednokrotnie stygmatyzującymi, choć często jedynymi pozostałymi po minionych pokoleniach.

Mirga-Tas przedstawia swoich najbliższych i przyjaciół w ich codziennym otoczeniu. Podczas rodzinnych spotkań, przy zwyczajnych pracach, w chwilach odpoczynku. I rzeczywiście, tworzy dzieła dekoracyjne, nawet ornamentalne: przepych, mocne kolory, złoto... Wykorzystuje stare tkaniny, nienoszone już ubrania, cekiny, pióra. Często są to dary od bliskich – pochodzenie wzmacnia osobisty charakter prac. Są opowieścią tworzoną ze szczególnej perspektywy: życia w Czarnej Górze, miejscowości położonej na polskim Spiszu, w której od bardzo dawna zamieszkuje grupa Bergitka Roma prowadząca osiadły tryb życia.

Przewłaszczenie

W 2021 r. powstała seria prac „Wyjście z Egiptu”. Tworząc je Mirga-Tas sięgnęła po cykl rycin „Les Bohémiens”, stworzony w latach 1623-24 przez Jacques’a Callota. Na ich podstawie po-

wstały wielkoformatowe tkaniny, w których artystka przedstawia te same historie, co wybitny francuski grafik. Robi to jednak z perspektywy bohaterów „Les Bohémiens”. Nie jest to już grupa malowniczych włóczęgów, brudnych, odzianych w łachmany (w Krakowie obok prac Mirgi-Tas można zobaczyć grafiki Callota). Przeciwnie, to grono podróżnych: kobiet, mężczyzn, dzieci przywiązanych do własnej tradycji i estetyki. Ubranych w wyszukane, wielokolorowe stroje.

W „Wyjściu z Egiptu” artystka dokonuje aktu przewłaszczenia dawnych grafik i zmiany ich wydźwięku. To nie jedyny akt przejścia na krakowskiej wystawie – proceder ten coraz częściej staje się praktyką Małgorzaty Mirgi-Tas. W krakowskim MCK-u porusza ona też temat przymusowych akcji osiedleńczych Romów w czasach PRL-u. Wędrownie wspólnoty zmuszono do zamieszkania w jednym miejscu, ale też przesiedlano grupy od dawna już osiadłe. Społeczność, której część wymordowano podczas Zagłady Romów, była teraz pozbawiana korzeni i obyczajów.

Jednym z tych nowych miejsc zamieszkania stała się Nowa Huta w Krakowie. Mirga-Tas zaproponowała poczet osób kluczowych dla własnej społeczności: przedstawicieli pierwszego pokolenia romskich mieszkańców Nowej Huty oraz pokolenia bezpośrednio doświadczonego Zagładą Romów. Osób niekoniecznie publicznie znanych, ale ważnych dla tej mniejszości. Są wśród nich Małgorzata Prusak, pierwsza Romka w Nowej Hucie, która zdała maturę (w czasie wojny osadzona w obozie pracy koło Nowego Targu), czy Krystyna Gil, pierwsza romska motorniczka tramwaju, a także założycielka i prezeska Stowarzyszenia Kobiet Romskich w Polsce (jej rodzina została zamordowana w 1943 r.).

Mirga-Tas pokazuje, że przeszłość daje narzędzia do mówienia o teraźniejszości, o tożsamości własnej, ale też – wspólnoty, do której się przynależy. To ważna lekcja dla wszystkich, wobec których są wysuwane roszczenia, by żyli według oczekiwań większości. © PIOTR KOSIEWSKI

WĘDRUJĄCE OBRAZY. MAŁGORZATA MIRGI-TAS, Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie, wystawa czynna do 5 marca, kuratorzy: Wojciech Szymański, Natalia Żak.



MATERIAŁY PRASOWE

Guy Pearce jako Kim Philby i Damian Lewis jako Nicholas Elliott w serialu „Szpieg wśród przyjaciół”, HBO Max, 2022 r.

Gry w marnym świecie

JAKUB MAJMUREK

Brytyjskie seriale szpiegowskie, które pojawiły się właśnie w Polsce, szukają odpowiedzi na pytanie o kondycję współczesnego świata, a zwłaszcza Zjednoczonego Królestwa.

WSZYSTKIE OPowieści o szpiegach łączy jedno: problem zdrady i zaufania. Szpieg jest zawodowym oszustem, kimś, kto w strategiczny sposób buduje i wykorzystuje zaufanie ludzi, nakłaniając ich do zdrady. Jednocześnie sam wykonując swoją pracę znajduje się prędzej czy później w miejscu, w którym granice zdrady i lojalności rozplývają się w klimacie wieloznaczności moralnej.

Prawdę zostaw w spokoju

Problem zdrady najbardziej wprost stawia „Szpieg wśród przyjaciół” (HBO Max), oparta na faktach najnowsza produkcja szpiegowska, pokazująca ucieczkę Kima Philby’ego do Związku Radziec-

kiego w 1963 r. Philby współpracował z radzieckim wywiadem przez prawie dwadzieścia lat, od początku lat 30. do początku lat 50., najpierw jako dziennikarz piszący m.in. korespondencje z wojny domowej w Hiszpanii, następnie jako funkcjonariusz brytyjskiego wywiadu. W tej drugiej pracy był świetny, Sowieci liczyli wręcz, że przy odrobinie szczęścia uda się mu sięgnąć po najwyższe stanowiska w MI6.

Błyskotliwa kariera Philby’ego załamuje się jednak w 1951 r., gdy Guy Burgess, jego przyjaciel, dyplomata i urzędnik brytyjskiego MSZ, ucieka do Moskwy, ujawniając się jako radziecki szpieg. Mimo bliskich związków z Bur-

gessem – który mieszkał w domu Philby’ego w Waszyngtonie, gdy obaj pracowali w tamtejszej ambasadzie – Philby’emu nie postawiono wtedy żadnych zarzutów. Afera zamknęła przed nim jednak drogę do najwyższych stanowisk w służbach. Philby wraca do pracy dziennikarskiej, zostaje korespondentem kilku brytyjskich pism w Bejrucie, czasem wykonuje drobne prace dla MI6. Dopiero na początku lat 60. zostaje zdemaszkowany.

W tym momencie zaczyna się serial. Do Bejrutu zostaje wysłany Nicholas Elliott – agent MI6, od co najmniej dwudziestu lat jeden z najbliższych przyjaciół Philby’ego. Ma go przekonać, by w zamian za gwarancję ułaskawienia przyznał się do wszystkiego i wydał znanych mu radzieckich agentów na Wyspach – najlepiej zanim Amerykanie zorientują się, że wysoko postawiony Brytyjczyk, pracujący z nimi po wojnie w Waszyngtonie, tak naprawdę był lojalny wobec Moskwy.

Misja Elliotta kończy się jednak klęską, Philby ucieka do Moskwy, a sam Elliott staje się przedmiotem zainteresowania brytyjskiego kontrwywiadu, MI5. Jego funkcjonariuszka, Lily Thomas, →

→ podejrzewa, że Elliott mógł pozwolić uciec Philby'emu – albo ciągle kierowany więzami przyjaźni, albo z jeszcze bardziej złowieszczych powodów.

Podstawową sytuacją fabularną w „Szpiegu...” jest przesłuchanie, czy mówiąc językiem wywiadu *debriefing*: długie rozmowy mające wydobyć z podejrzanej osoby prawdę, szukające przeżyć, nieścisłości, budzących wątpliwości szczegółów. Pierwsze odcinki opierają się na zestawieniu dwóch takich konwersacji: między Elliottem i Philbym w Bejrucie oraz między Lily i Elliottem w Londynie. Każda wprowadza szereg retrospekcji, stopniowo odsłaniających pogmatwaną układankę, wielowymiarowe szachy, w jakie wokół zdrady Philby'ego grają trzy wywiady: do Brytyjczyków i Sowietów dołączają bowiem wkrótce Amerykanie. Do Londynu przylatuje *incognito* sam James Jesus Angleton, szef kontrwywiadu CIA. Jest wściekły, bo przez lata dał się zwodzić pracującemu dla Moskwy Brytyjczykowi, którego uważał niemal za przyjaciela.

Ta gra nie ma żadnych zwycięzców, przegrywają wszyscy. Philby utyka w Moskwie, gdzie nigdy nie chciał tak na prawdę trafić. Stolica „ojczyzny światowego proletariatu” okazuje się koszmarem, ponurym miejscem, na ulicach leżą pijani do nieprzytomności ludzie, obojętnie mijani przez współobywateli. Brytyjski agent przekonuje się też, że choć KGB dało mu order i mieszkanie, to bynajmniej mu nie ufa. Orientuje się szybko, że w Moskwie do końca życia będzie żył w złotej klatce, ściśle nadzorowany przez radzieckie służby.

Przegrywają też Brytyjczycy, dla których sprawa Philby'ego jest globalną kompromitacją, w dodatku uruchamiającą spiralę podejrzeń i oskarżeń. W jakimś sensie zwycięsko z całego starcia wychodzi Elliott, skrywający wybitny strategiczny zmysł pod maską konwencjonalnego Anglika z wyższej klasy średniej, improwizującego pieprzne limeryki ze szklaneczką whisky w dłoni. Ceną za zwycięstwo jest jednak konieczność pogrzebania przyjaźni z Philbym, radykalnego przewartościowania całej własnej kariery i ostatnich dwudziestu lat życia.

Odkrycie prawdy o Philbym nie przynosi nikomu oczyszczenia. Prawda, sugerują twórcy serialu, nie zawsze oczyszcza, czasem lepiej zostawić ją w spokoju,



MATERIAŁ PRASOWY

Gary Oldman i Saskia Reeves w serialu „Kulawe konie”, Apple TV+, 2022 r.

niz dążyć, oskarżając i rzucając podejrzenia na kolejne osoby. Elliott i brytyjskie służby zamiatają większość tego, co wychodzi na jaw w związku ucieczką Philby'ego, pod dywan, Angleton wraca upokorzony do Langley i zaczyna polowanie na rosyjskich agentów w CIA, pograżając się coraz bardziej w paranoi. Ten chaotyczny okres w karierze giganta amerykańskiego kontrwywiadu do dziś kładzie się cieniem na historycznej ocenie jego postaci.

Pustka po zimnej wojnie

„Szpieg wśród przyjaciół” podejmuje te same wątki co najbardziej gorzkie i pesymistyczne powieści Johna le Carrégo. Odtworzona drobiazgowo na ekranie zimnowojenna rzeczywistość wydaje się jednocześnie bardzo odległa i bliska. Bliska, gdyż odnajdujemy się bez problemu w klimacie klęski, nieufności, rozczarowania, jaki przywołuje serial. Odległa, bo tamten świat – mimo wszystkich korowodów zdrad, podwójnych i potrójnych lojalności – porządkują jednak pewne podstawowe struktury.

Demokratyczny Zachód toczy konflikt z komunistycznym Wschodem, kwestie zdrady i tego, kto gdzie stoi w globalnym konflikcie, sprowadzają się do dość jasnych wyborów. Wielkie idee organizujące zimną wojnę – radziecki komunizm i zachodnia demokracja – nadają zaangażowanym w nią aktorom, jakkolwiek ni-

skie byłyby ich osobiste motywacje, wymiar tragicznej wzniosłości. Gra wywiadów ma realne, najwyższe stawki.

W zupełnie innych realiach działają szpiedzy ze współcześnie rozgrywających się seriali. Uporządkowany, określany przez ideologię konflikt zimnowojenny zastępuje w nich chaotyczna, głęboko skorumpowana rzeczywistość, kształtowana głównie przez nie zawsze czyste pieniądze, rozbuchane indywidualne ambicje, nagą, niepotrzebującą żadnych ideologicznych uzasadnień walkę o wpływy i władzę. Gra – ze względu na otaczającą ją ideową pustkę – ostatecznie zawsze okazuje się groteskowa.

Najlepiej świat ten portretuje świetny serial „Kulawe konie”, którego dwa sezony dostępne są od zeszłego roku na Apple TV+. W adaptacji powieści Micka Herrona – uważanego dziś za głównego następcę le Carrégo – na tę rzeczywistość patrzmy z punktu widzenia Slough House, specjalnej jednostki brytyjskiego wywiadu, gdzie zsyłane są beznadziejne przypadki: agenci, którzy coś zawaliли w przeszłości, podpadli przełożonym, ludzi, z którymi nikt nie chce pracować.

Na czele tej ekipy stoi Jackson Lamb, dinozaur zimnej wojny, wyglądający, jakby nie przestał pić od jej zakończenia. Wciela się w niego Gary Oldman, który tworzy na ekranie jedną ze swoich lepszych kreacji. Jego Lamb łączy skrajny cynizm i rezygnację kogoś, kto już dawno



się poddał, z wiernością etosowi służby, a przynajmniej temu, o co w niej kiedyś chodziło. Dziś już bowiem nie wydaje się chodzić o cokolwiek. MI5, brytyjski kontrwywiad, patrzący z góry na przegrywów ze Slough House, jest kłębowiskiem intryg i małostkowych ambicji, rozgrywanych przez ludzi, których arogancja i pęd do władzy są odwrotnie proporcjonalne do ich rzeczywistych kompetencji.

W pierwszym sezonie wiceszefowa MI5 uruchamia prowokację wymierzoną w skrajną prawicę, która ma jej zapewnić pozycję numeru 1 w agencji. Misterny plan zmienia się jednak w chaos, cała akcja o mało co nie kończy się śmiercią niewinnego muzułmańskiego komika, a sytuację ratuje dopiero drużyna Lamba. W drugim sezonie brytyjskie służby dają się rozegrać Rosjanom, którzy ciągle utrzymują głęboko zakamuflowanych agentów na Wyspach, choć zimna wojna dawno się przecież skończyła, a Wielka Brytania podobno ją wygrała. Różnica jest taka: Rosjanom nie chodzi dziś o ideologię, nawet nie o politykę, ale głównie o pieniądze.

Obraz brytyjskiej polityki spenetrowanej przez rosyjskie wpływy i pieniądze przedstawia też dostępny na Netflixie serial „Zdrada”. Adam Lawrence, młody zastępca szefa MI6, zostaje oskarżony o bycie rosyjskim agentem. Przełożeńi zaczynają podejrzewać, że jego wcześniejsze sukcesy, dzięki którym błyska-

wicznie awansował na coraz bardziej odpowiedzialne stanowiska, zostały zaaranżowane przez rosyjskie służby dążące do umieszczenia swojego człowieka na czele brytyjskiego wywiadu.

Intryga okazuje się jednak o wiele bardziej skomplikowana. Pojawiają się w niej działająca na własny rachunek była rosyjska agentka i zadowolony od dawna w Londynie rosyjski oligarcha, który próbuje użyć swoich pieniędzy, by umieścić na stanowisku premiera swojego kandydata. A także szef MI6, pieczołowicie zbierający teczki na najbardziej wpływowe osoby w państwie, by móc pozaprawnymi metodami wpływać na kluczowe polityczne decyzje.

Tytułowa zdrada ma w serialu o wiele więcej odcieni i możliwych znaczeń, niż mogła mieć w czasach Philby’ego. Oglądając historię Adama Lawrence’a, podobnie jak „Kulawe konie”, mamy wrażenie, że być może największa zdrada, jaką pokazują obie produkcje, to ta, której elity dopuszczają się wobec społeczeństwa: z ambicji, chciwości, niekompetencji. W obu serialach widzimy politykę korumpowaną przez pieniądze rosyjskich oligarchów, służby próbujące prowadzić własną grę poza jakąkolwiek kontrolą prawa i władzy z demokratycznym mandatem, konserwatywne elity uwikłane w bliskie relacje ze skrajną prawicą, brytyjskie państwo, które okazuje się bezradne i niefunkcjonalne.

Z kaca po brexicie

Do tych wszystkich źródeł niepokoju serial „Obserwowani” (Canal+) dodaje jeszcze jedno: technologiczne. W pierwszym sezonie idealistyczna policjantka Rachel Carey odkrywa, że brytyjski rząd od lat prowadzi tajny program rozwijający technologię *deep fake*, Korektę, a jego narzędzi używa np. do fabrykowania dowodów w sprawach o terroryzm tam, gdzie operacyjna wiedza służb i dostępne dowody rozjeżdżają się na tyle, że osoby ewidentnie winne mogłyby uniknąć skazującego wyroku.

Służby zazdrośnie strzegą swojego sekretu, w jego obronie są gotowe posunąć się bardzo daleko, Rachel obawia się o własne życie. Ostatecznie zostaje jednak zrekrutowana do jednostki odpowiedzialnej za Korektę. Drugi sezon zaczyna się, gdy młody, ambitny minister odpowiedzialny za cyberbezpieczeństwo

ze zdumieniem odkrywa, że w telewizji wyemitowany został wywiad z nim, którego nigdy nie udzielił, gdzie mówi rzeczy sprzeczne ze swoimi poglądami, korzystne za to dla interesów chińskiej spółki IT, walczącej o kontrakt na budowę systemu rozpoznawania twarzy na brytyjskich lotniskach.

Drugi sezon „Obserwowanych” okazał się największym hitem BBC w zeszłym roku, z wynikami porównywanymi do pierwszych sezonów „Sherlocka”. Choć serial ma wiele wątpliwych zwrotów akcji, a w podejściu do tematów służb, Big Techu i wielkiej polityki bywa czasami naiwny, łatwo zrozumieć przyczyny jego sukcesu: ogląda się go w napięciu, czekając na każdy kolejny odcinek. W „Obserwowanych” udało się pokazać, jak *deep fake* podkopuje elementarne poczucie rzeczywistości, każąc nam wątpić w to, co widzimy na własne oczy. W trakcie sezonu pojawia się wiele hipotez, kto mógł stać za atakiem na ministra. Podejrzanie pada raz na Stany, raz na Chiny. Od pytania, kto za tym stoi, ważniejsze jest jednak co innego: obraz brytyjskiego państwa bezradnego wobec cyberataku, nowej technologii, którą wydaje się mu, że kontroluje, wobec rozgrywających go zewnętrznych aktorów, państwowych i korporacyjnych.

■ ■ ■

W żadnym ze wspomnianych tytułów nie pojawia się słowo „brexit”, trudno jednak czytać je poza kontekstem głębokiego kryzysu, jaki przyniosło wyjście Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. W najlepszych zimnowojennych książkach Johna le Carrégo szpiegowska intryga służyła jako narzędzie opowieści o zmierzchu imperium i spadku znaczenia Londynu na świecie. Czy teraz szpiegowskie historie okażą się równie użytecznym narzędziem, by opowiedzieć o nowym brytyjskim kryzysie? Tym, który przyniósł brexit, raz jeszcze stawiając przed Zjednoczonym Królestwem pytanie: jak właściwie powinno zdefiniować swoje miejsce po tym, gdy przestało być imperium?

Omawianym tu produkcjom daleko do czołowych osiągnięć autora „Ze śmiertelnego zimna”, ale klimat kaca po brexicie i wszystkich brytyjskich kryzysach XXI wieku uwidocznia się w nich całkiem ciekawie. © JAKUB MAJMUREK

Z batutą i szaleństwem

ANITA PIOTROWSKA

Reżyser Todd Field wraca do kin w iście koncertowej formie. W przybytkach sztuki wysokiej odnajduje patologiczne sytuacje, przerosty narcyzmu – i niskie pobudki.



MATERIAŁY PRASOWE

CZY W TAK WRAŻLIWEJ EPOCE, SKUPIO-nej na #metoo i walce z dyskryminacją osób LGBT+, wypada kręcić oscaro-we pewniaki, w których czarnym charakterem jest homoseksualna kobieta? Ta kwestia zdominowała dyskusję wokół filmu „Tár” – nie do końca słusznie.

Nowe dzieło Todda Fielda ma bowiem w sobie zuchwałość wykraczającą poza obszary związane z polityczną poprawnością czy „kulturą unieważniania”. Opowiada historię pierwszej dyrygentki Berliner Philharmoniker i właśnie znacząca fikcyjność takiej postaci, w połączeniu z odwróceniem tradycyjnych ról, wprowadza zamieszanie na wejściu. Bo Lydia Tár rzeczywiście ma w sobie coś z potwora. Reżyser i grająca tytułową rolę Cate Blanchett wiedzą jednak, jak współdyrygować naszymi odczuciami, by nie szukać w tej opowieści ani rewanżystowskiej satysfakcji, ani krzywdzącego uogólnienia z serii „i daj tu babie władzę...”.

W pierwszej scenie skrupulatnie szykuje się do występu przed publicznością – ot, żelazna perfekcjonistka. Chwilę potem, na warsztatach mistrzowskich w nowojorskiej Juilliard School, upokarza czarnoskórego studenta za próbę „scancelowania” Bacha. W zależności od światopoglądu oglądamy więc albo niepoprawną snobkę i „dziaderkę”, na dodatek odrzucającą zacny feminatyw „maestra”, albo obrończynię prawdziwej sztuki, wolnej od polityki tożsamościowej.

Kiedy jednak na szkolnym podwórku Lydia pod wpływem skarg swej córki

zaczyna w niewybredny sposób grozić innej dziewczynce, ujawnia się prawdziwy drapieżca. Później, podczas prób do nagrania V symfonii Mahlera, wychodzą na jaw kolejne przekroczenia, niczym wypisy z kodeksu pracy: molestowanie, mobbing, nepotyzm. Opromieniona sławą dyrygentka i kompozytorka, ikona sukcesu, feminizmu i dyskretnej elegancji, okazuje się mistrzynią w nieczystych zagraniach. Na orbicie tych manipulacji znalazła się pierwsza skrzypaczka i zarazem życiowa partnerka (Nina Hoss), wierna asystentka i była kochanka (Noémie Merlant), starsi, doświadczeni muzycy i młody narybek. Dopiero gdy jedna z dawnych podopiecznych popełnia samobójstwo, nad Tár zawisają czarne chmury. Próbuje ratować swój wizerunek, brnie coraz bardziej w kłamstwa i podłość. A film raz po raz skręca w zgoła surrealistyczne rejony.

W szesnaście lat od ostatniego filmu (po drodze były jeszcze seriale) Todd Field powraca w iście koncertowej formie. Nie on pierwszy odnajduje patologiczne sytuacje, przerosty narcyzmu i niskie pobudki w przybytkach sztuki wysokiej (lista filmów o nieludzkich filharmonikach byłaby całkiem spora). Osadza swoją historię w pełnym skrajności współczesnym Berlinie, między seksualną żądzą a śmiercią tuż za ścianą, między luksusowymi apartamentami a obskurnymi rudarami, pomiędzy przywilejem a przemocą, miłością do sztuki a chorą ambicją, na granicy realności i fantasmagorii. Właśnie

owa niejednoznaczność – ontologiczna i psychologiczna – broni film przed plakatowością i zarzucaną mu niedorzecznością. Bo „Tár” jest portretem niszczącej obsesji, zafiksowania na doskonałości i sukcesie. Jeśli popatrzyć na to z perspektywy genderowej, Lydia może się wydawać potwierdzeniem obiegowego sądu, że skoro spełnienie kobiecych aspiracji wymaga większego samozaparcia i bywa okupione większym wysiłkiem, łatwiej zamienia tak zdobytą władzę we własną karykaturę. Tymczasem u Fielda mamy do czynienia raczej z przypadkiem klinicznym i zbiorem paradoksów, z oprawczynią i ofiarą w jednej osobie, z pomieszaniem obiektywnej narracji i fantasmagorycznej projekcji.

Stylistycznie film ten przypomina operę tragicomiczną, choć wystawioną przez superzdyscyplinowanego minimalistę. Nie przypadkiem zaangażował znakomitą austriacką montażystkę Monikę Willi, znaną ze współpracy z Michaelem Hanekem, w tym również przy „Pianistce” (2001), nieco zresztą podobnej tematycznie. Z pewnością głównym narzędziem Fielda, obok batuty, musiał stać się metronom – w przypadku ponad dwupółgodzinnego seansu „reżyserowanie czasu” staje się szczególnym wyzwaniem. Stąd muzyczność przejawia się tu nie tylko w fachowym jej tematyzowaniu (chwilami jest to wręcz film dla symfonicznych nerdów), ale także w rytmizowaniu emocji o bardzo zróżnicowanej temperaturze. Nic dziwnego: reżyser



TÁR

– reż. Todd Field.

Prod. USA 2022.

Dystryb. UIP.

W kinach od 24 lutego.

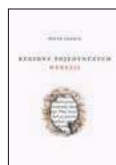
Todd Field jest amerykańskim filmowcem i aktorem z wykształceniem i doświadczeniem muzycznym. Jako reżyser zadebiutował niezależnym dramatem psychologicznym „W sypialni” (2001, pięć nominacji do Oscara). Uznanie zdobył także jego następny tytuł, „Małe dzieci” (2006, trzy nominacje), najnowszy zaś, „Tár”, został nominowany w aż sześciu kategoriach, w tym dla najlepszego filmu.

o mały włos sam nie został muzykiem (w młodości był puzonistą w zespole jazzowym) i chyba nie bez kozery Stanley Kubrick powierzył mu rolę pianisty w „Oczach szeroko zamkniętych”. Czuje się też w „Tár” dobrą znajomość środowiska, jego hierarchii i relacji poziomych, personalnych rozsad i ekstremalnych przeżyć, dzisiejszych zależności marketingowych i uwikłania w media społecznościowe.

Z gwiazdorstwem rozprawia się Field już na samym początku, puszczając w czołówce całą „listę płac”, zwyczajowo umieszczaną w napisach końcowych – i przez to pomijaną przez widzów. W ten sposób film o psychopatycznej geniuszce wpisuje się w dzisiejszą debatę wokół kontrowersyjnej tezy, jakoby w sztuce nie było miejsca dla demokracji. Pokazuje w brawurowy sposób, czym jest przekraczanie granic między autorytetem a autorytaryzmem, i jednocześnie bardzo subtelnie operuje naszymi emocjami. Krytyk „New York Timesa” trafił w sedno, kiedy pisał z uznaniem o „balansowaniu między apollinią powściągliwością a dionizyjskim szaleństwem”. Te dwa żywioły wywołują przed kamerą twórczy dysonans, aż po kompletnie nieprzewidywalny w swoich szczegółach i jakże dwuznaczny finał.

Niezależnie bowiem od tego, czy Lydia ostatecznie przegrała, czy jej postać kompromituje kobiety u władzy bądź na odwrót – przewrotnie pokazuje dominujące od zawsze mechanizmy, nie mówiąc o domniemanym podobieństwie do realnie istniejących dyrygentek, bezustannie fascynuje, niczym „święte monstrum”. Owo uświęcenie wnosi na ekran przede wszystkim reakcja Blanchett. Który już raz australijska aktorka wciela się w postać charyzmatycznej i pozornie zimnokrwistej blondynki, zawłaszczając dla siebie ekranową przestrzeń? I który raz chce się jej bohaterce towarzyszyć albo nawet kibicować na drodze do autodestrukcji i upadku? Można oczywiście to zawłaszczenie (w wydaniu aktorki) i samounicestwienie (jako postaci) uznać za dowód na antydemokratyczny lub antykobięcy charakter tego filmu. Lepiej jednak otworzyć się na ukrytą w nim ironię i zwodniczość. Takie nieliteralne zaproszenie do przemyślenia związków płci, orientacji seksualnej i władzy bywa skuteczniejsze aniżeli gotowe manifesty. ©

Lektor: Maranizm jako klucz



■ Piotr Sadzik

REGIONY POJEDYŃCZYCH HEREZJI. MARAŃSKIE WYJŚCIA W PROZIE POLSKIEJ XX WIEKU

Wydawnictwo Austeria,

Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2022,

s. 556.

MIANEM MARANÓW (MARRANÓW) OKREŚLANO ŻYDÓW hiszpańskich i portugalskich, którzy od schyłku XIV wieku przechodzili na katolicyzm, zachowując świadomość swojego pochodzenia, choć często je ukrywając. Finałem tego procesu, wymuszonego prześladowaniami i ograniczeniami narzucanymi przez władze i Kościół, było wygnanie wyznawców judaizmu z Półwyspu Iberyjskiego w 1492 r. Rozszerzone, metaforyczne znaczenie terminu „maranizm” stało się dzisiaj ważnym instrumentem analizy nowoczesności, jej „ukrytych tradycji” i zakłóceń tożsamości.

Sięgając po ten instrument, pamiętać trzeba o niebezpieczeństwie „antysemickiego przechwycenia” (termin Sadzika), którego dobitnym przykładem jest złowieszczy chór przechrztów w „Nie-Boskiej komedii” Krasińskiego. Współcześni badacze fenomenu maranizmu, z Agatą Bielick-Robson na czele, są tego jednak świadomi, a ich prace układają się pomału w solidną biblioteczkę, otwartą liczącym blisko 800 stron tomem zbiorowym „Marani literatury polskiej” pod redakcją Piotra Bogaleckiego i Adama Lipszycza. Obok postawić można „Marańską Paschę Derridy” Bielick-Robson i właśnie eseje Sadzika – wszystkie wydane przez Austerię.

„Regiony pojedynczych herezji” – tytuł nawiązuje do klasycznej już książki Jerzego Ficowskiego o Brunonie Schulzu – to fascynująca próba nowego odczytania zeszłowiecznej prozy polskiej przez pryzmat maranizmu, który Bielick-Robson nazywa „sekretnym źródłem nowoczesności”. Sadzik skupia się na kilku pisarzach – to Schulz, Leo Lipski, Józef Wittlin, Teodor Parnicki i Leopold Buczkowski. Wcześniej jednak znacznie szerzej wyznacza pole swoich badań, odwołując się też do poprzedników, jak Artur Sandauer i Władysław Panas. „Nieoczekiwaną marańską kryptoidentyfikację” odnajduje u wczesnego Witolda Gombrowicza, w „Pamiętniku Stefana Czarnieckiego”; „Gombrowicz, jako maran uniwersalny, robi za podstawowego patrona moich rozważań” – tłumaczy. To przecież autor „Trans-Atlantyku” dał nam szczepionkę na tożsamościową presję, która gnębi polską literaturę. Idąc jego śladami, Piotr Sadzik pokazuje, jak można czytać na nowo pisarzy wielkich, a często niedocenionych bądź zapomnianych. I jak wspaniała to bywa przygoda. ©P



Spektakl „Arianie”, reżyseria Benjamin M. Bukowski

NA KRAWĘDZI ŚWIATA

**14. edycja Festiwalu
Nowe Epifanie
organizowanego przez
Centrum Myśli
Jana Pawła II
rusza w Warszawie
22 lutego
(potrwa do 2 kwietnia).**

**W tym roku wiodącą
metaforą będzie otchłań –
miejsce graniczne naszej
wyobraźni.**

Otchłań przyzywa otchłań – więc nawałnicą wściekłą, / Na moje serce spadło udręczeń całe piekło”. Tak słowa Psalmu 41. przetłumaczył Wiktor Gomulicki. Otchłań, o której tu mowa, nie jest jednak miejscem nieskończonej rozpacz – to raczej przestrzeń, gdzie dokonuje się przemiana człowieka, jego ubogacenie. O tym właśnie doświadczeniu będą opowiadać artyści podczas tegorocznej edycji festiwalu.

Ten stan zawieszenia – niepewności, którą można wykorzystać albo się w niej zatracić – precyzyjnie oddaje łacińskie słowo „limbus”. Można je tłumaczyć jako „krawędź”, „skraj”, „granica”. Otchłań

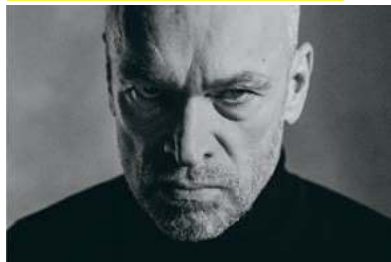
nie znajduje się więc w centrum, tylko na obrzeżach. Z otchłani wszystko się wynurza albo wszystko się w nią zapada – w zależności od przyjętej perspektywy.

„Chrześcijańska opowieść o otchłani przez wieki dobitnie konfrontowała nas ze śmiercią, utratą, opuszczeniem, głęboką niepewnością i lękiem egzystencjalnym. Jednak wraz z rozpadem chrześcijańskiej narracji wiele z tych doświadczeń straciliśmy z pola widzenia, oddaliliśmy je od siebie w sposób głęboko nieuświadomiony. Podejmując ten temat w ramach Festiwalu, chcemy się do niego zbliżyć” – zapowiadają organizatorzy Nowych Epifanii.

© MS

Wybrane wydarzenia 14. edycji Festiwalu Nowe Epifanie:

GOŚCIE WIECZERZY PAŃSKIEJ



Spektakl „Goście Wieczery Pańskiej” to medytacja nad kondycją człowieka żyjącego w rzeczywistości pozbawionej nadziei. „Ja i mój Bóg żyliśmy w specjalnie zaaranżowanym świecie, w którym wszystko się zgadzało” – mówi pastor Tomas Ericsson, bohater filmu „Goście Wieczery Pańskiej” Ingmara Bergmana. Tamtego świata, jak i Boga, w którego wierzył, już dawno nie ma. A mimo to trwa on w tej opustoszałej przestrzeni. W adaptacji scenariusza Ingmara Bergmana czworo postaci raz jeszcze doświadcza opowiedzianych w filmowym pierwowzorze zdarzeń, by poprzez rozszerzoną wiwisekcję świata i siebie szukać tego, czego wtedy nie zauważyli.

reż. Tomasz Fryzeł

■ 24-26 lutego, Nowy Teatr

INFERNO



Spektakl „Inferno” odbywa się w zawieszeniu, jest czymś pomiędzy prawdą a fikcją – przemieszaniem narzędzi, które wykorzystujemy w internetowej autokreacji, z tymi potrzebnymi do budowania prawdziwych relacji. Młodym dorosłym globalna sieć służy przede wszystkim do tworzenia tożsamości. Swoje interpretacje rzeczywistości komunikują już niemalże wyłącznie w sposób cyfrowy. Dzieciństwo zostali wrzuceni w świat rozwijającego się internetu – dlatego posiadają dwie tożsamości. Zagubiony w świecie emocji

Dante, wieczny uciekinier, nieumiejący odróżnić smutku od lęku, złości od zazdrości, miłości od pożądania, pragnąc stabilności i dookreślenia, spotyka na swojej drodze Wergiliusza. Spacerują razem po piekle, idą przez kolejne kręgi, ale do żadnego z nich nie przynależą. Mając wyłącznie siebie, pogrążają się w otchłani, starając się zbudować relację.

reż. Wera Makowskx

■ 24-25 marca, TR Warszawa

HERETYCZKI



Kurator Dawid Zalesky zaprasza do świata sztuk wizualnych artystki Elżbiety Szurpickiej oraz aktorki Beaty Passini. Kontekst otchłani twórcy wystawy łączą ze zjawiskiem często lekceważonym w naszej kulturze, czyli historiami heretyczek, mistyczek oraz ezoteryczek. Kobiety wykluczone ze społeczności, często też wykluczone z chrześcijaństwa, skazywane były na ostracyzm oraz śmierć. Dlatego artyści postanowili dać im głos, pozwolić usłyszeć kobiety, które nie zdałyby powiedzieć wszystkiego za życia. Wernisażowi wystawy towarzyszyć będzie „Performatywny seans spirytystyczny”, w którym aktorka Beata Passini jako performerka-kobieta-medium podejmie próbę wsłuchania się w głos zmarłych heretyczek. Nagranie performansu będzie częścią wystawy.

■ 24-26 lutego, Galeria Prześwit

PIEŚNI Z OTCHŁANI



Koncert Adama Struga to muzyka wydobyta z otchłani, która w tradycyjnej pobożności może być zarówno realnym miejscem, jak i stanem duszy. Otchłań to jednak nie tylko piekło, to również „głębiny” z Psalmu 130. Od niego wzięta się tradycja pieśni pokutnych, które mają uchronić przed ostateczną, piekielną otchłanią. Pieśni o piekle i pieśni o pokucie łączą w sobie napomnienie i wiarę w miłosierdzie – stanowią więc filar tradycyjnej pobożności.

■ 4 marca,

kościół ewangelicko-reformowany

DEDUTO SEY. ŚWIAT JAKO OTCHŁAŃ



Nowy program Vox Imaginaria, czyli muzyka schyłku średniowiecza, został przygotowany specjalnie z myślą o Nowych Epifaniach. Podejmuje temat świata jako otchłani – miejsca pełnego niebezpieczeństw, w którym, poruszając się po omacku, nie można być pewnym przyszłości. Nasz świat to przestrzeń zawieszenia i lęku, ale też nadziei.

■ 1 kwietnia, Muzeum Narodowe, Galeria Sztuki Średniowiecznej

Więcej na: noweepifanie.pl

Organizatorem Festiwalu Nowe Epifanie jest Centrum Myśli Jana Pawła II, Instytucja Kultury m.st. Warszawy. Festiwal dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

OLGA

Drenda: Przyjaźni



W CZASACH DUŻYCH SWETRÓW I PLECAKÓW z demobilu młodzież lubiła cytować Edwarda Stachurę z jego samoróbkową etymologią słowa „przyjaciel”: miało ono oznaczać kogoś, kto jest „przy ciebie”, a przyjaźń – bycie „przy jaźni”. To oczywiście *licentia poetica*, ale nad przyjaźnią zastanowić się warto. Nie tylko dlatego, że właśnie minęło nowoczesne święto romantycznej miłości, z jego urokiem czy kiczem (jak kto woli), ale przede wszystkim dlatego, że musimy mierzyć się z cywilizacyjnym problemem samotności i znajdować dla niego remedia. A tych warto szukać nie w coachingowych receptach na życie, nie w poradnikach, lecz raczej w starym, dobrym humanizmie.

Myślę teraz o przyjaźni, ponieważ podczas krótkiej wyprawy zagranicznej zwróciłam uwagę na tajemnicze słowo „*Galentines*”. Towarzyszyło ono kampaniom walentynkowym jako równoprawne uzupełnienie święta. „Bądź moją galentynką” brzmiało mi, co prawda, nieco garmazeryjnie, ale stała za tym pomysłem idea bardzo pożyteczna, to znaczy dowartościowanie relacji z przyjaciółmi (tu „*gals*” i „*guys*”). Celebруем romantyczne relacje, a przyjaźń, niejednokrotnie równie albo i bardziej dobroczynną dla naszego życia (nie mówiąc już o przypadkach, kiedy przyjaźń uzupełnia się o komponent romantyczny), traktujemy nieco drugoplanowo.

Być może dlatego, że w języku polskim „przyjaciel” to bardzo poważne słowo, rodzaj świeckiego *sacrum*, które, zgodnie ze znaną religioznawczą teorią, budzi lęk i fascy-

nację zarazem. Czasami ludzie boją się wymawiania tego słowa, tak jak dawni Słowianie bali się wymawiać prawdziwego imienia wielkiego zwierzęcia z kniei, nadając mu zastępcze imię „niedźwiedź”, dlatego nawet bardzo bliskich ludzi z ostrożną nazywają znajomymi. Słowo „*friend*” w mediach społecznościowych, które w języku angielskim ma bardziej pojemny zakres, w Polsce na początku traktowano jak rodzaj świętokradztwa. Wiele razy zetknęłam się w rozmowach na żywo z głosami, że nazwanie kogoś przyjacielem to śmiertelnie poważna deklaracja, jak przysięga krwi, bo przyjaciół w życiu można mieć przecież tylko kilkoro (zgodnie z tym etosem, oczywiście).

Być może stoi za tym istotnie rodzaj myślenia w kategoriach sakralnych, ale może i coś bardziej prozaicznego: obawa, że złożymy taką poważną deklarację i spudłujemy, że ktoś jednak jej nie odwzajemni i wciąż będzie mówił o nas „znajomy”. Albo że w ogóle takie dobro na nas nie czeka, zbyt rzadkie i święte. Mitologia przyjaźni jako więzi, która zadzierzguje się we wczesnym wieku, podczas gry w kapsle na podwórku czy wycinania na ławce dedykacji „głupiej Elce”, również nie pomaga – zgodnie z nią bowiem, jeśli nie uda nam się w młodym wieku, to późniejsze życie spędzimy na powierzchownych relacjach z ludźmi, których nawet nie lubimy, i powolnym turlaniu się ku grobowi.

Lubię myśleć o przyjaźni jako o dowodzie wysokiej ewolucji człowieka, o czymś, co przekracza oczywiste, ssacze, stadne czy interesowne kategorie. Przyjażniąc się z kimś, nie musimy dzielić pokrewieństwa, nie musimy pochodzić z tego samego miejsca czy grupy odniesienia. Takie relacje bywają, owszem, bardzo silne, a czasem mogą nawet być piękne, ale jest to pewna łatwizna, automat. Tymczasem w przyjaźni jesteśmy ciałami i umysłami w kosmosie, które kiedyś w jakimś miejscu i czasie połączyła bliska więź, może całkowicie przypadkowa.

Bywa, że dzieje się to w sposób zupełnie nieoczekiwany. Oto kilka miesięcy temu w polskich kinach można było zobaczyć fabularyzowany dokument „Kociarze”. W tym lekkim, podnoszącym na duchu filmie pierwsze skrzypce grają oczywiście koty i ich bliskość z człowiekiem, lecz twórcom udało się umiejętnie wpleść w opowieść wątek przyjaźni między ludźmi. Jedną z bohaterek połączyła nić sympatii z Davidem, pracownikiem budowlanym żyjącym wówczas na ulicy ze swoim uratowanym kotem, którego widywała w drodze do biura. Jedyne, co mieli ze sobą wspólnego, to fakt, że codziennie mijali się na tej samej trasie – i prawdopodobnie, mimo diametralnie różnej sytuacji materialnej, dzielili bezradność wobec samotności w wielkim mieście. To wystarczyło: ziarenko zaufania ewoluowało w stronę serdeczności, wzajemnej pomocy i skutecznego chronienia się przed napierającą wrogością świata. By dotrzeć do tego miejsca, trzeba zignorować nieufność, wątpliwości, poczucie, że jesteśmy z innych światów, uznać, że jesteśmy, owszem, sami we wszechświecie i w naszych własnych głowach, ale podając sobie ręce, będziemy odczuwać to odrobinę mniej. ©

Damska przyjaźń, szorstka, bo betonowa.



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Mięsień wyrzeczenia



DWANAŚCIE KILO MIĘSA ROCZNIE – DUŻO TO czy mało na jedną osobę? Nawet średnio rozgarnięty student dowolnego kierunku, gdzie wykładają logikę (a powinni na każdym), powie, że to pytanie ma wadę: brak mu choćby odniesienia do konkretów życiowych osoby, jej kontekstów klasowych i gospodarczych oraz kryterium właściwej miary. Ale jako punkt wyjścia do namysłu w zaciszu własnej głowy może dać ciekawe efekty. Moje wypieszczone przekonanie, iż „ja tylko okazjonalnie, przy niedzieli, z rzadka” rozgryzione z ołówkiem w rękę, skurczyło się jak plasterzek słoniny na patelni.

Sięgnąłem po ten ołówek, żeby wyciągnąć jakiś pożytek poznawczy z bezsensownej draki o kartki na mięso w Warszawie. W pewnym dzienniku uchodzącym za poważny streszczone raport zrzeszenia wielkich metropolii świata (w tym Warszawy) na temat możliwych działań, które miasta mogłyby podjąć, by ograniczać emisję gazów cieplarnianych. Przedziwny to materiał, wygląda jak przeklejona bez podjęcia dziennikarskiej pracy wrzutka mająca roztoczyć czarny PR wokół prezydenta stolicy. Wyszło bowiem z niego szaleńcze plany reglamentacji mięsa (do owych 12 kg właśnie), ograniczenia zakupu nowych ubrań oraz innych restrykcji. Owszem, tego rodzaju postulaty ascezy pojawiają się często w obiegu ekspertów i aktywistów, ale pozostają ich pobożnymi życzeniami. Co najwyżej wdraża się niektóre w postaci mocno rozwodnionej. Tym się różni polityk od eksperta, że umie propozycję tego drugiego przesiać przez sito realnego życia. Horyzont racji to coś innego niż horyzont decyzji i to wcale nie jest tak źle, że polityka nie do końca jest „racjonalna”.

Racje bowiem bywają czasem sprzeczne między sobą, bywają uwikłane w ograniczenia aparatu poznawczego, są podatne na mody, obciąża je nasza gnuśność, a czasem niestety też przyziemne interesy. Nawet gdy wydają się podparte konsensem ludzi, którzy mają ogólnie uznany tytuł do tego, by powiedzieć „znam się na tym”, to nadal, żeby przełożyć je na decyzje i działania, potrzeba czucia pulsu zbiorowych nastrojów i zręczności w przekonywaniu, która niekoniecznie pokrywa się z prawdą. Za tym, jako bezpiecznik przed totalnym cynizmem, powinna iść spora dawka poczucia służebności, wyczucia, jak daleko wolno się posunąć w narzucaniu czegoś poddanym „dla ich dobra”.

Tej mieszaniki sprytu i uczciwości zabrakło np. przy zmianie, która jest

realna i szybko nas zabolę, ale trudno się rzetelnie w niej roznieć. Sprawa przesądzonego już zakazu kupowania aut spalinowych za paręnaście lat to zaiste trujące paliwo dla obaw o głęboką degenerację procedur demokratycznych we wspólnocie. Nie dziwi to, że politycy prawicowi i eurosceptycy wolą bawić nas bzdurami o kotletach, zamiast rzetelnie zdać sprawę z tego, w jaki sposób próbowali chronić interesy ich ukochanego „prostego człowieka” przed ekscesami polityki klimatycznej. Musieliby bowiem opowiadać o kompromisach, być może źle negocjowanych, bo nigdy nie mieli dość kompetencji, by je mentalnie ogarnąć. Politycy szerokiego frontu, który bez zająknięcia podziela radykalne strategie związane z klimatem, nie są jednak lepsi. Nic nie wskazuje, by ktoś próbował wczuć się w to, jak wielkim i niezrozumiałym szokiem będzie ta akurat zmiana i kilka następnych gotowych już prawie do ogłoszenia.

Populista powie: elity stać na tesle, cóż je może obchodzić właściciel starego opla. Ja w ułomnej (delikatnie mówiąc) komunikacji radykalnych zmian chciałbym widzieć nie pogardę, lecz lęk przed masami, nieufność, że umięją się czegoś wyrzec, samoograniczyć, przyjąć wyższą od zachcianek rację. Co jest być może dalekim skutkiem zeświecczenia wszelkich sfer życia. Człowiek pozostający w perspektywie jakiejś religii doskonale zna post i wstrzemięźliwość jako jeden z wymiarów życia codziennego. Mamy jako ludzkość dobrze wyćwiczony mięsień wyrzeczenia, o czym akurat w Środę Popielcową nie trzeba tu przypominać. Mimo wielu dekad laicyzacji, nie sądzę, żeby uwiadł. Ja np. na czas Wielkiego Postu na pewno ograniczę przyswajanie treści naszych polityków. Kto wie, może do Wielkanocy zdołają przemysleć, czy warto traktować nas jak dzieci. ©

Kiedy skończy mi się 12-kilogramowy limit na mięso, a jajka i sery też podobno „lewactwo” ograniczy, to jako źródło białka zostanie fasola. Żeby stworzyć **turbo**pożywning **zupe**, spróbujcie takiej sztuczki: gotujemy w obfitej wodzie **250 g namoczonej fasoli** (brązowej lub jasio) z dodatkiem **marchwi i lodygi selera**. Odcedzamy, zostawiamy wodę. W dużym rondlu, na paru łyżkach oliwy, dusimy na wolnym ogniu posiekaną drobno cebulę, marchew i lodygę selera, wrzucamy pokrojone w drobną kostkę **4 ziemniaki**, **parę listków szawii** i **ząbek czosnku**, podsmażamy krótko, zalewamy wodą spod fasoli tak, żeby ledwo wszystko przykryła, gotujemy do miękkości. Dodajemy połowę fasoli, miksujemy na gładki krem. Potem dokładamy resztę fasoli, na wydaniu dodajemy obficie **natkę**, tarty **ostry ser** i nieco oliwy. Albo dodatek podpatrzony u mistrza Bogdana Gałązki w jego nowym lokalu przy kinie **Stolica** w Warszawie, który bardzo polecam: **łyżka tahiny**, świetnie to do siebie pasuje.



ZAWÓD: PODRÓŻNIK

MATEUSZ WALIGÓRA

Regularnie płaczę na wyprawach.
Bo emocje związane z samotnością
działają najsilniej.

To one uzależniają mnie
od bycia w drodze.

Przecież w pustyni można
przeglądać się jak w lustrze.

ANDRZEJ MUSZYŃSKI: Masz w ogóle ochotę rozmawiać?
Po samotnej wędrówce na biegun południowy?

MATEUSZ WALIGÓRA: Tak, dalej mam. Nic innego teraz nie
robię, tylko gadam o tej historii, ale nie czuję się jeszcze szcze-
gólnie wyprany, więc śmiało...

Nie brakowało rozmów w drodze na biegun?
Dobrze znoszę samotność.

Nawet wieczorami?
Podobno słuchałeś audiobooków.

Podczas wyprawy, na Antarktydzie, wszystko odbywa się
z zegarkiem w ręku. Bardzo chciałbym mieć czas, który mógł-
bym spożytkować na coś innego niż marsz, ale jestem raczej po-
wolnym narciarzem. Warunki, w szczególności w pierwszej czę-
ści drogi, były szalenie wymagające – silne opady śniegu, które
nie są spotykane o tej porze roku. Anomalia. Poza tym bardzo
słaba widoczność, tzw. *whiteout*, w trakcie którego nie odróżniasz
żadnych charakterystycznych elementów dalej niż metr od sie-
bie. Nie wiesz, czy idziesz w górę, czy w dół. Ukształtowanie te-
renu wyczuwasz tylko poprzez narty, które są łącznikiem z rze-
czywistością.

Trudno to sobie wyobrazić.

Jest tak, jakby narzucić na głowę poszewkę od poduszki
i iść po nieregularnie rozrzuconych krawężnikach, do których
trochę podobne są tak zwane „zastrugi lodowe”. Jakbym się
znalazł w środku piłki pingpongowej. Miałem jedzenia i paliwa
na 60 dni, ale nie wyrabiałem dziennej normy, która zakładała
przebycie 20 km. Wiedziałem, że początek będzie trudny – sa-
nie są wtedy ciężkie, moje ważyły na początku 130 kg. Musia-
łem więc maksymalnie wydłużyć dzienny czas marszu, 12 go-
dzin od startu do rozbicia obozu. Szedłem w kilku interwałach.
Każda minuta przerwy była na wagę złota, bo tylko wtedy mo-
głem uzupełnić kalorie. Nie było czasu na nic innego, prócz my-
ślenia w czasie marszu.

Jak długiego?

Trwał 58 dni, 1250 km. Ale to są dwie komplementarne
wędrówki, ta od ciała i ta dla ducha. W tym czasie można prze-
analizować całe swoje życie. Tak było zawsze, również w czasie
wypraw przez pustynie. Opisywanie podróży liczbami to nowe
barbarzyństwo, bo taka droga jest przede wszystkim potężną
mieszkanką emocji. Z dobrej podróży wychodzisz innym człowie-
kiem. Jeśli tak nie jest, to znaczy, że coś poszło nie tak.



MATEUSZ WALIGÓRA X2

MATEUSZ WALIGÓRA

jest podróżnikiem, specjalizuje się w wyprawach ekstremalnych. Dziennikarz, fotograf i przewodnik. Jako pierwszy człowiek przeszedł samotnie i bez wsparcia z zewnątrz mongolską część pustyni Gobi. 13 stycznia 2023 r., po pokonaniu 1250 km, dotarł na biegun południowy. Wyprawa trwała 58 dni.

Poczekaj, poczekaj! Wrócimy do tego, ale jeszcze chciałem wypytać Cię o sprawy techniczne, przecież bez nich nigdzie byś nie doszedł. Jak nawigowałeś?

Każdy kluczowy element ekwipunku musi być zdublowany. Miałem dwa GPS-y i dwa kompasy. W terenie, w którym brakuje punktów odniesienia, nawigacja polega na tym, by wyznaczyć codziennie punkt, do którego trzeba dotrzeć, obierając właściwy azymut. Przez kilkanaście dni szedłem z określonym kursem, u mnie było to głównie 140 stopni. Używałem kompasu umocowanego na specjalnym stelażu, żeby mieć go stale przed oczami. Trzeba tego pilnować, bo w pojedynkę na lądolodzie można łatwo wpakować się w kłopoty. GPS miałem włączony non stop, więc niosłem spory zapas baterii. Chciałem dobrze udokumentować trasę, poza tym dzięki temu człowiek wreszcie może poczuć się choć trochę jak artysta. Chciałbym kiedyś nanieść te wszystkie elektroniczne ślady na mapę i ujrzeć ich niepowtarzalny wzór.

Szczeliny?

Sporo! Wiedziałem, gdzie jest ich największe zagęszczenie. Trzeba je omijać, kierując się doświadczeniem i intuicją. Przed rozbiciem biwaku skrupulatnie sondować teren narciarskim

kijem. Często spotykam się ze stwierdzeniem, że dziś wyprawy polarne to łatwizna. Wpadniesz do szczeliny, mówią niektórzy, to wyciągniesz telefon satelitarny i za chwilę po ciebie przylecą. To nieprawda. Warunki umożliwiające loty na Antarktydzie występują bardzo rzadko. Po drugie, idąc, jestem ubrany w niewielką ilość odzieży. Po wpadnięciu do szczeliny po kilkunastu minutach zasnąłbym na zawsze w wyniku hipotermii.

Ale gdybyś nagle chciał odpuścić, przy dobrej pogodzie... Przyleciałby ktoś?

Byłaby taka szansa. Miałem ubezpieczenie na ponad milion złotych.

Ile takie coś kosztuje?

Ponad cztery tysiące złotych. Zresztą na Antarktydę przyleciałem samolotem. Każdy, kto nie posiada własnego polarnego jachtu, skazany jest na usługi firmy, która zajmuje się logistyką takich ekspedycji.

Co jadłeś?

Zabrałem z sobą 60 kilogramów jedzenia na 60 dni. Podstawa to liofilizaty, czyli specjalistyczna żywność wyprawowa. →

→ Do tego ser, salami, norweska czekolada, czekolada, która podobnie jak marcepan nie zamarza, batony energetyczne, orzechy, masło.

Ale schudłeś?

18 kilogramów.

Powiedziałeś po dojściu na biegun: „Od tej chwili już nic nie muszę”. Jesteś spełnionym podróżnikiem?
Brzmi chojracko?

Nie, dlaczego?

Moim motorem napędowym zawsze były dziecięce marzenia i ambicje. Jako dziecko nie robiłem nic wyjątkowego. Skasowałem ojcu syrenkę, gdy miałem cztery lata. To mój główny wyczyn. Nie zawsze tak było w podróży. Na przykład po przejściu pustyni Gobi poczułem głównie ulgę. To była wyprawa drenująca psychicznie i fizycznie. Przygotowania do niej trwały trzy lata, ale uczuciem, które pojawiło się zaraz po uldze, była pustka. Nie wiedziałem, co mam zrobić dalej. Zupełnie inaczej było teraz, na biegunie.

No właśnie: to co teraz będziesz robił?

Pandemia wiele we mnie zmieniła. Gdy w 2020 roku nie udało mi się wyjechać na pustynię w Australii, zacząłem eksplorować Polskę. Przeszedłem ją wzdłuż Wisły, a rok później wybrzeżem Bałtyku. Reportaż z tej wyprawy trafił na okładkę „National Geographic Polska”. Pomyślałem wtedy: źle szukałeś stary, za daleko. Zawsze marzyłem, żeby być fotografem, którego zdjęcie trafi na okładkę tego pisma. Fotografem nie zostałem, ale po części to marzenie się spełniło. Zostałem cover boyem (*śmiech*).

I gdzie cover boy chciałby teraz iść?

W ubiegłym roku przeszedłem wszystkie znakowane szlaki w Tatrach Polskich, a w tym wraz z Dominikiem Szczepańskim planuję wędrowkę wzdłuż Odry, która przepływa przez rodzinne strony i moje miasto, Wrocław. Chodzi mi oczywiście po głowie wyprawa na biegun północny, ale teraz jest problem, bo logistycznie za organizację wypraw arktycznych odpowiedzialna była głównie firma rosyjska. Inni, na przykład Kanadyjczycy, wycofali się z biznesu albo przenieśli na Antarktydę, bo działania w Arktyce w związku ze zmianami klimatu przestały być opłacalne. Po dotarciu do bieguna północnego problemem staje się zatem powrót do cywilizacji.

Chyba każdy, kto był długo samotnie w głęsi, zna w podróży poczucie bezsensu. Pamiętam chwilę, kiedy po miesiącu dotarłem w Himalajach Birmańskich do wyznaczonego punktu, a jednocześnie kresu własnego imaginarium. Poczułem się, jakby mnie przestrzeń oszukała. Potem przez siedem lat nie ruszyłem się z domu. Bałem się, że to pragnienie wędrowania już nie wróci. Ale czy Ty teraz jesteś już w stanie szczerze sobie powiedzieć, po co to robisz?

Wiem, ale nie potrafię wytłumaczyć. Do mnie to pytanie wraca jak bumerang po każdej wyprawie. Kiedyś wzbudzało we mnie wyrzuty sumienia, teraz mam to już gdzieś. Wszystko zmieniło się po Gobi. Wróciłem do Polski niczym wrak, straciłem 24 kilogramy masy ciała w niespełna dwa tygodnie. Wtedy od postronnych obserwatorów słyszałem głównie: „No i co, po co ci to było? Nie wymyśliłeś leku na raka. Nie uratowałeś nikomu życia”. Wówczas mnie to przytłoczyło, a w konsekwencji doprowadziło do problemów z wahaniami nastrojów. Przeleżałem pół roku, patrząc w biały sufit.

Czemu?

Orientujesz się, że tak naprawdę prawie nikt nie zauważył, że cię nie było. Później zdiagnozowano depresję, podjąłem terapię. Długo się wzbraniałem. No bo co ja mam tam niby powiedzieć, myślałem, że jednego dnia czuję się lepszy niż Reinhold Messner, a drugiego chcę się rzucić pod pociąg? Bardzo pomogło, polecam wszystkim, którzy czują, że coś jest nie tak.

Prawdziwa pustynia.

Tak. Zastanawiałem się, dlaczego nikt nie pyta ludzi, po co czytają książki. Przecież wtedy nic nie robisz dla świata, ale twoje życie, dzięki doświadczeniu lektury, może się zmienić. Tak samo jest w dobrej podróży, takiej jak ta przez Gobi. Wtedy pojąłem, że to może mieć sens tylko dla mnie, skoro nie potrafię go wyłożyć słowami tak, by trafić do innych. Robię to, bo lubię. Kiedy wokół nikogo nie ma, czuję się szczęśliwy. Pewnie dlatego moje wyprawy przebiegają przez rejony odludne. A ty co wtedy mówisz?

Mnie nie zadają takich pytań, może dlatego, że piszę. Ale jak już trzeba, to ostatnio występuję się odpowiedzią zmarłego kolegi
Stawka
Kunca:

*Mateusz Waligóra
w drodze na biegun
południowy,
grudzień 2022 r.*



„Lubię czasem побыć poza domem”. Poza tym bezkarnie obserwowuję świat. Tylko w drodze mam na to w pełni czas, a kocham to. Patrząc. W podróży przytrafiają się piękne rzeczy. Współczuję Ci, że Ty musisz się tłumaczyć.

Przestałem już. Po moim biegunie wyręcam się głównie słowami Amundsen, który sto lat temu powiedział, że „albo ktoś to rozumie, albo nie ma sensu mu tego tłumaczyć”. Nie wszystkim to się wtedy podobało, ale Amundsen po latach ma dobrą prasę. Mam szczęście, że jest wokół mnie wielu ludzi, którzy to czują. Świadczy o tym największa w Polsce zbiórka crowdfundingowa na wyprawę, którą wsparło ponad tysiąc osób. Duży problem to ja mam z płaskoziemcami. Od paru dni nic nie robię, tylko banuję ich na Facebooku.

No właśnie! Słuchaj, skąd się to bierze? Przygotowując się do rozmowy z Tobą, zerknąłem w komentarze. Nie myślałem, że można hejtować faceta, który poszedł na biegun.

Dla mnie to też tajemnica. Nie mam pojęcia. Uznałem, że jedynym sensownym rozwiązaniem jest nie wdawać się w dyskusje, które przekraczają granice dobrego wychowania. Nie mam na to czasu. Jednak ubolewam nad tym.

Wróćmy więc do samotności. Nurtuje mnie jedna rzecz: z wędrówek, w szczególności przez pustynię, pamiętam czystość pejzażu, która wydawała się z każdym dniem przenikać do wnętrza. Wycieńczając ciało, kołata umysł. Umiem sprowokować ten stan tylko w ten sposób, siłowo. Długie godziny bez myśli. Też tak masz?

Inaczej. Rzadko udaje mi się wyzbyć myśli, działać – w tym sensie – bezrefleksyjnie. Czytam wszystko, co wpadnie mi w ręce: etykiety z orzechów, numery seryjne aparatów. Muszę zagospodarować myśli. Ale ja to lubię, bo nie mam na to czasu na co dzień. Uwielbiam ten stan, kiedy myśli swobodnie wędrują. Oczywiście, słucham czasem muzyki czy audiobooków, niejednokrotnie idę też w ciszy, choć na Antarktydzie o nią niełatwo, bo niemal nieustannie wyje wiatr. Kiedyś zabierałem z sobą też papierowe książki, na przykład na swojej pierwszej polarnej wyprawie miałem twoje „Południe”, w którym także opisywałeś pobyty na pustyniach czy w lasach równikowych. Siedziałem z nią w małej drewnianej chacie na norweskim płaskowyżu Hardangervidda, gdy na zewnątrz przez pięć dni panował *whiteout*. W końcu poznałem kogoś, kto też lubi samotność!

Ona Ci nie przeszkadza?

Czasem przeszkadza. Regularnie płaczę na wyprawach, na tej też. Ale sądzę, że emocje związane właśnie z samotnością najsilniej uzależniają mnie od bycia w drodze. Przecież w pustyni możesz przeglądać się jak w lustrze. Gdy nikogo nie ma wokół, przestajesz odgrywać jakiejkolwiek role i tylko

Rzadko udaje mi się wyzbyć myśli, działać bezrefleksyjnie.

Czytam wtedy wszystko, co wpadnie mi w ręce:

etykiety z opakowań czekolady, numery seryjne aparatów. Lubię, bo nie mam na to czasu na co dzień.

od ciebie zależy, jak wykorzystasz to doświadczenie.

Doświadczenie pustyni, pustki, ascezy jest dla współczesnych społeczności w zasadzie od lat niedostępne. Sam wracałem zawsze z tych miejsc z poczuciem, że człowiek jest z natury istotą moralną, choć wielu twierdzi, że o moralności można mówić dopiero w relacji do innego stworzenia. Wtedy zacząłem czytać apoftegmaty Ojców Pustyni, którzy dzielili się obficie tym doświadczeniem.

Tak, na pustyni to staje się wyraziste. Nikt na ciebie nie patrzy. Tu, w Polsce, jestem mężem, ojcem, dziennikarzem, zawodowym podróżnikiem. Tam jestem tylko Mateuszem Waligórą.

Co to znaczy „zawodowy podróżnik”?

Proste. To znaczy, że jestem obecny w mediach, aby być na biegunie, a nie na odwrót. Jak to w życiu zawodowym bywa, pewne rzeczy lubię bardziej, inne mniej. Przestałem występować na festiwalach podróżniczych. Robię natomiast wykłady dla firm i korporacji, bo dostarczają mi gotówki, dzięki której mogę się utrzymać i finansować kolejne wyprawy.

Ile kosztował biegun południowy?

Ponad pół miliona złotych. Gdybym konsekwentnie nie budował swojej marki, nigdy bym tam nie dotarł. Tak jak wspomniany Amundsen wiem, że te rzeczy są koniecznością. W książce „Ostatni wiking” Stephen Brown napisał, że Amundsen był jednym z pierwszych celebrytów, którzy świadomie kształtowali swój medialny wizerunek. Zapewniał społeczeństwu ekscytującą rozrywkę. Mateusz Waligóra, czy Andrzej Bargiel, to tylko jego następcy, będący częścią branży rozrywkowej dostarczającej ludziom emocji. Im szybciej to zaakceptujemy, tym lepiej.

Robisz poza tym cokolwiek zarobkowo?

Od czasu wyprawy na Gobi – już nie. Ma to oczywiście też swoje gorsze strony. Musiałem wszystko podporządkować wyprawom. Poświęciłem im niemal wszystkie decyzje podejmowane w dorosłym życiu. Czasem dopada mnie myśl, że nie mam już tak naprawdę żadnej alternatywy. A przecież kiedyś nadejdzie taki moment, gdy nie będę mógł już nigdzie pójść. Media znajdą nowego bohatera.

**Może wtedy nie będziesz musiał odpowiadać na te nie-
wygodne pytania.**

Oby.

Jeden z komentarzy w sieci: „Jutro o tobie zapomną”.

W kolejnych latach chciałbym w większym stopniu dzielić się swoim doświadczeniem. Nie sądzę, by, w szczególności dziś, fachowa wiedza o tym, jak odnaleźć się w trudnych warunkach, była jakkolwiek gorsza od umiejętności zoperowania dłoni. Ludzie coraz częściej rozumieją, że wiedza i doświadczenie to wartość. © Rozmawiał ANDRZEJ MUSZYŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Finanse publiczne



CAŁA POLSKA POLITYKA SKRZY SIĘ OD DOWCIPU i grepsu. Nieustannie. Ktokolwiek dziś zabrałby głos, czy na wizji, czy to w piśmie, sprawia wrażenie, jakby brał udział w konkursie na wodzireja imprez bezalkoholowych.

Wodzirej imprez bezalkoholowych jest człowiekiem zmagającym się z obyczajem, z otoczeniem kulturowym i smutną rzeczywistością na poziomie odporności kapłańskiej, uprawiającym zawód obarczony szalonym ryzykiem zderzenia się z mową nienawiści. Musi on prezentować nienaganny uśmiech i także musi umieć żartować zawsze. Chciałoby się tu i teraz snuć opowieść o tej pracy i funkcji, ale niestety poważne obowiązki każą nam porzucić ów cudny wtret, wdzięczny temat i skupić się jednak na sprawach poważnych, najdalej smutnych, czyli na nieustającym kabarecie w polskiej polityce właśnie.

Ktoś teraz powie, że nie, że jest to temat akurat łatwy i przyjemny, że nie ma co się skupiać na bzdurach, że w istocie czasy są ciężkie i może choćby raz na miesiąc moglibyśmy podjąć się tu poważnej i rzeczowej oceny politycznej rzeczywistości w Polsce bądź opowiedzieć mądrze i serio o gospodarczej sytuacji makroregionalnej. Otóż jest to poniekąd postulat słuszny, a poniekąd nie. Dlatego oto, że oddzielenie dziś szczytów i dolin polskiego kabaretu od polskiej polityki i aktywności oralnej polskich polityków jest po prostu niemożliwe.

Przykład szefa polskiego banku centralnego uzasadnia tę tezę. Tu zważyć należy, że pozycja i znaczenie osoby prezesa banku narodowego to nie jest – z całym szacunkiem – kompetencja człowieka trzymającego bank w grze w trzy kubki. Oto jednak – popatrzmy nań bez uprzedzeń – nasz prezes wyłącznie żar-

tuje i grepsuje. Podczas wystąpień publicznych na tematy pensji, inflacji, cen masła, chleba bądź stóp procentowych opowiada wyłącznie pocieszne historyjki, prezentowane przezeń pocieszną polszczyzną z dziwaczną składnią i wokabularzem. Ponieważ jego kompetencje profesjonalne – co wiadomo – są dalekie od kompetencji ludzi na identycznych stanowiskach w innych krajach, pojawia się słuszne pytanie, gdzie w spisie jego umiejętności można by znaleźć dowód na jakikolwiek profesjonalizm.

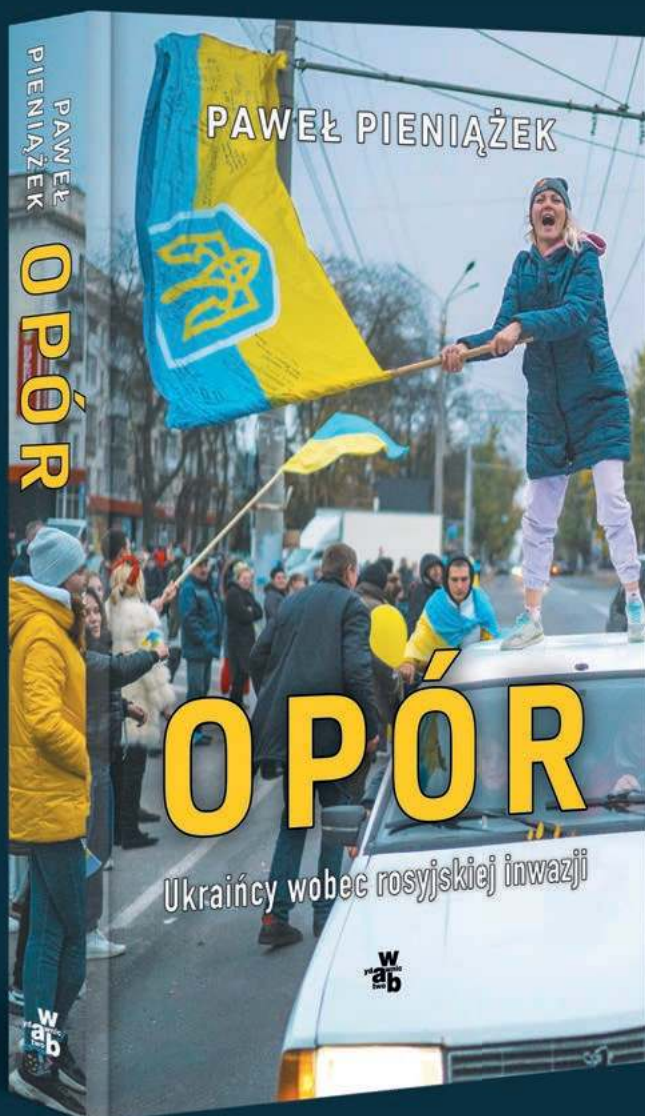
Otóż ciśnie się na myśl podejrzenie, że jego kompetencją nie jest polityka monetarna, ale zawód opowiadacza anegdotek właśnie. I to także nie byłoby nic aż tak złego, gdyby nie detal – gdy się owych anegdotek słucha, człowiek baranieje. Są to utwory żałosne w każdym sensie, jest to cyrk na kółkach, a jest to cyrk tym większy (Circus Maximus), im uważniej przyglądamy się publiczności wezwanej na te występy. Otóż mając za tło wystąpienia szefa banku centralnego, gdy patrzymy na twarze słuchających, a są to bez wyjątku ludzie specjalizujący się w tematyce pieniężnej, widzimy coś zaiste niespotykanego, nie tylko w salach konferencyjnych, ale też w cyrkach właśnie. Jest to nie-maskowana dezorientacja, ale też wyraz nadludzkiego wysiłku umysłowego. Ludzie ci, zjadłszy zęby na analizach i syntezach ekonomicznych, po raz zapewne pierwszy w swym zawodowym życiu muszą z reflekssem, natychmiast, zorientować się, co w zasadzie pan prezes banku miał zamiar zakomunikować narodowi polskiemu. Czy to było śmieszne, czy smutne, czy żartował, czy wręcz odwrotnie, czy słowa przezeń użyte zostały użyte w prawidłowym znaczeniu, czy związki frazeologiczne, których użył, istnieją gdzieś poza umysłem pana prezesa i tak dalej. Rzecz jasna, powszechną dezorientację potęguje reżyseria. Na sali jest zawsze etatowy pracownik pana prezesa, który śmieje się z jego żartów. Za to mu płacą. Czasem jednak i on nie łapie, o co pryncypałowi chodzi, więc klaszcze i śmieje się poza duktem opowieści, wypada na jej zakrętach. Tylko najwytrwalsi słuchacze – tak jak my – próbują wychwycić jakiś sens z tak uprawianej działalności publicznej za publiczne pieniądze.

Czy mamy – to na koniec – jakieś wnioski? Czy umiemy podsumować tak świetnie zrelacjonowaną rzeczywistość? Nie bardzo. Wypada nam więc zakończyć zdaniem kapitalnym: im śmieszniej, tym nieśmieszniej. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



NOWY REPORTAŻ PAWŁA PIENIAŻKA, CENIONEGO DZIENNIKARZA I REPORTERA WOJENNEGO



RABAT 40%

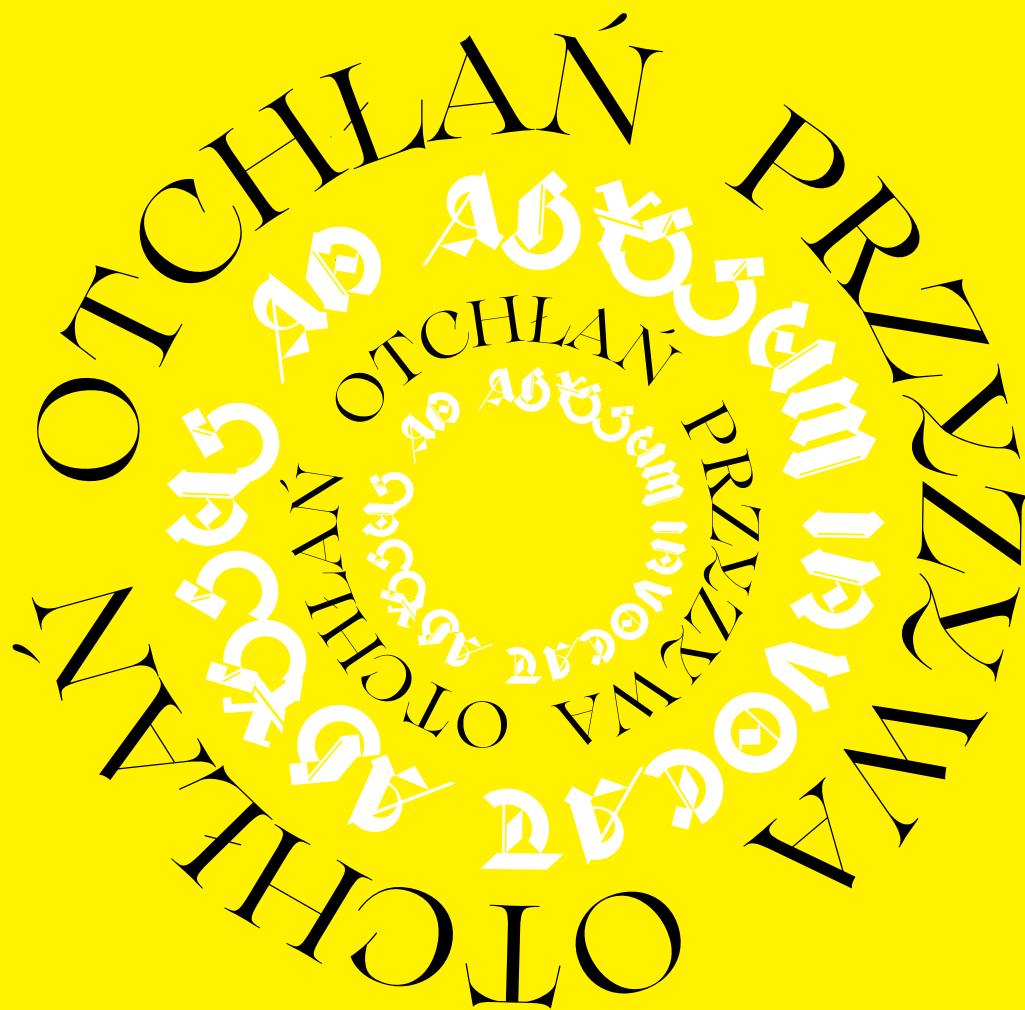
z kodem: **OPOR**

w dniach 22 lutego–12 marca 2023 r.
w księgarni internetowej

www.gwfoksal.pl

Paweł Pieniążek relacjonuje wydarzenia w Ukrainie z pierwszego frontu walki, a swoją nową książkę poświęca tym, którzy w tragicznych okolicznościach, trudnych warunkach i rzucając wyzwanie strachowi, starają się ratować swój kraj.

Nowe Epifanie



22 LUTEGO-02 KWIETNIA
FESTIWAL NOWE EPIFANIE 2023

organizator



Centrum Myśli
Jana Pawła II

Institucja Kultury
m.st. Warszawy

dofinansowano



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowanie ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury, zarządzanego Instytutem Kultury

partnerzy

NOWY
TEATR

teatr powszechny
Teatr, który się zmienia



Teatr Północny w Poznaniu, 1075



STARY TEATR
ul. ŚLĄSKA 40/42 (KONTRAST) 00-620 WARSZAWA



KOMUNA
WARSZAWA



Muzeum Narodowe
w Warszawie



patroni medialni



e-teatr.pl



teatralny.pl

noweepifanie.pl